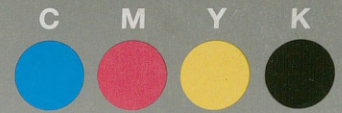
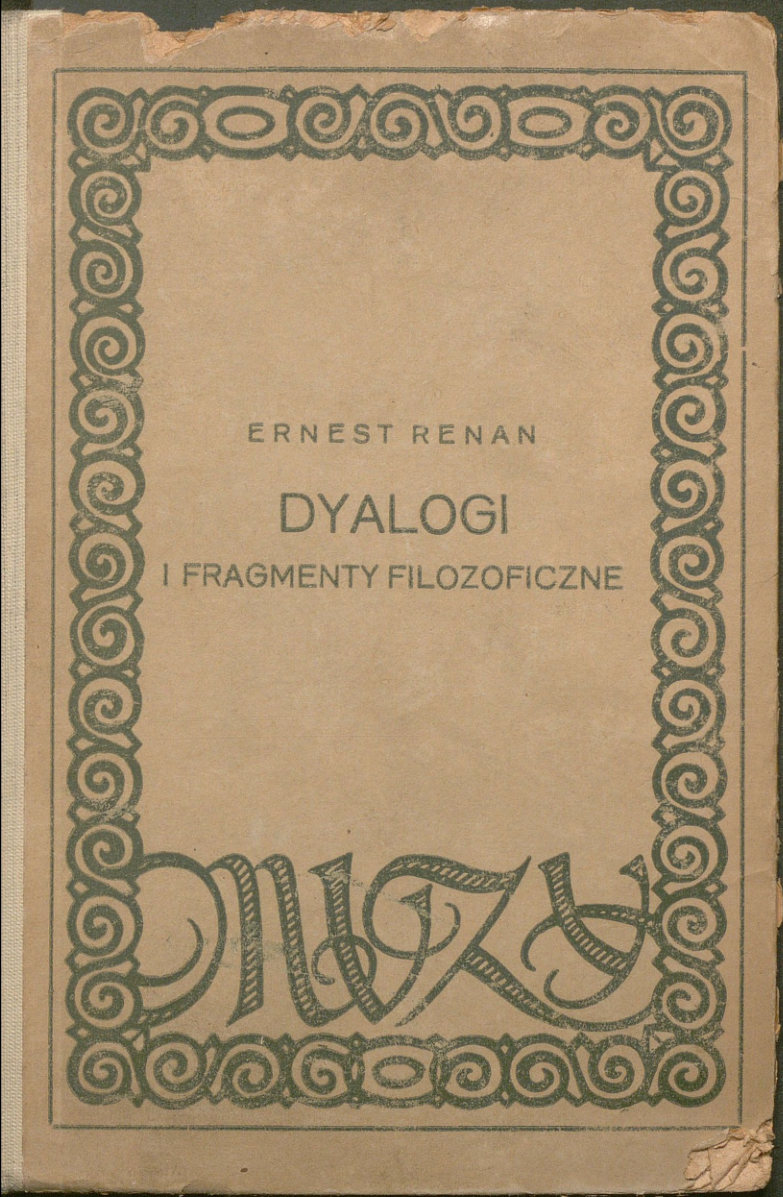
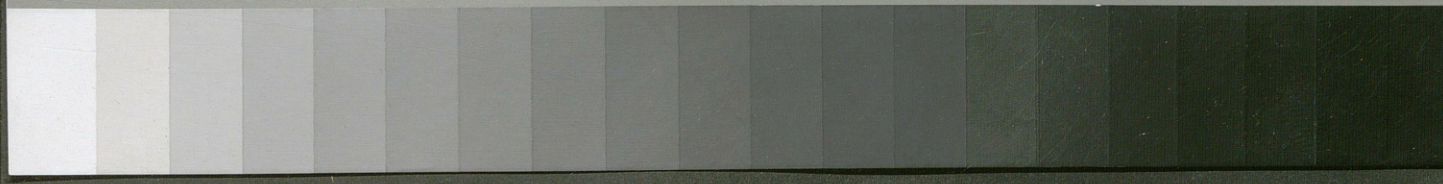


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



ERNEST RENAN

DIALOGI

I FRAGMENTY FILOZOFICZNE

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Centimetres

Inches





ERNEST RENAN

DYALOGI

I FRAGMENTY FILOZOFICZNE

WYDAWCA

১৮৮৫

১৮৮৫

# MAZ

BIBLIOTEKA

LITERACKO-ARTYSTYCZNA

POD REDAKCYĄ

JANA LORENTOWICZA



3127

DYALOGI  
I FRAGMENTY FILOZOFICZNE



ERNEST RENAN.

ERNEST RENAN



DYALOGI  
I FRAGMENTY FILOZOFICZNE

Z SZÓSTEGO WYDANIA SPOLSZCZYŁ

GRZEGORZ GLASS



WARSZAWA

NAKLAD I DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW  
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I SPÓŁKA

14

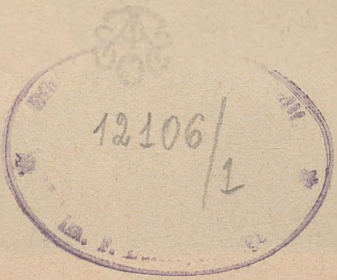
ERNEST RENAN

DYALOGI

FRAGMENTY FILOZOFICZNE

WYDANIE WARSZAWSKIE

GRACJANA BRAS



WARSZAWA

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNIKI  
KRAJOWY INSTYTUT JĘZYKA I  
LITERATURY POLSKIEJ

## SŁOWO O RENANIE

(1823—1892).

„Dyalogi“ pisał Renan w 1871 r. w Wersalu, w czasy dla Francyi więcej niż klęskowe, dla Prus — więcej niż zwyciężkie. Były snadź muzy Renana na nieszczęście kraju głuche lub obojętne.

Takby się zdawało, takby się zdawać mogło. Gdy naród do boju, Renan do metafizyki, ojczyzna—do korda, Renan—do pióra.

Zdala od paryskich *aberracyi* (słowa jego przedmowy), na stratowanej przez najeźdźcę ziemi, oderwany od swoich ksiąg i zapisków, czyni z sobą obrachunki sumienia transcendentalnego, syntetyczne próby wierzeń filozoficznych, chwali rozum, siłę i kulturę Germanów... Właśnie był po temu czas i sposobność!

W pięć lat potem przyznaje się do tej

ucieczki z szczerością, imputowaną mu przez wrogów, jako brak charakteru, małość ducha, egoizm, cynizm, żeby nie powiedzieć krócej: zdradę.

Nowożytny Voltaire—filolog, orientalista, historyk, filozof, poeta o gruntownem wykształceniu przyrodniczem,—wytworniej jeno od pana z Ferney zamaskowany, niedościgniony w pochwałach i grzecznościach dla opornych spraw i ludzi, z uśmiechem głęboko ukrytej, czarującej ironii, w nocie pracowite prostował sobie ścieżki do sławy, w dzień—z bretońską poczciwością zażywnego eks-alumna od św. Sulpicyusza zacieirał ślady podkopu, drapieźnik nic nie wiedzący, naiwny, prawie radosny, w powodzeniu swoim rozkochany.

Nie chcieli mu tej dwoistości ludzie dwoiści wybaczyć. Że to był mędrzec węzowy, bronny, giętki, dla celów deptania i praktyk oszczerczych—zwierzyna przygruba. Sprawę kompetencyi sądu spółczesnych i potomnych przekazuje Renan w „Dyalogach“ — przyszłemu Bogu.

Próbowali na nim zębów Ernest Hello, Juliusz Lemaître, Goncourtowie, Barbey d'Aureville, Leon Bloy—pamflecista niebezpieczny i czujny, Józefin Péladan, Sarcey — innych wielu, innych — chmara: dziennikarze, paszkwilanci, wiary najnędniejszej i najlepszej, święceń małych i arcykapłańskich, obrońcy czystości kościoła, czystości rasy gallijskiej, czystości nauki, czystości sumienia, tudzież głupoty uroczystej i absolutnej.

Powołanie Renana przez Rząd Obrony Narodowej na katedrę w Collège de France, odebranej mu przedtem przez rząd cesarski w 1862 r., następuje w listopadzie 1870 r. podczas oblężenia Paryża naskutek jego prośby. Tak, podczas oblężenia Paryża, kiedy—jak dziś wiemy—rodziły się rozpustne dzieci i zawierały samolubne małżeństwa.

Zarzut ostry, fakt kamiennej mocy, jeden z dowolnego tysiąca sfałszowanych.

Pełen popielcowej skruchy, w zmienionych warunkach politycznych już niewymaganej, podnosi Renan w tym dokumencie swoją niewinność, osiem lat nieporozumie-

nia, zasługi, *umiarkowanie*, przewiduje czas i chwilę, kiedy sam kościół przywoła go na obrońcę przeciw destrukcyi i napaściom wrogów prawdziwych i zapłacze nad skromnym — *pełnym czci dyssydentem*, któremu wypaczył życie.

Ironię tak krzyczącą, intencję tak wyraźną połykają ludożerne rekiny bez zastanowienia, jednym tchem i haustem, jako dowód uniżoności i służalstwa <sup>1)</sup>.

Dalej z pism autobiograficznych i ogłoszonej korespondencji z cudem — siostrą, Henrietą, która była dlań najtkliwszą matką, kordyalnym duchem bez skazy, sekretarką, cenzorką jego klasycznej prozy, — wynika dla biografów niewdzięczność, tępość, nawet okrucieństwo. Szanując wyłączość, wielkość jej uczucia, zrzeka się Renan mał-

<sup>1)</sup> Por. o Renanie rzecz krytyczną, sumiennie opracowaną, lubo „*cum studio neque sine ira*“: Hippolyte Parigot *Renan—L'Egoïsme intellectuel*. Paryż. Ernest Flammarion str. 378 i — ultra-paszkwilową — *Erneste Renan, Sa Vie et Son Oeuvre* H. Desportes et F. Bournand. Paryż. Tolra. str. 304.

żeństwa z panną Scheffer, ślub odbywa się potem z przyzwolenia siostry, nawróconej do dalszych poświęceń—sprawy całego jej życia, za którą dała życie. Nic to wrogom nie mówi... „Wystarczała nam cicha komunია ducha... Tak żądnej, tak wyłącznej sercem poświęcałem kilka chwil dziennie—wiedziała, że jest kochaną nad wyraz... Była żywą kroniką myśli mojej... Zawdzięczam jej swój styl... Wyrobiła sobie swój własny, świetny, wzorowany na starych źródłach krynicznej czystości... Stała się dla mnie odtąd mistrzem surowym, sędzią nieubłaganym... Podzielała kierunek moich studyów — sądząc, że w tej dziedzinie myśli—przy zachowaniu miary artystycznej—wolność i szczerłość obowiązują każdego myśliciela“...

Przypisał jej Renan „Życie Jezusa“ kwiat jego sławy, wznosi sto pomników pamięci w księgach, wspomnieniach, listach, w monografii arcyłudzkiej czci i adoracyi kobiecego serca: „*Siostra moja—Henrieta*“...

Stąd biorą hyeny asumpt do szkalowania, sza-ka-lo-wania dwóch ludzi, których

spółzycie było poematem, pieśnią, wzniesieniem się ku Bogu.

Przyjaźń z Berthelotem, z którym łączyły go wspomnienia młodości i karyery naukowej, rozumie Renan, jako symbiozę duchów, oderwanych od uczuć, wzruszeń, świadczenia sobie przysług,—co poczytywaliby sobie za ujmę. Tu znowu dopatrują się szpiegi obyczajów—oschłości. I t. d.

Czas i ziemia, księga i człowiek, nauka i życie, przyjaźń, rzadki dar miłości, wreszcie idea Boga, jako rozgałęzienie własnej jaźni. — wszystko (tak sądzą) służy jednej tylko organicznej sile trawiącego mózgu i jednej funkcjonalnej — słowa. Wszystko jest mięsem, tematem, podniecią czy ofiarą, na którą Renan schodzi z niebios, jak Jahwe i którą w dowód łaski spopiela.

Arystoteles, Platon, Bakon, Kartezyusz, Malebranche, Leibnitz, Kant, Fichte, Schelling, Herder, Goethe—to dla Renana tylko mierzwa „nieskończonego postępu i rozwoju“, nawóz miliarda wieków, parobki na pańszczyźnie wieczności, niekiedy — chór,

świadczący o erudycji Renana, niekiedy giermkowie jego sławy, na jednej stronie wielcy, na drugiej wżgardzeni. Jest to głowa i tylko głowa—nie genialna, nie wynalazcza, ale krzepka, dobrze sklepiąna, wyniosła—ot, nowożytny piec cerebralny o kominie niebosiężnym, nie ogień, jeno—zwulkanizowane miejsce dla ognia, palenisko samolubne, wolne od zarazy, forma—w której stygnie wszelka treść, złuda, marzenie życia.

I ta ironia, ironia nigdy niepewna, co się modli do powalonych bogów, niepokój złego sumienia, powracający do niedoli tej ofiary, sentyment matkobójcy do psa i płaszka!

Eksponuje się jakoby w dziełach Renana pyszna i próżna psychologia spożywcy dóbr idealnych, arystokratyzm i epikureizm dorobkiewicza wielkiej kultury.

Zamiast religii—dwugłowy kult mądrości: a więc kult posiadania wiedzy realnej i pozytywnej, opartej na kapitalizacji dorobków tysięcy, — i kult przyszłości rozumu, dla

której utopie pozytywistyczne nie widzą granic.

Czas jest głównym spólczynnikiem rozwoju, myśl—wytworem unormowanej, stale wzmagającej się produkcji fabrycznej. Rośnie, jak odsetki, w nieskończoność, w równych, prostych kilometrowych liniach, jak po ubitych drogach państwowych, rozwija swoją szybkość coraz doskonalszego motoru.

Jeżeli nie za tysiąc, to za sto tysięcy, za kwadryliony wieków—małostka—z Ziemią czy bez Ziemi, w kooperatywie, spółce akcyjnej z planetami tego samego słonecznego systemu — *n'importe* — w syndykacie wszystkich *trust'ów*, wszystkich dzielnic Kosmosu, w jedności wszystkich zrzeszonych i sfinansowanych systemów słonecznych—stanie się wiekuista światłość o sile miliarda miliardów koni parowych, jedno słońce słońc, jeden byt bytów, jedna za wszystkich, co byli—są—będą, *Świadomość*, jeden bóg, jedno odkupienie, zmartwychwstanie i nagroda.

Karyera Ziemi wyczerpana. Jesteśmy

u kresu i celu ludzkości. *Fiat Deus*—i oto jest Bóg uczonych, wszechmogących oligarchów, chemików, fizyologów, prometejów i wskrzesieli.

Istnieją rzeczy ciekawsze. W niemocy racjonalizmu narodziny jego mistyki. Mistycyzm tego lotu wynika nie z wiary, lecz z zabłąkania się w krążgankach, dla rozumującego rozsądku zawartych i niełaskawych. Część stepu przebyto rysią, część drugą—wskok, na ostatnich postojach legł rumak pod jeźdźcem, obsiadły kruki, dopadła wieczna noc.

Wstań i pójdź kto bez trwogi! Wstań i wróć kto bez dumy! Przesuwają się ironiczne mary, przewodnicy, którzy wyzionęli ducha na tej samej drodze, na tem samem miejscu. Biblia, Ewangelie, Chrystus, Platon, Sokrates, Ojcowie Kościoła, i tuż... Voltaire, [Diderot, Hegel, od którego wzięł Renan myśl o posłannictwie ludów, stawaniu się Boga i Historii, — antynomie Kanta, Schopenhauer—zresztą tylko przelotem, muśnięciem zimnych warg, dla teoryi świadomości

niewyzyskany, chociażby jako twórcza możliwość buntu człowieka przeciw „dobrotwórczym fałszom natury“. Leży ta natura gdzieś... daleko, niby siedlisko, dom, budowa, wyrosła bez człowieka i poza człowiekiem, przeto większa i godniejsza od muchy uwięzionej pod kloszem wieczności o jednej tylko szczelinie milimetrowej średnicy.

Jutro mucha ta będzie arcykapłanem uniwersalnego rozumu, czynnikiem doskonałości świata, zasiądzie po prawicy Boga, jako wiedząca o sobie historia, świadomość przebóstwiona i dokonana do ostatniego włókna. Tak jutro. Dziś, dziś nie umie, co umieli wielcy każdego czasu: złamać zmorę śmierci, odległości, elementarnej niewoli ślimaczej. W takim zarysie świata byłby człowiek z całą jego świadomością i balastem erudycyi — t. j. historyi, — karłem, co przytroczony do siodła, olbrzymy posyła po zwycięstwo.

Jakaż to *wiara*? Dla wiary (mówią) jest Renan artystą zbyt trzeźwej intuicyi, dla niewiary zbyt bystrym makjawelem słowa.

Pozostały mu tylko tradycje teologicznych pomysłów, nawyknienia teologa, dla którego *Bóg* stał się potrzebą *idei*. Bog jest i staje się, był—nie jest—będzie. Raz jest światem, raz absolutem praw natury, raz świadomością, raz morałem „dobra, piękna, prawdy“, trzech judaszowych słów, dawno spalonych i rozwianych w słońcu.

Ukazują się jednak wciąż jak cienie idei renanowskiego boga, naskroś literackiej, dyalektycznej, wtórnej.

W przedziwne jedno łączy deizm, pan-teizm, nawet antropomorfizm,—skoro bóg, wytworzony w retorcie uczonych, posiada wszystkie zalety sumiennego badacza pierwotniaków.

„Dyalogi“ to głęboka, samobójcza wiwi-sekcyja, satyra na bogi, co ścielą gniazda śmiechu w ludzkim czerepie, wielopiętrowe rusztowanie pałubiczne o liniach pokrzyżowanych na miarę mózgowej siatki, w których zagubić się może tylko kłapouchy pro-staczek, majsterek o dwóch dętach „tak“

i „nie“, nigdy pan na własnej myśli, a przez to i nad każdą włością *cum boris, lasis et graniciebus*.

W świetnej, prawdziwie szczęśliwej chwili namacał w sobie Renan i wydobył jedną śmiercionośną kulę, pocisk druzgocący cały pyszny kram, całą jałowość konstrukcyi pozaintuicyjnych. Dla tej jednej myśli warto uratować nowożytnie miasto chimery, dla niej jednej, jak dla odrobiny radu, rozrobić warto górę gliny.

*Idea nie prowadzi do niczego, jeżeli nie uświęca jej uczucie.* Myśl tę, zapożyczoną od Kanta, podjął i porzucił, jak inne, i w dalszym rozkotłowanym biegu nie widzimy jej śladu.

Jest ona wszakże kierowniczą dla ludzkości i historii. Wykrywa fałsze miary i wagi, niezdatność starych kryteriów natury i charakteru człowieka, mówi o *miłości*, jako zasadzie i korektywie rozumu.

Po to, by ducha, kraj, dzieło sztuki, Boga poznać, znaleźć trzeba do nich drogę, t. j. *umiłować je poznaniem*.

Niema też innej drogi, niema innego dostępu do człowieka, jak przez żywą miłość. Nikt dla nikogo nie może być miarą, nikt sam przez się nie może być ani wzorem, ani przykładem, ani twórcą jego historii i losów, wypadkowej jego życia i ducha. Tak co do ludzi i tak co do natury i rzeczy, które opanowuje się miłościwie, albo się je widzi ułomnie, mętnie, na odległość nienawiści, pogardy lub pychy. Boga nie można wyrozumować, ani wymyślić. Boga można tylko w sobie uświęcić i nie jako ideę, ale jako miłość, radość, skąpanie wszystkich trwóg i lęków w morzu zjawisk.

Oto przykład. Z Renana czyni Perigot, analityk sumienny, jakąś maszynę intelektualnego egoizmu, kłusownika, co poluje po obcych dziedzinach, wiecznie głodne wnętrze, co przetwarza nieskończoną bujność życia na własną przyjemność rozumowania. Ludzi takich nie było, niema.

—„Byłbym nieszczęśliwy—myśli Renan—gdyby tu naraz czegoś zbrakło. Wzywam się w każdy stan ducha, spóżyję z każdym

w jego dumie, błędach, grzechach, rozpaczy“... A więc tu błyska możliwość uświęcenia wszystkiego, co jest.

I *egoizm* uświęcić można bez trwogi o srogość tego symbolu. Dlatego że nie pokrywa on nikogo w szczególności, albo pokrywa całą ludzkość, jak noc, która służy wszystkim, jak słowo, które niekiedy zawiera historię wszystkich zbrodni, dokonanych na człowieku przez człowieka.

Renan był z tych, którzy o coś całe życie walczyli, z czemś się całe życie zmagali. To *coś* było w nim, było jadem—oto już prawie dwóchtysiącletniej kultury fałszu, obłudy, przymusu.

Żył w księgach i przez księgi. Walkę, którą uzewnętrznił, jakkolwiek dawano jej nazwę,—przeżywa każdy człowiek myślący.

Odbywa się ona nie tylko pod pokrywą płonącego mózgu. Trwa dzień i noc w realnych, potężnych zrywach masowych i indywidualnych—*Szukanie Boga*. Ukośnie, jak Faust, widział Renan w zwierciadle tę zmozę, gdy mówi o tem, że ludzkość jeszcze

przed dokonaniem dzieła świadomości „lecz może pod ciężarem własnego rozumu“.

Nas dławi, nas zabija przeszłość, cudze doświadczenie, cudza filozofia, cudze kultury, wygasa mądrość zmarłych, którzy nie byli świadkami tak wspaniałego rozrostu życia.

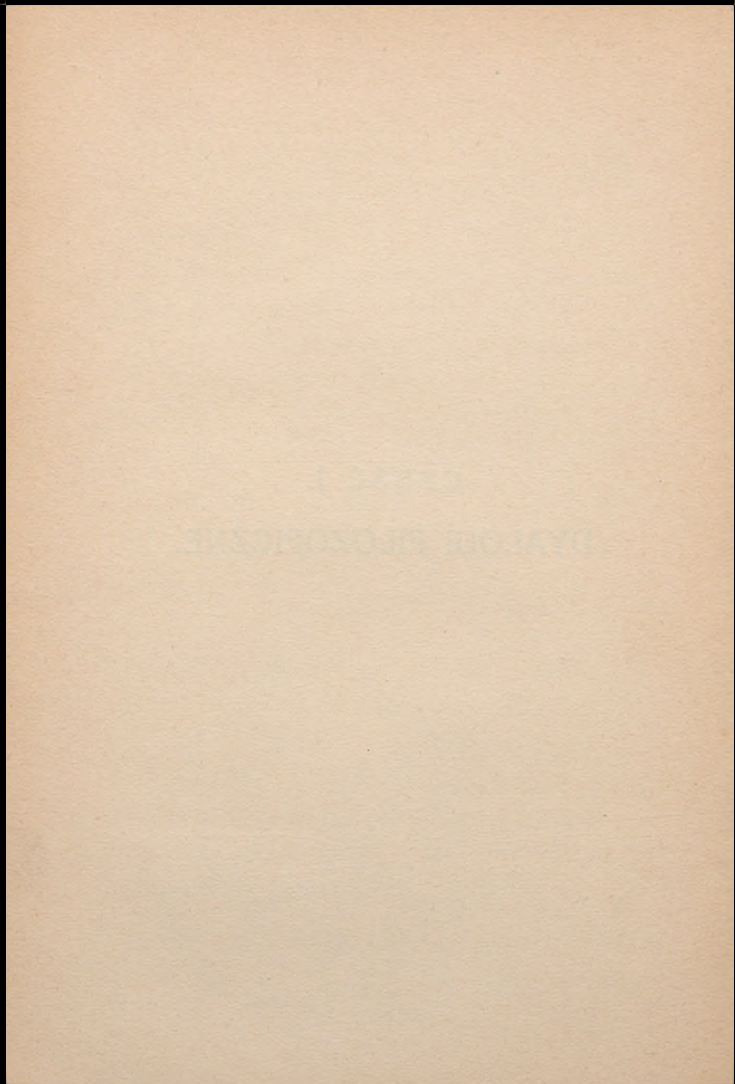
Renana życie to jeden ciągły trud, jedno wytężone, młode dążenie do poznania. Unikał zgiełku, polityki, pospolitości, powołując się na Condorceta, który w krwawe żniwa Terroru, w kryjówce przy ul. Servandoni pisał swój — *Zarys rozwoju ducha*.

---

W „Dyalogach“ dał Renan metafizyczny okres swego bytu. List do Berthelota, jego odpowiedź i „Metafizyka i jej przyszłość“ — rozprawa, którą, ze względu na podobieństwo tematu, daliśmy w skrócie, — dopełniają „Dyalogi“ nie przez chronologiczną, lecz przez wewnętrzną konieczność „ostatniego słowa“.

*Grzegorz Glass.*

CZĘŚĆ I.  
DYALOGI FILOZOFICZNE.



## DYALOGI FILOZOFICZNE.

### I. TWIERDZENIA.

FILALET. EUTYFRON. EUDOKSYUSZ.

W początkach maja 1871 r.—Eutyfron, Eudoksyusz i Filatet,—wszyscy trzej filozofowie szkoły wyznającej, jako zasady elementarne kult ideału, negacyę Nadprzyrodzonego i doświadczalne badanie rzeczywistości, opuścili Paryż.

Z myślą o klęsce, której uległa ich ojczyzna, błędzili smętnie po najodleglejszych kątach wersalskiego parku. Eudoksyusz miał przy sobie egzemplarz „Rozmów metafizycznych“ Malebranche'a. Gdy usiedli, począł odczytywać nagłos dyskurs trzynasty:

....„*Jakże piękną i wzniosłą jest ta, której mi użyczyłeś, Teodorze, — Idea Opatrzności! Sądzę, że powinna chyba nakazać milczenie duchom wyuzdanym i niezbożnym. Niechże tworzy światło i usuwa przeszkody to wysokie principium. Wszystkie zjawiska, przeczące sobie wzajem ze stanowiska porządku świata i taski Boga Pana, nie wykazują żadnej sprzeczności, z stanowiska przyczyny twórczej; prze-*

*ciwnie, tem bitniejsze dają dowody jedno-  
ści zamiarów i kierownictwa. Wszystko Złe,  
wszystek nierząd, ktore nas tak niepokoją, ukła-  
dają się zgodnie w Mądrości, Pięknie i Spra-  
wiedliwości Tego, który kieruje wszystkim.  
Albowiem trzeba, ażeby dzieło Boga było po-  
znawalne i dokonywało się na drogach, odpow-  
wiadających atrybucyom bóstwa. Dziś tedy  
wielbię i podziwiam opatrnościowy bieg i ca-  
łokształt wszechrzeczy.*

TEODOR.

*Widzę, Aryście, iż się dostąpił z blizka za-  
sady, którą ci tymi dniami wyłożyłem: zda-  
jesz się być nią jeszcze wzruszony. Ale czyś  
ją tylko pochwycił dobrze? O czem wątpię so-  
bie pozwalam, gdyż trudno przypuścić, abyś  
ją w tak krótkim czasie przetrawił i wziął  
w całkowite posiadanie. Zresztą, zechcij nam  
powierzyć niektóre z twoich refleksyi, iżbym  
zbyt wątpienia. Bowiem im pożyteczniejsza  
zasada, tem niebezpieczniejsza, gdy nieprze-  
myślona.*

ARYST.

*Tak też sądzę, Teodorze. Ale to, coś mi  
o Bogu mówił, jest tak jasne, tak miłośnie  
się zgadza z ideą nieskończenie doskonałą  
i z widzialnym światem rzeczy, że udziela mi  
się ta prawda z całą pewnością.*

. . . . .

EUDOKSYUSZ.

Nieprawdaż?—jak chwilami zbliża się ta mądrość do naszej! jak łatwo mogłaby być przez nas przyjęta? Owa zasada Malebranche'a, że Bóg nie podporządkowuje się wolom wyjątkowym, streszcza wyniki naszej teodycei.

FILALET.

Zapewne. Lubo że wiedza Malebranche'a o wszechświecie była—w porównaniu z dzisiejszą— dość uboga, wyniki jej są nader trafne.

EUTYFRON.

Pozostawiając już na uboczu ogromne sprzeczności, z których nie uczynimy mu chyba zarzutu,—uwzględniając przeszkody, stawiane mu przez nietolerancję wieku i odrębność jego wierzeń religijnych, nie mógłbym już w żadnym razie podzielić jego zbyt ryzykownych poglądów na istotę wszechświata.

Na to, co wiemy—prócz trofeów, zdobytych przez nas na rzeczywistości, składają się jeszcze doświadczenia, dokonane przed i poza nami, ale które nas doszły bądź przez słyszenie, bądź przez czytanie. Indukcya i uogólnienie, zastosowane do tych danych, doprowadzają nas do mniej lub więcej prawdziwych wyobrażeń o częściach wszechświata. Powiedziałem „mniej lub więcej prawdziwych“, bowiem dla twierzeń ostatecznych, mających za przedmiot doświadczalną część świata, trzeba byłoby

poznania nieskończonego ogromu faktów, co jest nad siły umysłu ludzkiego. Świadomość nasza, pod tym względem, przypomina względną doskonałość topograficznego planu: najlepszy z nich nie może dać doskonałego odbicia miejscowości, najmińszemu nie można odmówić znaczenia...

W pochodzie swoim, obejmując coraz szersze dziedziny rzeczywistości, poznanie nasze traci na pewności. Cóż tedy powiedzieć o poznaniu, które wyciąga ramiona do całego Kosmosu? Pamiętam niegdyś... w podróży jedną mroczną, nieprzenikalną noc. Mała, nikła latarenka rzucała światło w promieniu kilku kroków. Trochę jasnego piasku i kamieni, zresztą — czarna nieskończoność. Byłoby wówczas nielada zuchwałością, siedząc w maleńkim, zacienionym kręgu światła na płaszczyźnie, wyrokować o niebosiężnych skałach, górach, potokach. Takbyśmy właśnie postąpili, chcąc z udzielonej nam w świetle placówki wnosić o bezmiarach całości.

#### FILALET.

Tak czy owak, musimy na zasadzie rzeczy widzialnych skonstruować teorię świata niewidzialnego i to pod groźbą nawrotu do bytowania zwierząt, krąjących dokoła najpierwotniejszych potrzeb i chuci.

EUTYFRON.

Przypuśćmy. Ale też nie wolno zapominać, że tak zakreślone widnokreśli nie przekraczają granic tego, co starożytni nazywali *placita philosophorum*, τὰ ἀρεσκόμενα. Nad spekulacjami tego rodzaju góruje wątplenie wyższego lotu. Wątplenie ima się rzeczy nierostrzygalnych. Zawodzić nas może przedewszystkiem—rzeczywistość, oko, przez które postrzegamy świat. Czy nie jesteśmy igraszką nieuniknionych błędów? Chcąc rozwiązać to pytanie, wpadamy już w koło zaczarowane.

FILALET.

Co do mnie, przywykłem nie odbywać postojów na tych wątpliwościach, które tylu myślicieli sprowadzało na manowce bez wyjścia. Ponieważ rozum używany jako środek poznania, na kształt niezmiennej miary, nigdy nie prowadził na bezdroża, trzeba wierzyć, że jest dobry i godzien zaufania. Waga sprawdza się sama przez się, dając przy zmiennych ciężarach wyniki stałe.

EUDOKSYUSZ.

Powiedzmy jeszcze, że ludzkość nie jest tak jednolita, jak to sądził Kartezyusz, a nawet—Kant. Znamy jednak wiele odmian ludzkości, a zwłaszcza dwie naczelne: jedną, która powstała na Zachodzie Azyi i Europy i drugą — w Azyi Wschodniej. Mówię o Chinach.

Otóż dwie te, nierówne wielkością gromady ludzkie kształtowały się podług tego samego niemal psychologicznego planu. Można też bez obawy popełnienia znaczniejszego błędu ustalić myśl, iż inne, rozsiane w przestrzeni społeczeństwa nie różnią się zasadniczo w najistotniejszych sprawach religii i narodu, — być może, w mniejszym jeszcze stopniu, niż—Anamita od Chińczyka.

FILALET.

Cierpkie czasy. Postokroć na dzień zadajemy sobie pytanie, czy warto żyć, patrząc na zniszczenie rzeczy umiłowanych. Szczęśliw, kto wierzy w wieczne Królestwo Boga i może, jak św. Augustyn, umrzeć podczas oblężenia pocieszony.

Być może, są to czasy, kiedy warto byłoby dokonać rewizyi naszych wyobrażeń o Bogu i wszechświecie. Sądzę, że do tych przedmiotów należy powracać co dziesięć lat, aby zdawać sobie rzetelną sprawę z wartości, któremi się operowało od czasów ostatniej likwidacyi.

EUDOKSYUSZ I EUTYFRON.

Słusznie.

FILALET.

Na trzy zabory zwykłem łamać swoje wierzenia w tej materyi. Pierwszy, niestety skąpy, ściśle ograniczony, — to *twierdzenia*, drugi — prawdopodobieństwa, trzeci — marzenia.

Jak sądzisz, Eutyfronie? Możeby poniechać części trzeciej, choć to dla każdego, jak się widzi, kraina najdroższa i najbardziej obiecana?

EUTYFRON.

Dobre i użyteczne jest marzenie, pod tym jednak stałym warunkiem, aby je zawsze brano za to, czem jest. Pamiętajmy Hegłowską zasadę: Niepojęte niech będzie też, jako takie, pojmowane.

EUDOKSYUSZ.

Prosimy więc Filaleta, aby z pośród naszych wyobrażeń o wszechświecie zechciał tu wyłożyć te, które w jego mniemaniu zasługują na miano *twierdzeń*.

FILALET.

Dwie rzeczy, gdy rozmyślam o wszechświecie, wydają mi się zupełnie pewne — i to tak dalece, że gdybym ich nie potrafił wyłożyć duchom naukowo wtajemniczonym, pochodziłoby to zapewne stąd, że wykładam — źle.

Pierwsza, — że, analizując część świata poznawalną, nie znajdujemy w niej śladu istot skończonych, wyższych od człowieka i działających na zasadach woli wyjątkowej, mówiąc językiem Malbranche'a.

EUDOKSYUSZ.

Prosimy o wyłożenie przedmiotu.

## FILAI.ET.

Zamieszкана przez nas planeta ma wygląd zgoła odmienny od tego, jakiby miała, gdyby człowiek nie istniał. Inaczej mówiąc, człowiek uczestniczy w stawaniu się naszej planety na podobieństwo przyczyny. Poza Ziemią, twórczość człowieka możemy uważać za nieistniejącą, ponieważ udział naszej planety w systemie światów sprowadza się do ciężenia Ziemi; jednak, pomnąc, że człowiek jest przyczyną, bodaj przypadkową, szeregu zjawisk cząsteczkowych, — powiedzieć można, że uczestniczy on w całości w tej mierze, jaka odpowiada ilości różniczkowej pomiędzy światem o Ziemi zaludnionej a światem o Ziemi niezaludnionej. Co więcej, i zwierzętom przyznaną być musi rola przyczyny w oddziaływaniu na całokształt rzeczy. Planeta, zamieszкана przez same zwierzęta, oglądałaby na swojej powierzchni zjawiska, pochodzące z samorzutnych czynności zwierząt, a odmienne od zjawisk zgoła mechanicznych, które nie zdradzają prawa doboru; wypada stąd, że gdyby w wszechświecie były istoty, działające na powierzchni planety, jak człowiek, lub w sposób jeszcze czynniejszy, czyny ich byłyby już dawno postrzeżone. Wyobraźmy sobie istotę rozumną z innego świata, przeniesioną na nasz glob. Zanimby jeszcze napotkała ludzi, orzekłaby, że planetę

Ziemię zamieszkują istoty rozumne, jak ona, wolne i świadome swych środków i celów. Dla takiego twierdzenia wystarczyłby jej widok muru, drogi, alei drzew. Tak samo, onych czasów rozbitek, który wylądowuje na nieznaney wyspie, z figur geometrycznych na piasku, orzeka na miejscu: „tu są ludzie“.

Jednakże widowisko świata nie upoważnia nas do takich twierdzeń.

Wszystko, co prawda, odbywa się w porządku i harmonii. Ale nic odrębnie celowego w poszczególnych zdarzeniach! Wszystko się dzieje podług praw naczelných, w których nigdy jeszcze nie postrzeżono odchylenia na rzecz celów wyjątkowych. Najprostszem objawieniem takich odchyień byłoby wyróżnienie człowieka sprawiedliwego lub wysoce pięknej sprawy. Nic podobnego nie miało jednak miejsca. Natomiast absolutną jest nieczułość natury, jej transcendentna amoralność, równa amoralności Historji i przyrodzonej niesprawiedliwości społeczeństw. Cokolwiekby w tym kierunku czyniono, nigdy społeczeństwo nie potrafi tworzyć sprawiedliwości.

Wiem, że ogromna większość ludzi wierzy, że istnieją duchy patronujące niewinności, mściciele zbrodni, dające posłuch ludzkim błaganiom i zaklęciom. Pochodzi to, oczywiście, stąd, że niewtajemniczeni w myślenie ściśle, nie mają też dostatecznej siły analitycznej, ani

umiejętności dla wyrozumienia tej prawdy, iż w biegu rzeczy niema miejsca na wmieszanie się w sprawy świata istot wyższych. Wypadek odwrotny byłby niezwłocznie stwierdzony. Wszelako nie ustalono jeszcze w żadnym wypadku śladów czynu rozumnej ręki, któraby się bodaj na chwilę uwikłała w wieczną znowę zdarzeń. Pole doświadczalne było aż dotąd tak bezmierne wielkie, że nie uszłyby naszej uwagi taka chwila przełomu.

EUDOKSYUSZ.

Odmawia pan modlitwie skuteczności?

FILALET.

Nie odrzucam modlitwy jako mistycznego hymnu. Jest modlitwą, w tem znaczeniu wyrazu, każdy akt uwielbienia, radości czy umiłowania. Ale modlitwę wyrachowaną,—modlitwę, zapomocą której istota skończona stara się podać swoją wolę woli istoty nieskończonej—tę odrzucam i poczytuję za rodzaj zniewagi, zniewagi niewinnej, wyrządzonej bóstwu:

*Tenui popano corruptus Oziris.*

Lichymi darami usiłuje człowiek przekupić Boga.

W czasach pierwotnych, gdy bohater umierał na chorobę raka, wierzono, że został pożarty przez boga. Ofiarowano w takich razach bogom świeże mięso, przypuszczając dość rozsądnie, że

mając mięso zdrowe, wypuści z szponów—cho-re. Profan wierzy, że istnieją duchy, oddziaływa-jące na kierunek zdarzeń bezpośrednio, od-ręcznie,—odręcznie też zwraca się do nich, aby uprosić je o czyn odpowiadający pragnieniom. Śmiech i nędzę tego fałszu doskonale widzieli już starożytni filozofowie.

Diagoras z Melos, któremu pokazywano w świątyni Posejdona wota żeglarzy, rzekł do obecnych: liczą tylko uratowanych, ale nie liczą zatopionych, którzy czynili te same objaty. Słowom tym—nic ująć, ani dodać. Rzecz równie pojęta, jak niepojęta, że w takiej potrzebie czło-wiek waży tylko pomyślnie zdarzenia. Wypadki miłym złudzeniom przeczące, puszcza się za-zwyczaj w niepamięć. Tu leżą mętne źródła wszelkich cudów. A tych cudów żądaniem jest przecież każda modlitwa. Człowiek, niepokoją-cy bóstwo, żąda od niego odstępstwa od wytknię-tej linii, po której się toczy świat. Chory, który niemodlitewnem prawem natury, winien umrzeć, żąda cudu, czyli żąda, aby choroba śmiertelna—śmiertelną nie była. Chłopi, którzy odbywają procesye od posuchy, albo od nad-miernego deszczu, żądają cudu, czyli żądają, aby deszcz padał albo ustał na skutek umyśl-nego przewrotu w ogromie zjawisk atmosferycznych.

Wszelkie deszcze czerwcowe zależą od zmian, które się dokonały na lodozwałach północy,

w maju. Trzeba więc, aby Wieczność o modlitwach, które się przed Nią zanosi, była uprzedzona o miesiąc wcześniej, iżby mogła skupić całą swoją uwagę na zjawiskach lodozwałów, zamącić sposoby ich powstawania, albo też wprost wzbronić lodowym krom północy ochładzania i zgęszczania oparów.

I stały się w owe czasy z miesięcznym wypowiedzeniem wywrotny cud.

Dla uzasadnienia wiar tak rozpowszechnionych należałoby stwierdzić te wypadki, w których modlitwa była rzeczywiście skuteczna, t. j. stwierdzić, że modlitwa umiała odwracać bieg rzeczy naturalny i nadawać mu kierunek odwrotny, pożądaný. Oczywiście, fenomenów podobnych nie stwierdzono nigdy. Modli się, modli człek od początku świata i, mimo to, nie udało się zdobyć dowodu, że modły wywołały skutek należyty. Wydarto niedawno ziemi prawie 3,000 napisów punickich. W każdym z nich jakiś nabożniś Kartaginy obwieszcza, że Tanita i Baal-Hammon wysłuchały jego modlitwy, dzięki czemu wyżłobili ku czci tych bogów kolumienkę. Niestety, Tanita i Baal-Hammon, jak to dziś, dziś za ledwie, wiemy, należały do kategorii ludzkich bałwanów i nie mogły świadczyć żadnych łask ni cudów. Trzy tysiące kartażyńskich kolumienek krzyczą o błędzie. Tak samo stos świętych obrazków i wotów nowej

ery, tak samo—tłumy pobożnych, tłumy fałszywych świadków złej i dobrej wiary.

Statystyka tego opętania byłaby rzeczą nader pożyteczną. W czasach posuchy dwadzieścia—trzydzieści parafii danego kraju odbywa procesye dla wywołania deszczu, dwadzieścia—trzydzieści procesyi nie odbywa. Za pomocą sumiennego rejestrowania rzeczy boskich i operując znaczną ilością wypadków, łatwo byłoby ku odśledzeniu ludzi ślepych ustalić, czy procesye odniosły skutek, czy parafie, które procesyi nie zaniedbały, zostały bardziej wyróżnione i czy ilość spuszczonego deszczu była w stosunku prostym do ich gorliwości modlitewnej.

Można byłoby eksperymentować na sposobów sto i tysiąc, w nieskończoność. Oto np. dwie sale dzieci jednako chorych. Z zachowaniem środków zapobiegawczych, aby nie było oszustwa w repartycyi, dzieciom jednej sali zawieszamy na szyjki medaliki poświęcone, dzieciom drugiej — nic. Poczem bez obrazy bóstwa pozwalamy sobie postrzegać, czy wspomniane praktyki oddziaływały na przebieg choroby. Badań tak bluźnierczych nigdy nie przeprowadz no. Rezultaty zresztą mogły być przewidziane zgóry.

Równie szerokie pole dla stwierdzenia braku wszelkiej ingerencyi nadprzyrodzonej daje historia.

Narody najzbożniejsze w świecie popadają w niewolę niezbożną, narzuconą im, co gorsza, przez ludy złe, niskie, bogoburcze, bez możliwości stwierdzenia, że Opatrzność szukała w jednej z walczących stron czegoś więcej, niż odwagi, siły, liczebności.

Domniemany bóg wojny otacza zawsze swą mistyczną opieką tę stronę, która ma lepszą broń, artylerję, generałów. W rządach swoich wykazuje natura absolutny brak morału. Słońce wschodzi jednak nad dobro- i złodziejem. Niema więc w rzeczywistości ani jednego faktu, który pozwalałby na wiarę, iż poza ludzkością trwają istoty skończone, mające oddziaływać na naszą planetę. Nie znaczy to bynajmniej, że poza ludzkością niemasz istot myślących i aktywnych. Ale znaczy to, że sfera ich działania nie rozciąga się na naszą planetę, ni na ruchy ciał niebieskich. Gdyby taka czynność wyjątkowa istniała, byłaby, rzecz prosta, dawno stwierdzona.

Wyobraźmy sobie, że mrówki tworzą społeczność w zupełnem pustkowiu, kędy człowiek ukazuje się dwa—trzy razy na stulecie. Wyobraźmy sobie dalej, że mrówki te posiadały zdolność poznania natury, niektórych jej praw, nie mogą sobie jednak zdać sprawy z ogromnej istoty, mającej właściwość deptania mrówczych egzystencji. Ich filozofia przyrodzenia byłaby podobna do naszej; musiałyby przyjąć zastrze-

żenie, że prawa natury w pewnych momentach — co lat 40—50 — ulegają przewrotom, że jakaś istota nieznana, potężna, jakaś siła nieubłagana i dorywcza przechodzi i wywraca wszystkie mrówcze usiłowania.

Lecz gdyby mrówki umiały myśleć, nigdy i w żadnym razie nie utożsamiałyby ukazywania się takiej istoty z burzą, huraganem, zjawiskami zupełnie mechanicznymi, wolnemi od zarzutu i kategorii „celowości“. Człowiek, pojmovany przez nie mniej lub więcej mętnie, byłby dla nich tem, czem bóg dla starożytnych: istotą potężniejszą od człowieka, która chwilami w ten sam sposób dorywczy wdaje się w sprawę ludzkie i ziemskie.

Otóż nigdy jeszcze nie stwierdzono, że istota taka poza człowiekiem istnieje, nigdy podobne zjawisko, jak w tylko co wyłożonej hipotezie, nad głową ludzkości nie przeciągało.

Niegdyś wybuchy wulkaniczne, trzęsienia ziemi, epidemie były brane za fakty tego rodzaju, jako znamiona gniewu Pańskiego. Dziś każda jednostka ukształcona z łatwością odrzuca wiekowe brednie i, zda się, żadna akademia umiejętności nie przypisała dotąd wybuchów Hekli lub Jorulla wyjątkowym grzechom Irlandyi i Meksyku, zwłaszcza wobec faktu, iż kraje o ludności niemoralnej od dopustów ziemi trzęsienia zostały uchowane.

EUDOKSYUSZ.

Czy to jest cała pańska teologia? Wydaje się dość ujemną...

FILALET.

Pójdziemy dalej. Mówiłem, że w teologii uznaję dwa pewne założenia. O ile uważam za niewątpliwe, że żaden kaprys, żadna wola wyjątkowa nie wchodzi w osnowę faktów wszechświata, o tyleż uważam za oczywiste, że świat ma swój cel i tworzy potężne dzieło mistyczne.

Istnieje coś, co się kształtuje na skutek konieczności zewnętrznej przez instynkt nieujawniony, podobny do ruchów rośliny w kierunku wody i światła, do ślepych wysiłków embryonu, wychodzącego z macicy,—lub do tej konieczności, która przewodzi przemianom owadu.

Świat nad czemś pracuje:

*Omnis creatura ingemiscit et parturit.*

Wielkim, twórczym czynnikiem światowego pochodzenia jest — cierpienie, istota w dążeniach swoich napotykalająca przeszkody i oporem podrażniona. Szczęśliwość daje tylko stany bezwładu. Opór jest zasadą ruchu. Ciśnienie sprawia, że wody wzbierają. Dojrzałość młodej dziewczyny ma za przyczynę dojrzałość jajka. Poczynając od zwierzkrozwu, dziwnego pierwotniaka, który powstał jaknajwcześniej, a kończąc na najbardziej dojrzałym czło-

wieku, wszystko dąży do bytu i do utrwalenia bytu. Wszystko możliwe dąży do ziszczenia, każda rzeczywistość dąży do świadomości,— a każda świadomość ukryta—do samoprześwienienia.

Jak przeogromne serce, wypełnione po brzegi głuchą, burzliwą miłością, świat jest bezustanku w mękach kształtowania życia. Ciało już ukształtowane dąży do stworzenia typu; olbrzymiejąc, nabiera potrzebnych mu części i narzędzi zapomocą jakiegoś ślepego rozumu, którego wyniki dadzą się przewidzieć z góry. Każdy typ wybiera z swego mięszu wszystko możliwe dla udoskonalenia swego egoistycznego bytu. Zasada przemyślności w naturze utożsamia fakt stworzenia sobie ssawki przez mięczaka z tworami głębokiej sztuki. To, co mówimy o typie zwierzęcym, należy też zastosować do narodowości, religii, do każdego wielkiego bytu, ludzkości i całego świata.

Czujemy nieskończony wysiłek świata dla wcielenia w życie jednego rysunku, wypełnienia jednej formy, jednej świadomości. Świadomość, ogarniająca wszystko bytu, nie przekracza podobnie zaczątkowej świadomości polipa lub ostrygi, wszelako istnieje! Świat zdąża do swych celów z instynktem pewnym, nieomylnym. Materjalizm mechaniczny uczonych końca XVIII w. wydaje mi się jednym z najgrubszych błędów, jakie kiedykolwiek popełniono.

EUTYFRON.

Radziłbym jednak trzymać się zdala od starej filozofii przyczynowości celowej, tak w swych wywodach pierwotnej...

FILALET.

Filozofia ta błędziła tylko formalnie. Należało tylko w kategorii stawania się (*fieri*) umieścić to, co ona odniosła do kategorii bytu i tworzenia, by dojść do pojęcia ewolucji. Dla wytworzenia pierwszych obcęgów — mówi Talmud—trzeba było obcęgów: „Bóg je stworzył“. Oto błąd. Obcęgi powstawały powoli, w miarę doskonalenia instrumentów. W ten sam sposób odbyło się stworzenie człowieka, zwierząt, — życia. Zjawiska świadomości ukrytej stanowią prawdziwe Królestwo Boga. Boga postrzegamy najżywiej w zwierzęciu, dziecku, prostaku: w geniuszu, który jest na swój sposób dzieckiem i prostakiem w jednej postaci. Bóg jest rozumem tych, którzy go nie posiadają, jest ukrytą sprężyną, która sprawia, że rzeczy powstają podług praw estetyki i eurytmii,—jest cyfrą, wagą, miarą, które czynią, że świat jest wieczny i harmonijny.

Co mi w tym względzie najsilniej przemawia do przekonania, to podstęp, zapomocą którego natura, wyprowadzając w pole jednostki, ocala interesy wyższe. Przypatrzeć się dobrze wszystkiemu, co jest akcją rozrodczą natury.

Jak się tam jasno widzi wartość, jaką natura przywiązuje do zachowania moralności osobnika, jaką pieczołowitością otacza ten skarb—źródło wszelkiego bytu! Niedowierzając chuci, przydaje jej jeszcze cały szereg instynktów doradczych, całą niezmiernie zawiłą sieć uczuć sprzecznych, wstydu, rozwagi, lubieży, pożądania—rzekłbyś, splątane liny okrętu, o stu przeznaczeniach: zwijania, ściągania, zatrzymywania, podnoszenia. Zbrodnie nadużycia obarcza ciężkimi karami. Ma w tem natura interes, aby kobieta była dziewiczą, a mężczyzna nie pograżał się zbyt w cnoty wstrzemięźliwości. Stąd przecież bierze początek opinia, która okrywa niesławą kobietę nierządną, a śmiechem — mężczyznę nazbyt wstrzemięźliwego. Zaś opinia, gdy jest głęboka i stanowcza, jest samą przyrodą. W wyrachowaniach swoich, zda się ona więcej dbać o cele ogólne, niż o zadowolenie osobnika.

Pożądanie jest wieczną opatrnościową sprężyną aktywności; każde pożądanie jest złudą, ale tak właśnie jest ono w nas założone, że cześć jego widzi się dopiero po dosycie. Tak tedy *Pothos* (pragnienie) pozostaje bogiem pierwotnym. Pyłek dla perforacyi jajeczka działa tak opatrnościowo, jak gdyby znał prawną próżni. Niema takiego przedmiotu pożądania, którego marności nie poznalibyśmy po jego zdobyciu. Oskomy takiej nie zbrakło jeszcze

ani razu od początku świata, o czym wiedzieć—znaczy... jeszcze i jeszcze pożądać. Ekklesias-towa filozofia rozczarowania niech prawi swe morały w długość i szerokość czasu. Przyznamy jej słusność i lekce sobie ważąc następstwa—pójdziemy wgłąb pożądania.

Natura dba przedewszystkiem o rozpowszechnienie gatunku i, dla osiągnięcia tego celu, chwytta się tysiąca podstępów. To pewna, że cały szereg czynów istoty żyjącej nie wynika bynajmniej z osobistego wyrachowania. Natura tchnęła w zwierzę tyle miłości macierzyńskiej, ile trzeba dla zachowania gatunku i tyleż bezinteresowności, ile trzeba dla zachowania tradycji wyższego bytu—w człowieka.

Efemeryda w postaci poczwarki żyje trzy lata, życie skrzydlate trwa—jeden dzień. W dzień spólkuje, znosi jajka i umiera. Niema instynktu bez przedmiotu. Widząc w naturze ludzkiej tyśiące faktów, których na rzut oka nie można zadowolająco wytłómaczyć ani względami rozkoszy, ani interesu, można jednak bez wahania orzec, że są to tryby nakazanego przez naturę rodzaju, chociażby cel tego mechanizmu był dla nas na razie nieuchwytny.

Jest więc człowiek, jak robotnik fabryki gobelinów, który, tkając kobierce na wspak, nie widzi ich deseni. Ów pracuje za kilka franków dziennie, my—za lichszą jeszcze cenę, kosztem złudzenia, iż czynimy dobrze. Bo człowiek to

potulne zwierzę. Szlachetnie, wysoko nosi swoje rogi. I jakże piękny jest podpis pod wizerunkiem osiołka Palatynu: pracuj, osiołku, jako pracowałem, a całość sama się złoży (*„labora, aselle, quomodo ego laboravi et proderit tibi“*).

Rzecz wszakże jasna, że jesteśmy do czegoś potrzebni. „Jesteśmy wyzyskiwani“—mówią niektórzy. Jesteśmy karytydami świata. Coś się na nasz rachunek kształtuje. Jesteśmy igraszką wyższego egoizmu, popychadłem jego celów. Tym „wielkim egoistą“ jest świat, który łowi nas na najgrubsze wędy, bądź zapomocą rozkoszy, za którą płacimy gotowizną cierpienia, przez ukazywanie nam chimerycznych rajów, w których, gdy minie szal, nie znajdujemy cienia prawdopodobieństwa; to znowu przez ów idealny, samooszukańczy handel cnotą, który nam każe dla celów, leżących poza nami, poświęcać nasze interesy doczesne. Wędka nazbyt widoczna, niemniej przeto idą na te przynęty ryby ludzkie od wieków.

#### EUTYFRON.

Nie tak to znowu zdumiewające. Na takiej polityce oparty świat istnieje dlatego, że jedynie taki właśnie jest możliwy. Ludzkość, składająca się z samych jasnowidzów, nie byłaby do życia zdolna. Zginęłaby w zarodzie—przeto nie istnieje. To tak samo jakbyście sobie uroili, że niema kręgowca bez serca.

FILALET.

Ale właśnie to mnie wprawia w najwyższe zdumienie, że istotka tak skonstruowana, iż dla celów, leżących w państwie cieniów, poświęca częstokroć swoją osobowość, że istotka tak biedna jest, żyje i żyć chce. To znaczy, że już sama cnota człowieka ofiaruje dowód na rzecz istnienia Boga. Z punktu widzenia człowieka, świat objawia się nam, jako przewrotny tyran, który nas zniewala do swoich celów za pomocą makjawelizmu, sztuk szalbierskich, działając przytem z takim wyrachowaniem, ażeby poznanie jego szalbierstw było udziałem niewielu,—w przeciwnym bowiem razie byłby niemożliwy. Cnota nasza jest dla natury uciechą i koniecznością, jako przedmiot wyzysku. Podstęp poczyną się tam, gdzie jednostka, ze stanowiska interesów osobistych, nie wyciąga z swojej ofiary żadnych doczesnych korzyści. Właśnie taka niespółmierność, niewyrównanie rachunków tworzy w naturze zasadę. Przez imperatywę kategorię objawia się natura w całej swojej wielkości najwyłącznie i najprawdziwiej. Cnotą najpewniejszą jest ta, która spoczywa na sceptycyzmie wyrachowanym. Niktby przecież nie poświęcił stu franków na przedsiębiorstwo z perspektywą milionów tak chimerycznych, jak możliwość przyszłego życia. A jednak dla takiej to perspektywy pozwalają

się ludzie zabijać i do takiej perspektywy przystosowują swoje postępowanie.

Bowiem istnieje kategoria umysłów, które nie poprzestając na teorii, umieją rozkazywać i chwycić za gardło.

Z całą świadomością tedy dokonywa się nad nami zbrodnia oszustwa dla celu, który sobie stawia świat i który nas omija. Ta płodna podstępność, mająca za cel — moralność jednostki—to rzecz godna zdumienia i drobiazgowych studyów. Wierzenia religii naturalnej, zawsze o jednym źródle—imperatywu kategorycznego, są jako sieć, jako przetak i jako zatrask na ducha. Żadna krytyka, żadna filozofia przeczenia nic tu nie zdziałają. W chwilach, gdy jesteśmy najlepsi—wierzymy w Boga. Religie ludzkości przypominają instykt macierzyństwa u ptaków: ofiara z siebie na ołtarzu Niewiadomego, ofiara żądana, narzucona nam z góry. Rzecz sama w sobie... niedorzeczna, dobra nie dla nas, jeno dla Pani Natury, a więc... a więc... prawdziwa i święta!

Dotarliśmy wreszcie do zjawiska polityki mądrej, do tej, która przepływa mistyczną rzeką stanów pod- i nieświadomych. Wznosi się wielki Kościół na uległości człowieka. Prawie człowiekowi o niepokorze byłoby to samo, co wzbronić ptakom gniazda i piskląt. Zachody stracone. Za doskonałość tresury ptaka i człowieka odpowiada Wielka Poskromicielka.

Genialna Opatrzność przedsięwzięła wszystkie środki dla zapewnienia sobie kapitałów cnoty, potrzebnych na wyżywienie i utrzymanie świata.

#### EUDOKSYUSZ.

Gdyby tu byli ludzie, co to — jak mawiali starożytni— „biorą lewą ręką to, co się im daje prawą“, mogliby powziąć fałszywe mniemanie o uczuciach pana. Z drugiej strony, nasi materialści zarzuciliby panu szukanie bezinteresowności tam, gdzie jej niema. Albowiem poządanie wyrachowane tłumaczy, podług nich, w dostatecznej mierze wszystkie fakty, w których pan upatruje jezuityzm natury i plan ujarzmiania nas dla celów wyższych.

#### FILALET.

Dlatego, że uczeni, którzy nadają sobie— najczęściej opacznie—miano materialistów, nie przetrawili dostatecznie istoty naszych instynktów filozoficznych, estetycznych i moralnych. Zastanawiając się jednak nad tem sumiennie, zrozumieliby niechybnie, że w większości wypadków interesy człowieka żywotne wymagałyby zaniedbania cnoty, przejścia nad cnotą do niecnoty. Gdyby prawda, piękno, dobroć były uciechą, dawnoby już zaniechano ich hodowania. Należą przecież do rzeczy, które nie przynoszą nic. Zdała od powodzeń, prawdziwy talent, prawdziwa wiedza, prawdziwa

cnota niszczy człowiekowi życie, skazują ludzi, tem pięknem przekleństwem nawiedzonych, na materialną niższość, a często przynoszą nawet nieszczęście. Gdyby prawda nie miała walorów obiektywnych, ciekawość ludzka dawnoby wygasła. Gdyby cnota nie była nakazana przez wolę wyższą, tysiące doświadczeń nauczyłyby człowieka zbyć jej, jak trądu, jak kamienia u szyi. Więc człowiek cnotliwy, uczony, artysta całym swoim bytem świadczy najwymowniej o istnieniu Boga. Ale nawet najbliższy psychologicznie fakt po bliższej analizie prowadzi do tych samych konsekwencji.

Z „cnót“, czyli organicznych przesądów, których wymagają interesy ludzkości i ludów, cnotą pierwszą jest instynkt rodzinny. Cnoty rodzinne są nieuchronne dla zachowania społeczeństw. Natura wkracza tu z przedziwnymi brakami logiki, której ofiarami padają na szczęście najbardziej wyrafinowane i wyniszczone jednostki. Monogamia, co prawda, nie jest wskazana przez konstytucjonalne właściwości męzczyzny, jest jednak konieczna dla stworzenia i zachowania wielkich ras; odtąd zyskała aurytety prawa jakoby przyrodzonego. Całe gromady dobrych mieszczańków żyją wyłącznie dla wychowania swoich dzieci, które znowu, po zmężnieniu, nie będą miały innych trosk, jak wychowanie swego potomstwa. Zaczarowane to koło nikogo nie odstrasza. Idealność tej

troski spożywa natura, jako konieczność powszedniego chleba. W ten sposób mądrze przygotowuje sobie dzień cudu, kiedy z mroków beztwórczej pospolitości wyłoni się antychryst pierwszej rangi i w jednej chwili pożre na rzecz sztuki, wiedzy, polityki cały uczciwie nagromadzony przez powagę przodków kapitał.

Odruchowy makjavelizm natury piękniej jeszcze da się postrzegać w oszukańczych praktykach, narzucających „cnotę dobroci“. Np. dobroć psa nie zna wątpienia, choć niekiedy nic mu nie daje prócz upokorzeń. Nie rani psiej duszy nikczemność człowieka. Albowiem pies kocha ludzkość, czuje jej wyższość i dumny jest z tego, że może być uczestnikiem wyższego świata.

Gdyby obowiązek był owocem refleksyi egoistycznych lub filozoficznych, byłby już pies dawno wypędzony z rajów, zbrojny poznaniem okrucieństwa i niesprawiedliwości swego pana, który depce często najszczersze porywy psiej psychy.

To samo się dzieje z moralnością tych, których natura skaptowała dla roli abnegatów. Zawsze się tu znajdują ofiary dobrowolne, gotowe służyć jaknajlepiej wyższemu celom natury. Rasy wyjątkowo poczciwe np. marynarz bretoński lub chłop litewski traktowane są z pogardą przez rasy wyższe. Bohater posłuszeństwa jest prawie zawsze lepszy od bohatera rozkazują-

cego. Poświęcony dobroci poświęcony jest pogardzie, trwa—mimo to—w swej zaszczytnej roli, wyznaczonej mu przez naturę. Powiedzmy to samo o cnocie uczciwości, chociaż w tej dziedzinie argumentacja nasza straciłaby na sile, wobec karalności czynów nieuczciwych i bezkarności czynów tylko niedobrych. Tak czy inaczej—wszyscy idziemy na mądry lep.

Zresztą nawet egoista, usiłujący stworzyć teorię „dobrze rozumianego interesu“ jest igraszką natury, co chwila odstępując od swego systemu w wyjątkach, pochłaniających zasadę, a życie „egoisty“ to krzywa łamana linia sprzeczności, które on sam, chcąc pozostać sobie wiernym, musiałby uznać za szalone i niedorzeczne.

#### EUDOKSYUSZ.

Doprawdy nie znam świętego, któryby tak daleko się posunął w abnegacyi, jak taki oto uczony naszych czasów, przez umysły powierzchowne zwan ateuszem i materyalistą.

#### FILALET.

Tak jest! W żadnym systemie cnota nie posiada tyle wartości obiektywnych, jak w naszym. Korzyć się przed naturą i być jej posłusznym—znaczy dla nas współpracować w wielkim jej dziele. Kant wielkim swym, genialnym rozumem dawno już pochwycił tę prawdę,

że jest to podstawa religii, która wynika z rozumu praktycznego, nie zaś—czystego. Bóg, pojmowany jako dusza świata, ograniczony tylko wewnętrznym prawem zachowania siebie i losem swoim, miłuje i chwali cnotę. Ona mu służy i dorzuca kamień do budowy, która wznosi się, z godziny na godzinę w nieskończoność. Jest więc cnota w dziele świata czynnikiem idealnym, sprężyną roboczą, wielką dźwignią boskiego planu i jednocześnie najświetniejszym dowodem istnienia takiego planu. Cnota istnieje, trzeba ją wytłómaczyć. Kółko to nie może być zbędnem. Religia ludzkości przypomina zjawisko gnieźdzenia się ptaków. Instynkt powstaje nagle, tajemniczo w istocie, która go nigdy nie odczuwała. Ptak, który przedtem jajek nie znosił, ani widział, jak znoszą inne, odgaduje naturalne funkcje, do których się ma przyczynić. Celom, których nie rozumie, służy radośnie, z czcią, niemal nabożnie. Tak samo pszczoła, lepi wosk, mrówka gromadzi swe bogactwa, czyniąc więcej, niżby im to mógł doradzać samolubny rozsądek.

Narodziny idei religijnej odbywają się w sposób analogiczny. Oto szedł człowiek pierwotny. Naraz zaległy cisze. Czyni się przerwa, luka w toku wrażeń: „Bóże!—mówi do siebie—jakże dziwne są losy moje! Jestli prawdą, że jestem? Czem jest świat? Słońce—czy to ja jestem? Czy ono wysyła promienie z mego serca?

Ojczel widzę Cię poprzez mgły“... Wznawia się potem zgiełk zewnętrznego świata. Zwiera się próżnia, ale poczynając od tej chwili istota, o pozorach egoizmu, popełnia czyny niewytłomaczalne, działa wbrew oczywistości własnych interesów, podporządkowuje się nieznanym celom, odczuwa konieczność korzenia się przed *Czems* i wielbienia *Czegoś*.

O, wysoka radości człowieka sprawiedliwego! Na nim stoi świat! Nic to, że niekiedy załamuje się jego świadomość, gdy się widzi osamotnionym, osaczonym przez płaskość zarzutów materialistycznych. Niech się odpręży! Słuszność, rozum po jego stronie. On jeden na sto tysięcy, jeden rządny, który odkupił Sodomę i jej chaos. Mniejszość, do której należy, tworzy prawo bytu naszej planety. Dla niego, przez niego i jemu podobnych istnieje i trwa Ziemia.

Widzimy więc, że porywa nas, narzuca się nam wysoki plan świata. Natura postępuje z nami, jak z tłumem skazanych na samozagładę gladyatorów, walczących dla sprawy obcej. Takdy czynił władca Wschodu z armią, której używałby dla celów tajemniczych, nie zadając sobie nawet trudu ukazywania się wojsku. Dwa rodzaje uczuć powstawałyby w tak niewolnych istotach: w jednych—bunt i nienawiść do tyrana (stanowisko moralne Schopenhauera); w drugich—rezygnacya, a nawet wdzięczność i umi-

łowanie celów nieznanych—stanowisko Fichte-  
go i moje, przy którym trwałem dotąd.

EUTYFRON.

Czego panu winszuję. Proszę jednak przy-  
znać, że zarówno jedno, jak drugie ma chara-  
kter wierności poddańczej. Służymy planowi  
natury, którego ona nam nie wyjawia. Jeste-  
śmy, podług pana, ofiarami niewolnemi. Czyż  
trzeba jeszcze, abyśmy byli ofiarami zrezygno-  
wanemi?

FILALET.

Tak. Trzeba. Widzę w stanowisku Schopen-  
hauera pewną sprzeczność, która czyni jego sto-  
sunek do natury mniej poddańczym, niż u Fi-  
chtego. Schopenhauer przyznaje, że universum  
posiada cel. Przejrzał on doskonale makjawe-  
lizm natury np. w miłości, ale nie przyznaje,  
że stąd krok do teizmu i stwierdzenia, że cno-  
ta ma swoje znaczenie. Powinien był właśnie,  
idąc dalej, zatrzymać się na wniosku, że cnotą  
doskonałą jest rezygnacya, czyli przyjęcie życia  
takiego, jakim jest w służbie i na żołdzie celów  
wyższych. Tak nakazywałyby jego własne prze-  
słanki. Jeżeli natura rządzi się celem, trzeba mu  
się oddać; ulegać jej, iść za jej wskazówkami lub  
przynajmniej staczać się bezopornie po zbaw-  
czej pochyłości znaczy już uznawać prawo.  
A skoro życie kieruje się prawem, ma ono już

sens. Nie jest Schopenhauer rewolucjonistą w stylu Byrona lub Heinego, którzy praw moralnych nie widzą; jest to rewolucjonista nierównie śmielszy, w stosunku do natury niezrezygnowany, przeciwstawiający się jej woli.

Wydaje mi się taka przeciwstawność po pierwsze—występną, po drugie—bezużyteczną. Natura będzie zawsze zwyciężcą; nazbyt prze-myślnie ułożyła swoje sprawy, nazbyt wprawną ręką rzuca swe fałszywe kostki. Cokolwiek-byśmy czynili, zawsze będziemy dudkami jej celów. Można temu z większą lub mniejszą zrzęcnością przeczyć, ale Schopenhauer — nie przeczy, i odtąd staje się jego bezmorał zagadką. Wraz z Schopenhauerem widzę jasno, że istnieje Wielki Egoista, twórca wielkiej złudy, lecz, w przeciwstawieniu do Schopenhauera, czuję się zrezygnowanym, przyjmuję taki stan rzeczy, poddaję się celom Istoty Najwyższej. W ten sposób morał sprowadza się do pokory, negacya—do buntu wobec szalbierczego układu rzeczy. Ale można szalbierstwa widzieć i poddać się ich mocy.

Taki bunt człowieka jest zbrodnią w całym znaczeniu tego wyrazu, właściwie—jedyną istniejącą. Związany milczącą umową z dążeniami natury przez takie postaci podstępu, jak religia, miłość, zmysł dobra i sprawiedliwość,—zresztą wszystkimi instynktami, człowiek, jeżeli zechcemy traktować rzecz ze stanowiska

interesów egoistycznych, zmierza skrzyżowanemi drogami do celów... zawsze pośmiertnych. Z drugiej strony, w miarę pogłębienia refleksyi przez krytykę religii, miłości i pojęć moralnych, kruszy coraz śmielej górę odwiecznej tajemnicy. Jakąż wreszcie wybierze drogę? Czy dojdzie w przeczeniu do kresów, czy porwie go natura? Planety wygaśnię są być może jedyne, gdzie krytyka zabiła podstępność natury i często wyobrażam sobie, że gdyby wszyscy doszli do naszej filozofii, światby wstrzymał swój dech.

EUDOKSYUSZ.

Niema obawy. Nam nie uwierzą, kochany panie. Dalej dzwonić będą w dzwony i roznosić się będzie stukrotnem echem wieczne, radosne *Alleluja!* Nigdy nie zbraknie czystych dusz, które śpiewać będą hymn mistycznych zaślubin. Oto wielka, najwyższa, ezoteryczna pociecha—śnić, że się bierze udział w całości, która napewno podąża do swoich celów i że można popełnić wszystkie możliwe błędy bez obawy narażenia na niebezpieczeństwo galery, którą się płynie. Zresztą nie łudźmy się zbyt: nowa szkoła materyalistyczna nas, idealistów, uważa niemal za równie niebezpiecznych, jak tamtych—ortodoksalnych.

FILALET.

I słusznie.

*Est Deus in nobis, agitante calescimus illo.*

Tylko duchy nikłe zawrzeć się mogą w tej filozofii pigmejów. Człowiek wielki winien spółtworzyć z świętością kłamanej prawdy, która jest podstawą świata. Najpiękniejsze zadanie geniusza—być spólnikiem Boga, przyłożyć się do polityki Przedwiecznego, przyczynić się do skrycia mistycznych jezior natury, pomagać mu w wielkim trudzie uwodzenia ludzi dla powszechnego dobra, być narzędziem tej wielkiej złudy, opowiadać ludziom cnotę, mimo pewność i z tą pewnością, że nie wyciągną stąd żadnych osobistych korzyści, jak dowódca, który prowadzi prostaków na śmierć dla sprawy, której oni nie mogą zrozumieć, ani ocenić. Pracujemy dla Boga, jak pszczoła, która, nie wiedząc o tem, wytwarza miód dla człowieka.

#### EUTYFRON.

Ale człowiek jest dla pszczoły zwierchnikiem wyjątkowym i poznawalnym, podczas gdy my nie możemy zawrzeć naszego zwierchnika w granicach skończonej osobowości; gdyby taki istniał, byłby dawno poznany. Niema też w naszym świecie odbicia zjawisko, powzięte z owej dziedziny, gdzie człowiek wywraca ul dla zdobycia miodu.

#### FILALET.

Rzeczywiście, na całej przestrzeni naszego postrzegania, jak daleko tylko sięgają nasze środki

poznawcze, nie znajdujemy świadomości (mam na myśli świadomość refleksyjną, skończoną) nadludzkiej, od człowieka wyższej, istnieje jednak szeroka świadomość samorzutna, która go opanowała. Nasze formuły są więc równoważnikiem deistycznych. Użyczymy celom natury ducha, bądźmy dobrowolną, miłościwą ofiarą (nie zaś nałożną rzeczą) jej uwodzicielskiej woli, wnijdźmy w jej zamiary, ukórzmy się. Żle jest, gdy powstajemy przeciw naturze, widząc, że ona nas zwodzi. Niechże tak będzie, poddajmy się, mówię, poddajmy! Cel jej jest dobry, chciejmy, czego ona chce.

Cnota jest akordem, kategorią *amen*, uznaniem i uświęceniem tajemniczych zamiarów, które Opatrzność ziszcza przez nas i poza nami.

#### EUTYFRON.

Jesteśmy więc, w rozumieniu pana, częścią pewnej formy paradoksalnej, przeznaczoną do jej wyczuwania, oraz ironii, którą pan słusznie uważa za kategorię wysoce filozoficzną. Chce się pan ofiarowywać złudom wieczności, ale dba pan jednocześnie o to, aby ta wieczność wiedziała, że nie jest pan jej ofiarą. Zawsze w panu postrzegałem sentyment rzadki i bardzo subtelny. Jest to rodzaj obawy, by pana nie posądzono o utylitaryzm cnoty. Zdaje się, że najwyższym wstrętem przejmują pana fary-

zeusze, skoro po oddaniu wszystkich hołdów cno-  
cie, odczuwa pan jeszcze konieczność powie-  
dzenia, że niemasz w niej nic osobliwego lub  
że jest ona oszustwem.

Wierzę, że mógłby pan nawet udawać czło-  
wieka występnego, by nie uchodzić za faryzeu-  
sza w czasach obłudy, jak czasy nasze, gdy  
prawomyślność rentuje dobrze...

#### FILALET.

Rzeczywiście, gdybym był kapłanem, nigdy-  
bym nie brał za swoją mszę zapłaty. Obawiał-  
bym się czynić, jak ten, coby za pieniądze ofia-  
rowywał puste mieszki. Nie umiałbym również  
korzystać z przywilejów, płynących z wierzeń  
religijnych. Ostatnia to rzecz puszczać w obieg  
fałszywe liczmany, łudzić człowieka obietnicami  
raju i zawracać go z drogi, na której mógł się  
upomnąć o swoją część, tu jeszcze na ziemi..  
Sprawy te są zbyt powszednie, aby warto było  
o nich rozprawiać, niemi żyć, o nich wciąż my-  
śleć, nigdy jednak nie są o tyle jasne, żeby,  
czyniąc sobie zawód z ich nauczania, można  
było zyskać pewność, że nie oszukuje się innych  
co do samej jakości zaofiarowanej rzeczy.

#### EUTYFRON.

Już późno... Czuję wieczorny chłód pośród  
tych cienistych grabów. Zresztą, wyczerpali-  
śmy, zda się, wszystko, co Filalet na początku

naszej rozmowy nazwał *twierdzeniami*. Jutro moglibyśmy się tu spotkać znowu. Miałbym może coś do nadmienienia. Chociaż bowiem uznaję, że posługuje się nami wola wyższa, tworząc poniekąd przez ludzkość, nie zwykłem dotąd zapatrywać się na takie idee, jak na surogaty deizmu lub religii przyrodzonej. Chciałbym również widzieć w naszym kole Teofrasta, który nieraz wypowiadał się o celach świata w rzutach śmiałych i oryginalnych.

FILALET I EUDOKSYUSZ.

Prosimy... Będzie tu mile widzianym towarzyszem.

---

## II. PRAWDOPODOBIENSTWO.

EUDOKSYUSZ. FILALET. EUTYFRON. TEOFRAST.

FILALET (do Teofrasta).

W rozmowie wczorajszej usiłowaliśmy ustalić nasze wyobrażenia o rodzaju świadomości, przez którą zda się odsłaniać świat. Zgodziliśmy się też niemal wszyscy co do niektórych jej właściwości. Jest to świadomość ukryta, odruchowa, analogicznie pokrewna tej, która kieruje ewolucją embryonu lub zwierzęcia, świadomość przedziwnie nieomylna, osiągająca swoje cele zapomocą środków doskonałych.

Mówił nam Eutyfron o odrębności poglądów pana w tym przedmiocie. Niechże pan nam użyczy swych zapatrywań, o ile pan nas uważa za powołanych do ich zrozumienia.

TEOFRAST.

Wierzę, że istnieje wypadkowa czy kapitalizacja dóbr ludzkości i świata, na którą się składają skupienia powolne i ciągłe, z ogromnymi stratami, ale też z nieprzerwanym przyrostem, jak przy odżywianiu młodego organizmu.

Rezultat ten musi być dodatni, inny się nie da pomyśleć. Wszystko—na rzecz ideału, który trwa i tworzy wypadkową. Reszta się unieście. Ponieważ egoizmy spółzawodnicze, stanowiąc dla siebie ścisłą przeciwwagę, nawzajem się znoszą,—dla wywołania pożytecznego skutku pozostaje tylko nieznaczna ilość czynności bezinteresownych. Oszczędność ta jest prawie żadna wobec ogromnych sum aktywności, wydawanych z absolutnemi stratami. Mimo to ona tylko trwa, gdy inne wszystko—ginie bez śladu. Tym sposobem tworzy się przez przyrost pożytecznej pracy—beźmierny kapitał. Przez tę maleńką cząsteczkę, którą składamy na rezerwę wiecznego postępu, każdy z nas żyje w wieczności. Za dowód, że istnieje pozostałość dochodów i strat, służy fakt, że świat ma swój bieg.

Gdyby nie było nadmiaru dóbr, światby się równoważył lub zużywał w ruchu bez kierunku, jak bieg ślizgającej się po szynach lokomotywy.

Każdy jednak pociąg jest unoszony, trudno powiedzieć dokąd, ale pędzimy wraz z nim ku bezmiarom, w nieskończoność.

By zdać sobie z tego rzetelną sprawę, należałoby powrócić do koncepcyi początków ruchu w wszechświecie.

Początkiem ruchu w wszechświecie, a więc i początkiem stawania się świata, było przerwanie równowagi, naskutek niejednorodności

rzeczy. Świat jednolity nigdyby się nie był z miejsca ruszył, spoczywałby wiecznie bez rozwoju, postępu. Dlaczegoż więc nie pozostał w bezruchu, dlaczego był swój wystawił na przewroty, zamiast spać na łonie absolutnej jedności? Wstrząsnęły nim jakieś głębokie niepokoje. Otrzymał potężne pchnięcie. Z głuchej wewnętrznej próżni wynikły obłoki niepewności i rozpostarły się nad jego nijakim lazurem.

To, co życie tworzy, jest zawsze gwałtownem wyjściem z apatii, pożądaniem, ruchem, przełamaniem oporu nicości, coś, co mówi: Naprzód!

Dlaczegoż to płód czyni rozpaczliwe usiłowania, aby wyjść z łona matki? dlaczego dziecko znosi cierpienia przy ząbkowaniu? Czemu tych mąk nie zbywa? Nie zbędzie ich, jak młodzienc—miłości, która, być może, wstrząśnie jego życiem i zabije!

Przerwanie równowagi dało jednocześnie początek cywilizacji. Życie i ruch są, jako dźwięk między dwiema ciszami, kędy nic się nie rodzi i nie ginie. Świat i społeczność ciążą samorzutnie, jakby prawem bezwładu, do równowagi, która byłaby ich śmiercią. Początkiem historii, lub, inaczej mówiąc, przejściem od zwierzęcości do ludzkości był gwałt, czyn wyłamania się z rajskich błogostanów bezosobowości i przejście do stanu wojny, miłości i nienawiści.

Cóż sprawił ten bunt pierwotny?

Szkoła epikurejska, wielka naukowa szkoła starożytności pytała tak samo:

*quid velit et possit rerum concordia discors*  
(Horac. *Epist.* 1, I. ep. XII).

Czego chciały rzeczy, łamiąc pierwotną harmonię? Jaka przyczyna zewnętrzna lub wewnętrzna mogły je wprowadzić w ruch? Przyczyną tu było pragnienie bytu, t sknota do świadomości, zaradcza konieczność wyłonienia ideału. Ideał powstaje w ten sposób, jako zasada bogotwórczej ewolucyi, jako prawdziwy twórca, cel i pierwsza dźwignia świata. Idea czysta jest tylko możliwością, materya czysta—bezwładną, idea staje się dopiero realną dzięki układom materyalnym. Wszystko z materyi. Ale tylko idea ożywia wszystko, ona to, dążąc do samoziszczenia, zapoczątkowuje byt.

Oto Bóg. Niema budowy bez kamienia, niema muzyki bez strun lub miedzi i niema myśli bez mięszu nerwów. Ale nie jest kamień budową, ani skrzypce muzyką, ani mózg myślą. Są to tylko warunki, bez których niema budowy, niema muzyki, niema myśli. Sonata Beethovena, na papierze, istnieje tylko w potencji. To, co jej nadaje byt, jest wibracją, faktem fizycznym, wymiernym. Idea—to tęskniąca do bytu możliwość bytu, materya daje jej ucieleśnienie, sprawia jej ziszczenie, rzeczywistość. A więc dwoma biegunami świata są: ideał

i materya. Nic bez materyi, która jest warunkiem, nigdy—przyczyną bytu. Nic bez idei, która jest jego prawowitą, twórczą przyczyną. *Mens agitat molem*. To ona, idea, istnieje *realnie*, wyłącznie, bez przerwy dążąc do całej pełni bytu i szukając w układach materyi swego tworzywa.

Doszliśmy w ten sposób do przyznania doskonałego bytu — jedynie idei, to znaczy idei świadomej siebie—duszy. Zapewne, i atom istnieje. Posiada przedewszystkiem jeden wielki i odrębny przywilej: wolność od napaści i jeżeli wypada się opierać na zdobytej wiedzy—wiedczość, skoro nietylko nie powstaje i nie ubywa, ale nic z tego, co jest doświadczalne, nie może dać nam nawet wyobrażenia o możliwości powstawania atomów. Istota zorganizowana choruje i umiera. Nigdy atom nie ulega chorobie i jest absolutnie niezniszczalny. Atom węgla, który tworzy drogę mleczną, jest identycznym z tym, który żywi nasze piece; to wszakże pewna, że obcą mu jest wszelka świadomość. Dusza—przeciwnie: poczyną się i kończy. Wynika ona z układu atomów. Jest rodzajem bytu wtórnej potęgi, a lubo przelotna, posiada bezmierną przewagę nad materyą, wyprzedza ją i oddaje niepamięci.

#### EUDOKSYUSZ.

W dziwny sposób obala pan przekazane nam sądy. Niegdyś koncepcya boskiego rozumu

wychodziła z założenia typu człowieka genialnego, mechanika o wspaniałych, złożonych środkach działania, dziś znowu zbliżamy się do pojmowania tego rozumu, jako ślepego instynktu życia, jako mętnej świadomości bytu, który dąży do samozachowania i rozrostu.

TEOFRAST.

Niegdyś... Tak, niegdyś pojmowano również Homera, jako piszącego w swoim gabinecie literata; dziś jednak w poematach homeryckich widzimy bezimienne dzieło genialnego ducha Grecyi i wydają się nam o całe niebo piękniejsze; niegdyś i religia była wyrazem służalczego poddania się istocie wyższej, dziś zaś—jest tylko wielbieniem czystej idei, lub jak to trafnie określił M. Strauss: „aktem ducha, który sprwadza i ściąga do jedności promienie idei, załamujące się w nieskończoności zjawisk“.

EUTYFRON.

Ale do jakiego celu mogłaby dążyć natura taką mnogością rozumnych dróg?

TEOFRAST.

Wyrazem, który najdokładniej obejmuje ten cel, jest, zdaniem mojem, świadomość. Świat dąży do coraz doskonalszego bytu. Ale bytu całą pełnią jest byt świadomy. Każdy wysiłek dąży do poznania, ukochania, widzenia, podziwiania siebie. Celem świata jest wytwarzać

rozum. Wszystko celowi temu służy i wszystko się dla tego celu zużywa. Każda planeta wytwarza myśl, wartości estetyczne lub moralne. Skromne żniwa cnoty i rozumu, wytwarzanych przez zastępy żniwiarzy, mogą być celem tego świata, podobnie, jak np. wytwarzanie żywicy dla żywicznego drzewa może być celem ostatecznym. I myśl jest wynikiem ostatecznym. Galileusz, Kartezjusz, Newton w godzinę swego życia utrafiali w cel świata, wbiegając na wierzchołki myśli. W nich bowiem żyło najwyższe widzenie prawdy. Był sam w sobie, poziomy i ciemny, nie zadowala się swoją samotnością. Staje się już przez zwierzę. Już zwierzę jest zdolne do mętnej, co prawda, kontemplacji świata. W chwilach miłości zagląda już do świata estetyki i sztuki. Pies ma swoją cnotę. DIALOGI ptaków śpiewających to piękne hymny, w których małym stworzeniom niewątpliwie chodzi o coś lepszego, niż o ćwiczenie gardzieli. Wszystko to jednak jest tak nieznaczące, że prawie niewarte słowa. Przez człowieka życie wszechświata znajduje nierównie głębsze odbicie. Prawdziwe „załamanie promieni“ poczyną się dopiero w wiedzy — w wielkiej cnotie ducha — wielkiej sztuce. Tym sposobem ludzkość jest najwyższym wyrazem życia natury — w każdym razie najwyższym ze znanych, a głowa — najdoskonalszym z istniejących siedlisk świado-

mości wszechświata, oczywiście — w granicach naszego postrzegania.

Istnieją niezawodnie ośrodki myślące, od nas ukształceńsze; przysługuje nam jednak prawo twierdzenia, że żadna istota, poza naszą planetą, nie posiadała wszechwiedzy, ani wszechpotęgi, gdyż nic nie dostarcza powodu do przypuszczenia, że zdołała rozciągnąć swoje wpływy z jednej planety na drugą. Gdyby żyły gdzieś istoty tak sprawne w poznaniu materii i siły, że działałby mogły w przestrzeni na miliony mil, nie uszłyby naszej uwagi, udzielając się nam przez fakty w zwykły sposób niewytłómaczalne i nabierające charakteru celowości.

#### EUTYFRON.

Wzbraniam sobie mówić o innych światach. Ilość ciał niebieskich, na którychby w danej chwili mogło się rozwinąć życie organiczne, daje ilość nieskończenie małą w ogromie wszystkich innych. O tym czasie, w przestrzeniach prawie nieograniczonych jest, być może, ziemia jedynym globem zamieszkałym. Mówmy więc tylko o niej. Otóż cel, o którym pan tylko co wspominał, lub podobny leżą poza jej siłami. Symbole „wszechwiedzy“, „wszechpotęgi“ zostawmy scholastyce. Ludzkość miała początek, będzie też miała kres. Planeta, jak nasza, w dziejach swoich posiada jeden tylko okres temperatury, w których może być zamieszkałą. Za

kilka setek tysięcy lat — obojętne — okres ten minie. W dalszych więc swoich przemianach będzie, jak Księżyc, planetą wygasłą, która zakreśli koło swych losów i zużyje swój kapitał planetarny — węgiel kamienny, metale, żywe siły rasy. Los Ziemi nie jest nieskończony, jak to pan przypuszcza. Jako wszystkie krążące w przestrzeni ciała, wydobędzie ona z swego wnętrza wszystko możliwe. Ale ona umrze — proszę wierzyć — że ona umrze i, jak mówi w księdze Joba mędrzec z Temanu, „zanim dojdzie do rozumu“. Tu właśnie tkwi problem o danych opornych i ograniczonych, jak w teleskopie, gdzie, jeżeli pan powiększy pewne plusy, wpadnie pan w trudności kompensaty, które sprawiają, że względne granice dobra są matematycznie określone.

#### TEOFRAST.

Zapewne. Każdy rozwój ma swoje granice w środowisku, z którego źródeł czerpie swoje siły, i to w prostym stosunku do rozmiarów, względnego bogactwa tego środowiska. Ale rozwój świata idealny, rozrost rozumu nie zależą tylko od rozwoju człowieka ani od twórczych źródeł ziemskiego globu.

Granice rozwoju ducha byłyby nierównie rozleglejsze, gdyby istoty myślące różnych planet, a zwłaszcza różnych światów gwiazdnych mogłyby utrzymywać z sobą stały kontakt. Być

może, jednego dnia cały wszechświat byłby zrzeszony w jedną kooperatywę o jednym kapitale. Źródła rozwoju ducha byłyby wtedy niezniszczalne i wtedy w grę na zwycięstwo ideału rzuconoby stawki o rozmiarach nieograniczonych.

#### EUTYFRON.

Tak, ale pan tu wysuwa na zewnątrz rzeczy nie tylko doświadczalne, ale i dowolne.

Jakie to są prawa każdego rozwoju życia? Słabe początki, postęp oporny, postęp szybki, upadek powolny, upadek szybki — śmierć. Wszystko pozwala wierzyć, że po zdobyciu swych wyżyn cywilizacja zejdzie na drogi upadku. Siły moralne i umysłowe ludzkości są skończone, więc i rozwój ludzkości, jak rozwój człowieka, ma swoje dzieciństwo, młodość, wiek męski i starość. Dotąd prawo to dało się tylko postrzegać co do rozwojów poszczególnych: narodu i dynastji. Istniały dotąd źródła młodości i odbudowy etnicznej—dla odżywiania starzejących się społeczeństw. Źródła te jednak mogą wyschnąć. Powie pan, że mamy jeszcze barbarzyńców. Ale są to barbarzyńcy starzy, bardziej zużyci od nas. Istnieją jeszcze pośród Germanów, a zwłaszcza pośród Słowian nienapoczęte pokłady ludów, które nie dostały jeszcze światła, a przeto są pełne przyszłości, lecz poza nimi widzimy już etniczne zwyrodnienie i bliz-

kość czasów, kiedy elementy najniższe, liczebnie silniejsze, wezmą górę i poczną systematycznie unicestwiać ducha ras szlachejnych, prawem atawizmu nawrotne. Możliwy jest niechybny i całkowity upadek rodu ludzkiego; może go sprowadzić brak zdrowych pojęć i nierówność ras.

Oto niebezpieczeństwo, grożące planecie Ziemi. Egoizm pochłania niemal całą aktywność jednostek. Kultom Prawdy i Piękna służy niewielu szlachejnych. Planeta Ziemia, gdy wszystkie jednostki zdobędą dokładną świadomość swych praw,—popaść może w stan wyjąłowania ideałów bezinteresownych, czyli — — ideałów.

Nierówność klas—zasadnicza, spoczywająca w istocie bytu każdej rasy niesprawiedliwość jest jednak tajemnicą ruchu, biczem poganiającym światy, źródłiskiem celów. Niechże kto wyobrazi sobie ziemię zaludnioną wyłącznie przez murzynów, gnuśną sjętę na śmietniskach powszechnej miernoty, zawiść, użycie, nicość, — kroczące na czele wszechideału!

Gdyby duch taki miał śród nas i nad nami zapanować, byłby to już ostatni kres cywilizacji i—ducha. A przecież przyszłość taka jest możliwa, jeżeli nie przyjdzie królestwo geniusza i nie poskromi materialistycznie opętanej czerńi, jej niskich chuci i zamiarów.

Z drugiej strony niebezpieczeństwo nadciąga od gór nieskończenie gromadzonej wiedzy na

skończone pola rozumu. Duch ludzki ledz może zdeptyany własnym ciężarem i nastąpić może chwila, kiedy nawet postęp będzie — upadkiem.

Przewidujemy średniowiecze bez odrodzenia, gdy każda nieco wznioślejsza filozofia, jako już niepojęta, odejdzie w zapomnienie, np. „Mechanika Niebieska“ Laplace’a skazaną będzie na zagładę (jeżeli dzieło to nie ma egzemplarza, drukowanego na welinie)—u kresów czasu, potrzebnego na zwyciężkie zgnicie papieru najwykwintniejszej edycji.

#### TEOFRAST.

Wszystko to jest nieskończenie prawdopodobne, ale nie dotyczy naszej tezy. Nie mówiliśmy o tem, że przez ludzkość ziści się absolut rozumu, mówimy tylko, że będzie osiągnięty przez coś, co jest z ludzkością analogiczne. Dokonano już tysiąca prób, tyleż się dokona jeszcze; wystarczy, by dokonano jednej—udanej. Siły Ziemi, jak to pan słusznie zauważył, nie są nieskończone. To jasne, że jeżeli mechaniczna teoria ciepła nie wynajdzie na pięć, sześć wieków przedtem sposobu zastąpienia węgla kamiennego sztucznym surogatem, ludzkość popadnie znowu w stan miernoty, z którego się już nie podzwignie. Ale czy teoria do tego czasu na takiej wysokości stanie—pozwalam sobie wątpić. Wrogie reakcje mogą wstrzymać

ludzkiego ducha w pędzie i uczynić go niezdolnym do oderwanych spekulacji.

W chwili obecnej nie znajdzie się, być może, więcej niż pięćdziesiąt osób zdolnych do opanowania pewnych gałęzi wiedzy i zdobyczy dalszych. Te rodzaje kultury oligarchicznej, ześrodkowanej w niewielu mózgach, łatwo ulegz mogą zniszczeniu.

Wystarczy pierwsza z brzegu, nawet nienazbyt surowa inkwizycya, jak to było w XVI w. we Włoszech, albo represye podobne do stosowanych przez Ludwika XVI do protestantów.

Obniżenie atmosfery umysłowej na jeden — dwa stopnie wystarczy, by uniemożliwić dojrzewanie bytów tak subtelnych, które wymagają warunków wyszukanych, jak cieplarniane rzadkie kwiaty. Zatonąć może ludzkość o staję od deski zbawienia. Losy ludzkości zależeć będą od jednostki lub niewielu, którzy potrafili odwrócić skałę, o którą skruszyć się może cała łódź. Jak były — tak będą światy, gdzie ludzie — twórcy, ludzie zbawiciele ginąć będą w nędzy lub nie znajdą warunków dla rozwoju.

Były też inne, gdzie zarody cywilizacyi zosiały zduszone przez takich niszczycieli, jak Filip II, który h politykę gnębiaenia ducha uwieńczyła historia zupełnem powodzeniem. Niejedno więc zdarzenie przerwać może rozwój ludzkości.

Jednak, wobec braku stosunków między odrębnymi światami, nieudane próby tego ro-

dzaju pozwalają wszystko rozpoczynać odnowa, — o ile pogrzebiona w niepamięci próba chybiona nie będzie znowu punktem wyjścia dla czynów doskonalszych.

Cywilizacja antyczna, już po jej zniszczeniu, potężnie jeszcze zaciążyła nad nowożytnymi pomnikami piśmiennictwa i sztuki plastycznej. I przeciwnie, jeżeli Mars i Venus posiadały własną kulturę, usiłowania tych światów byłyby dla Ziemi nieistniejące, stracone.

Czy losy Ziemi będą podobne? Możliwe. Zresztą... Mimo swoją zgrzybiałość, ma Ziemia tę zaletę, że niestałość jest tam—stałą. Nigdy Ziemia nie osiągnie równowagi, która jest celem postępu, jak pszczoły i mrówki, które znalazły moment spoczynku.

Wcale możliwe, że Ziemia odbiegła od linii swych obowiązków lub warunków życiowych przed ich spełnieniem, jak to się już stało z miliardem ciał niebieskich—wystarczy, by jeden z tych światów dopełnił swego przeznaczenia. Śnijmy, że wszechświat eksperymentuje nad nieskończonością światów. W tak bezmiernej liczbie znajdzie się jeden, który stworzy wiedzę doskonałą. Kosmos to loterya szczęścia o nieskończonej ilości losów, z których każdy musi być wylosowany. Gdy na los dobra padnie wygrana, nie będzie to cudem, jeno—koniecznością.

Istnieją dwa sposoby trafiania do celu. Albo celować b. dokładnie, albo dać tyle strzałów,

że jeden wreszcie z tysiąca utrafi w sedno. Dobrze wycelowany granat, który wysadza w powietrze warownię, wart jest dziesięciu tysięcy źle wystrzelonych.

Jakie olbrzymie straty w pyłkach kwiatowych! Ledwie jeden z milionów pyłków dociera do celu. Ikrzenie się ryb daje przykład szaleńszej jeszcze rozrzutności. Przyroda postępuje jak niesumienny robotnik, który z nieopatrzną hojnością zużywa materiały na marne. Mało go obchodzi stracone siły—jest to siewca, na oślep rozrzucający swe nasiona na gleby i kamienie. Jedno pełne ziarno na sto tysięcy! To jedno wystarczy. Wyobraźmy sobie zarody życia, błędzące w przestrzeni, szukające momentu, który rostrzyga zapłodnienie. Szanse każdego z nich są nieskończenie małe, ale jeżeli jest ich nieskończoność, jeden z nich dopnie swego. *Quod demonstrandum*. Albo wyobraźmy sobie klosz kryształowy przepotężnych rozmiarów — mający milion, miliard mil w obwodzie—w nim małeńki otwór, mający nie więcej jak linię w średnicy i ślepego owadu, który trzepoce skrzydełkami o ściany klosza, szukając przez ten małeńki otwór wyjścia; jednak owad ten wyjdzie z pod klosza na wolność, jeżeli ma przed sobą wieczność, gdyż nieskończonością zdarzeń równoważy się ich nieprawdopodobieństwo.

Natura nic nie czyni, by uniknąć zasadzek,

ślepych kanałów. Mały wieloryb w basenie rośnie, dopóki nie wyczerpie wszystkich możliwości życia. Młode drzewo jest równie szczęśliwe w szczelinie skały, jak na swobodzie. Wszystko, co bytować może, bytuje bez względu na możliwość przerwy w rozwoju. Cała natura zdradza pogardę dla osobowości. Blaski stolicy wynikają z ogromnego gnojowiska prowincyi, gdzie miliony prowadzą życie niesławne, ciemne dla wydania z siebie kilku świetnych motyli, które się potem przepalą w słońcu. Przy dzisiejszych ciężkich rasach trzeba przesiać przez sito 30—40 milionów dla wytworzenia jednego wielkiego poety, jednego geniusza pierwszej rangi. Społeczeństwo, liczące pięć—sześć milionów, nie wyłoni takich rezultatów, ponieważ dobór i różnicowanie wymagają wielkich mas. Geniusz wyciedza się jak preparat, który musi być tłoczony, dystylowany, prasowany, koncentrowany. Planetka mała nie wyhodowałaby geniusza. W kilometrowym sześciacie wody morskiej znajdujemy pewną ilość srebra, ale w sześciacie metrowym ilość ta jest niewyczuwalna. W wszechświecie — jak w maszynie: siła *pożyteczna* jest tylko częścią siły zużytej.

Ale wszechświat, jak wszystkie maszyny natury, daje się poznawać przez małość efektów pożytecznych w porównaniu z masami nieużytków. Wogóle, z punktu widzenia ekonomii, me-

chanika świata wydaje się nader niedoskonałą. Jest to fabryka, w której na sto tysięcy centnarów spalonego węgla przyda się tylko jeden. Podobnie w społeczeństwie: jeden człowiek *pożyteczny* na milion obojętnych. Próbowano z takiego stosunku wnioskować o niższości Ziemi. Planeta, gdzie nie byłoby głupców, ani nicponiów—byłaby piękniejszą. Złuda! Praca, mająca za przedmiot cnotę, jest mało dostrzegalna. Lecz ona tylko pozostaje. Wszystko inne mija, z czego wynika, że kapitał prawdy, mimo że się składa z nieznacznych oszczędności, wciąż rośnie. Błędy i głupstwa znoszą się nawzajem i przeciwnie: prawda jest całą pozostałością, całym czystym dochodem i jedynie twórczym czynnikiem i rezultatem pracy ludzkości. Na odległość—błąd i pustota są jaknajoczywieściej z życia wyłączone. Głupiec i nicpoń umierają całkowicie.

Zapewne, nazbyt wielką jest liczba egzystencji samolubnych, materialistycznych, niereligijnych, zupełnie straconych dla celu świata. Dość, że istnieje wśród nich kilku sprawiedliwych. Filozofia to owoc na drzewie ludzkości, co prawda zupełnie niewymierny grubością drzewa: ogromne drzewo daje owoc wielki, jak... palec. Pomyśleć, że zadaniem tak rozłożystych konarów jest wytwarzanie tak nikłego ciała!

Filozofia — cel stworzenia — żyła niegdyś z lada okruchów od stołów monarszych, ale

znajdowała w mocarzach obronę od powszechnego głupstwa. Dziś żywią ją okruchy stołu świata; taki stan rzeczy, aczkolwiek dość nędzny, lepszy jest od wymarzonego dla filozofów— przez życzliwe duchy. Dwa doświadczenia mówią o niebezpieczeństwie przywiązywania bogactw do dzieł ducha. W czasach średniowiecza bogactwa, nagromadzone przez kościół, były prawie stracone dla celu, dla których je przeznaczano. Tak samo — wielkie dotacje uniwersytetów angielskich są tak administrowane, iż tylko mała ich część służy celom naukowym.

Oczywiście, oczywiście—gdyby miejsce każdej jednostki w społeczeństwie odpowiadało jej funkcjom idealnym, książętami lub milionerami swego czasu byłiby Newton, Galileusz, Huyghens. Podfunkcye jakiegoś bankiera — biorąc rzeczy materialnie — mają się tak do zasług Linneusza lub Ampère'a, jak 1000 : 1—co jest niedorzecznością, ale niedorzecznością, która powinna być zachowaną. Nawet, gdyby Ziemia należała do nas, jako do gospodarzy, należałoby rządy powierzyć ludziom świata, którym lekka szybkość stanowienia i ciężki egoizm dają wolność od naszych skrupułów i niezręczności. Pozornie bezużyteczne egzystencje ludzi możliwych, ludzi mody, posiadają więcej wartości, niż to się zdaje. Ludzie tacy są potrzebni. Któżby urządził wyścigi, dawał bale, spełniał szereg zbędnych trudów, któreby znużyły rozumnych?...

I któżby zmonopolizował na wyłączną własność niebezpieczne rozrywki, które odciągałyby uczonych od pługą? Ślubować winniśmy wieczną wdzięczność tym, którzy zwalniają nas od trudu posiadania bogactw i próżniactwa. Umysłów zdolnych do głębszego myślenia jest mniej, niż mało. Tualety, spaceru po lasku Bulońskim, ekwipaże, opera, wyścigi pochłaniają aktywną zgiełkowość, która, nie znajdując upustu, mogłaby być szkodliwą, i chronią mózg ludzkości od utraty... piątej klepki.

Doprawdy, cały ten błyszczący ogon świata potrzebny jest chyba po to, by taki Cuvier, taki Bopp mogli spokojnie pracować w swych bibliotekach i nie chcieli zużywać się na taką marność marności... Oto dlaczego kraje, w których istnieją klasy wyższe, są dla uczonych obiecane, gdyż w takich krajach nie mają oni ani obowiązków politycznych, ani towarzyskich; nic ich tam nie zmyla. I oto również dlaczego uczonego korzy się (nie bez ironii) przed wojskowym i światowcem. Spokojny kontemplator spokojnie też żyje za ich plecyma, podczas gdy ksiądz drażni go swoim dogmatyzmem, a czerń—wiedzą elementarnej szkółki.

Rozum ma czas dla siebie — i tu jego moc. On nie wypuszcza z rąk żadnej sposobności, przeciwnie — wszystko, co tą sposobnością nie jest, nie jest wcale. Przed opuszczeniem planety, zanim zwyrodnienie, ma jeszcze siła ludzka

przed sobą długie wieki. Przerzuci się jak piorun po przez stany gnicia i odrodzenia. Gdy żrały owoc gnije, nowy — dojrzewa. Próby są nieobliczalne. W nieskończonych przemianach świadomości znajdzie się jedna zwycięska, która przemknie się przez cieśniny i wnijdzie do portu.

EUTYFRON.

Więc pan sądzi, jak Hegel, że Boga niema, ale że on się stanie?

TEOFRASZ.

Niezupełnie. Istnieje ideał. Ideał jest wieczny, dziś — nieucieleśniony, materyalnie niezrealizowany. Będzie jednego dnia, będzie zniszczony przez świadomość nie ludzką, lecz analogiczną, choć nieskończenie wyższą, która w stosunku do naszej świadomości dzisiejszej, tak strasznej, tak nędznej, tak połowicznej, będzie tem samem, czem doskonała maszyna parowa wobec starej pierwotnej maszyny Marly'ego. Dziełem uniwersalnem, dziełem wielkiej przyszłości, dziełem wszystkiego co żyje—byłoby uczynić Boga doskonałym, przyczynić się do wielkiej wypadkowej — ostatecznej, która zakreśli koło rzeczy w jedność.

Rozum, który nie miał dotąd żadnego udziału w tem dziele, lecz rozrastał się ślepo, wchłaniając głucho dążenia wszystkiego, co jest—rozum (mówię) jednego dnia pochwyli w swe władne

ręce kierownictwo tą wielką pracą i zorganizuje ludzkość, potem — Boga.

Nieskończoność czasu jest tu czynnikiem pierwszorzędnym. Po tamtej, już opuszczonej stronie jakichś dziesięciu tysięcy lat nic już nie widzimy w historii. Wzmożenie ruchu naukowego nie sięga dalej, jak sto lat wstecz. Teraz wymierzmy równe odchylenie wahadła: czem będzie ludzkość za dziesięć tysięcy, za sto tysięcy lat? Za miliard — wreszcie? Miliard lat temu Ziemi, być może, jeszcze nie było; zatopiona była jeszcze w atmosferze słonecznej, i księżyc się jeszcze nie był wyłonił. Czem że ona będzie za miliard lat? Któż powie? A jednak dzień ten nadejdzie — nic pewniejszego. Nie tworzymy sobie żadnych wyobrażeń o stanie materii wewnątrz Ziemi, a przecież ten niewyobrażalny stan rzeczy istnieje w odległości pięciuset mil od naszej powierzchni. Należy po za tem wierzyć, że ludzkość posiada broń, której nigdy nie miała — wiedzę. Mniej niż w sto lat wydała wiedza zastosowalność pary, drogi żelazne, telegraf elektryczny, fotografie, oświetlenie gazowe, tysiące wynalazków chemicznych. Zastosowanie wiedzy do sztuki wojennej datuje nie więcej jak od 8—10 lat. Zaprowadzono tu tak wielkie zmiany, że mogliby się w nich zbłąkać wodzowie świata — Fryderyk Wielki, Napoleon I. Niepodobna przewidzieć stanu przemysłu i sztuki wojennej za lat sto; próbując

zaś wyrozumieć, czem będzie za lat tysiąc, dziesięć tysięcy—jest się na pełnym morzu—chimery. Ale że za dziesięć tysięcy lat Ziemia żyć będzie jeszcze, jako żyje i że, mimo uszkodzeń, być może, dość silnych, będzie zaludniona—to już nie ulega żadnej wątpliwości.

Uznaję niebezpieczeństwo, grożące cywilizacji: wyczerpanie węgla kamiennego i generalizacja idei egoistycznych — fakty, które mogą być traktowane prawie jako spólrzędne, gdyż rozpowszechnienie idei demokracji hołotnej jest istotnie i na swój sposób „wygaśnięciem ciepła“, ciepła moralnego, zdolności ofiarnej, wyczerpaniem idealnych oszczędności Ziemi.

Widzę niekiedy Ziemię przyszłości w postaci planety idiotów, grzejących się w słońcu w brudnym, gnuśnym bytowaniu dokoła najpierwotniejszych potrzeb, o jednej trosce i celu użycia i wyżycia się w koniecznościach materyalnych. Tylko wiedza potrafi zwalczyć te dwa groźne fakty: pierwszy (t. j. brak węgla kamiennego)—gdy wynajdzie sposób przechowania energii słonecznej lub dopływów i odpływów morza, zanim jeszcze cenny opał zniknie z dotychczasowych ognisk; drugi (władztwo bezducha) — przez postępy sztuki wojennej, które skupią w rękach arystokracji umysłowej i moralnej siłę zorganizowaną. Nasze armie dzisiejsze są już czemś w tym rodzaju. Dają one temu, który jest ich rozkazodawcą, całkowite władztwo nad

rozbrojonym, niedyscyplinowanym tłumem, ale są też przyczyną słabości wewnętrznej, i to nieuleczalnej, ponieważ rekrutują się z warstw ludowych: w takiej armii niepodobna byłoby znaleźć oparcia, gdyby przyszło poskramiać zawiść i chciwość tych samych właśnie elementów, z których się ona składa.

Jeżeli chcemy wyobrazić sobie rzeczy rozumne, należy pomyśleć o oligarchii uczonych, dzierżących w swoim ręku ludzkość zapomocą środków, które byłyby ich tajemnicą niezdobytą.

Nie mógłby się nimi posługiwać tłum, gdyż reprezentowałyby one nazbyt silną dawkę wiedzy oderwanej. Jest więc wiedza doniosłym czynnikiem boskiej świadomości. Jako teoretyczna, jest samopoznającym się światem, jako stosowana—ofiaruje ona mocy boskiej środki wieczności nieobliczonej.

Dotychczas postępy świadomości dokonywały się przez pierwotne siły natury, przez instynkt nie o wiele wyższy od instynktu rozrodczego i ewolucyi zwierzęcej. Wkroczy tu pewnego dnia twórcza refleksja uczonego. Wiedza dokona reformy świata instynktu: ogrom rzeczy, leżących obecnie w kategorii instynktu, przejdzie do kategorii refleksyi.

EUDOKSYUSZ.

Ucierpi na tem sztuka.

TEOFRAST.

Zapewne. Co więcej, wielka sztuka zginie. Nadejdzie czas, kiedy sztuka będzie rzeczą przeszłości, dziełem raz na zawsze zakończonym, dziełem wieków nieprzemysłnych, dziełem, być może, godnem czci, ale takim, w którym niema już nic do zrobienia. W stanie podobnym doszła do nas grecka architektura i poezya. Cudy te dziś wznawiać byłoby absolutnem niepodobieństwem i gdyby komu jeszcze przyszła ochota tworzyć z nich zlepki doskonałe, byłyby to tylko zlepki, naśladownictwo bez prawa bytu, życia. Między sztuką naszą a tamtymi arcydziełami zachodzi ta sama różnica, co pomiędzy kamienną budową a gmachem z marmuru. Królestwo rzeźby przestało istnieć z tą chwilą, odkąd zaprzestano chodzenia nago i odkąd piękność form cielesnych stała się rzeczą wielce drugorzędną, epopeja znikła wraz z wiekiem bohaterstwa jednostki: niemasz epopei tam, gdzie jest artylerya. Każda sztuka, prócz muzyki, jest w ten sposób przywiązana do stanów minionych; wreszcie i muzyka, sztuka najmłodsza, sztuka XIX stulecia, będzie pewnego dnia stworzona i zakończona ostatecznie.

A poeta?... a dobroczyńca?... Poeta—pocieszyciel, dobroczyńca—brat miłosierdzia,—funkcye nader pożyteczne, ale czasowe, zależne

od siły złego, którą pomniejszać, unicestwiać chce właśnie wszechorężna wiedza.

Postęp ludzkości nie jest w żadnym razie postępem estetycznym. Dla celów swoich natura zużywa cnotę, sztukę,—wiedzę przedewszystkiem. Wielki artysta, człowiek cnotliwy przejdą do historyi, jako typy przeżyte i bezużyteczne; przeciwnie, uczony będzie wciąż zyskiwał na wartości. Tak, „piękność“ zblednie z przyjściem prawdziwej wiedzy. Ale wyolbrzymiona wiedza i potęga ducha, czy nie są to rzeczy równie piękne? Jak potężną będzie np. fizjologia, gdy zastąpi tę starą rutynę empiryczną, która zowie się medycyną? Tworzenie i wychowanie człowieka odbywały się dotąd prawie dowolnie, bez wszelkiego udziału wiedzy. Wyobraźmy tylko sobie ów przewrót społeczny, jaki się dokona, kiedy chemia, zdobywszy równoważnik pracy roślinnej i węglowego kwasu powietrza, potrafi wytworzyć pokarmy wyższe od roślinnych i mięsnych.

Dzień ów, kiedy człowiek przestanie się żywić mordem i zczeźnie haniebne widowisko jatek rzeźniczych, będzie również znamionował chwilę postępu ukształconych zmysłów. A cóż dopiero się stanie, gdy człowiek znajdzie się w posiadaniu praw, które ustalą z góry płęć embryonu i będzie mógł dowoli to prawo stosować? A przecież odarzyć to nastąpić może w najbliższej przyszłości...

FILALET.

To, co pan mówi, pod wielu względami przypomina poglądy Teoktysta. Szkoda, że jest tu nieobecny.

EUDOKSYUSZ.

Teoktysta cechuje dążność do pewnej przesady. Błąd zaś jego zasadniczy polega na tem, że chciałby on z precyzyą ustalać to wszystko, co pozwala tylko na pobieżną introspekcję. Ale z mgławic swoich umie niekiedy wykrzesać światło. Zresztą jest to człowiek poważny, wzniosły, prosty i szczery.

(do Filaleta)

Niechże go pan do nas sprowadzi.

FILALET.

Jakoż jutro jeszcze będzie z nami.

---

### III. MARZENIA.

FILALET. EUTYFRON. EUDOKSYUSZ. TEOFRAST.  
TEOKTYST.

FILALET.

Oto już od dwóch dni, Teoktyście, sprawiamy żniwa, usiłując zebrać nasze myśli o ostatecznym celu i ukrytych sprężynach świata. Wiemy, że żyje pan, jak każdy z nas, w tych myślach i że jasna pogoda, jaką one dają, jest też twoim udziałem.

Zgadzamy się niemal wszyscy na to, że celem tego świata jest wytworzenie refleksyjnej, wciąż doskonalącej się świadomości. Nie znamy z pośród jej form—formy ukształceńszej, jak ludzkość. Ale nie mówiąc już o tem, co istnieć może na planetach innych—pozwala nam łaska wyobraźni kreślić linię przyszłego rozwoju tej świadomości na ziemi.

TEOKTYST.

Ideę dalej i pozwalam swojej wyobraźni na koncepcje historii poza ludzkością, pod postacią, które nad ludzkością przechodzą, inne-

mi słowy, świat wzbogacam celami wyższymi od ludzkości.

FILALET.

Słuchamy.

TEOKTYST.

Są to—marzenia.

EUDOKSYUSZ.

Gdyby każdy pisał swój sen nieskończoności, wynikłaby, być może, z ich zestawień jakaś prawda. Lecz niewielu jest zdolnych do takiego prostactwa.

TEOKTYST.

Należy się przedewszystkiem porozumieć co do samego słowa: „świadomość“. Świadomość jest oczywiście całkowitą wtedy, gdy się kończy na jaźni, tworząc z nią jedno ognisko czujące, jedno *sensorium*, któremu odpowiada nerwowy mięsz, motor skończonego organizmu osobnika. Ale prócz tego, istnieją organizmy zbiorowe, które nie układają się w tak pojmowanej osobowości.

Kraje, np. Francya, Niemcy, Anglia,—miasta, np. Ateny, Wenecya, Florencya, Paryż bytują, jak osoby, posiadające charakter, ducha, interesy skończone. Można o nich rozumować, jak się rozumuje o osobach, gdyż są to osobowości zbiorowe. Jak istota żywa i niepodzielna,

mają swoje instynkty tajemnicze, poczucie własnej treści, zmysł samozachowawczy w tak wyraźnych przejawach, że, niezależnie od refleksyi politycznych, narodowość czy miasto iść mogą w porównanie ze zwierzęciem, przemysłem i głębokiem w pierwszorzędnych sprawach zachowania swego bytu i zapewnienia swemu gatunkowi—trwałości.

To samo da się powiedzieć o Kościele, religii, wszystkich gromadnych zrzeszeniach, tworzących zbiorowiska organiczne i promieniujących tak, jak jednostki.

W tem właśnie wielka zasługa dzisiejszej fizjologii, że umiała wykazać, że byty rośliny i zwierzęcia wynikają z bytów innych, harmonijnie podporządkowanych i ulegających prężnej jedności.

Życie kręgowca jest ostateczną wypadkową właściwości każdej z osobna i wszystkich kości pacierzowych. Zbiorowe zgranie się miliona pędów składa się na drzewo. Również świadomość jest to wypadkowa miliona innych świadomości zgodnie poddanych jednemu celowi.

Już komórka jest małą ześrodkowaną osobowością, komórki spółbytujące tworzą świadomość drugiego stopnia (człowiek, zwierzę), formy świadome drugiego stopnia dają świadomość trzeciej potęgi—świadomość zbiorową miasta, Kościoła, narodu, wytwarzaną przez

miliony osobników, związanych wspólną jedną ideą, uczucia.

Niech materializm całą bytu pełnię przyzna-je tylko atomom. Ale dla prawdziwego filozofa-idealisty komórka istnieje nad atomy, osobowość niepodzielna nad komórkę, a naród— Kościół, państwo nad jednostkę, skoro jednostka poświęca się dla tych zbiorowisk, które w pojęciu grubego realizmu nie są niczem więcej, jak czystą abstrakcją.

Miłość wydaje mi się najsilniejszym objawieniem, najczywistszym dowodem tego mistycznego prawa bytu. Osobowość jednostki dorosłej kryje w sobie miliony świadomości ciemnych, pragnących bytu, dążących do bytu, mających podświadome odczucia warunków swego rozwoju i spętanych w jedną wielką społeczność, która dzieli z niemi pragnienia i smutki.

Człowiek najcnotliwszy nie może zagłuszyć w głębinach swego Ja miliona istot zaczątkowych, ich głosu, często rozkazu: „Chcemy bytu!“. Ci *homunculi*, których bym nazwał chętnie „ludźmi naszego wnętrza“, stanowią niepodzielną, równoległą równą nam część osobowości, widzą naszymi oczyma, czują naszymi zmysłami, instynktownie odczuwają warunki, w których po wyjściu z *celi*, mogliby podjąć życie.

Oto dlaczego miłość rodzi się u nas, lecz

bez nas w sposób paradoksalny, niemający żadnego związku z świadomością moralną (choć walka miłości z obowiązkiem jest dla górnej sztuki tak fundamentalnem założeniem). Nie są bowiem „moralne“ uwięzione w nas istoty, nie czytały Malthusa, dążą do całkowitego bytu, niezgłębiając naszych subtelności, nierozumiejąc naszych względów natury społecznej, mając swój własny morał, niezależny od naszych praw i konwenansów.

Stąd też wieczna walka, raczej szarpanie się filozofii oderwanej z nieoderwanem, prostem wartościowaniem tych „ludzi wnętrza“, którzy w nas żyją jako część, i pragnąc, sprawiają, że pragniemy,—walka pomiędzy istotą rozważającą i odpowiedzialną za skutki czynów, a embryonem embryonu, o jednym tylko chceniu—bytu. Teraz łatwo zrozumieć, dlaczego płciowe pożądanie wzbudzają w nas często osoby, dla których czujemy pełną miarę pogardy. Albowiem pierwotny *homunculus* dba, nam naprzekór, o jedną konieczność i wygodę życia. Tu również leży źródło wiecznych przeszkód towarzyskich i społecznych, idealnych żądań, by w małżeństwie doskonałem łączono miłość fizyczną z szacunkiem moralnym, dwie rzeczy, które mogą w parze iść, ale również dobrze mogą i nie iść, o co usilnie zabiegają owi buntownicy i jeńcy naszego wnętrza.

Te same konsekwencye, co do osobowości

zarodu wypływają z dziedziczności i atawizmu. Na pierwotny rozwój każdego zarodu, sposób życia każdego osobnika w otoczeniu składają się nawyknięcia i doświadczenia, nabyte przez jego przodków. Każda istota żyła w swoich poprzednikach, jako zaród,—podpada pod przekleństwo lub błogosławieństwo ich właściwości, upodobań i cech dominujących.

Oto dziś jeszcze chyli się ku ziemi prawuk pańszczyźnianego chłopca, oto *raia*, niewolnik już wyzwolony, ustępuje jeszcze drogi gnębielowi jego dziadów.

A zboczenia seksualne—czyż nie są to błędy istot zaczątkowych, ulegających fałszywym wskazówkom w tych razach, kiedy to, co stoicy nazywali zdolnością *hegemoniczną*, a więc—rozum—nie wkracza i nie zmusza opornych żywiołów do milczenia.

Wychodząc z tych założeń, zbliżamy się już do myśli przyszłej świadomości, nieskończenie wyższej od dzisiejszej. Widzimy ludzkość, jako rosłe wspaniałe drzewo, jednostki, jako gałęzie, a wszystkie byty świadome stopione w jedną świadomość, jak to było powiedziane o starym Kościele: *Multitudo crederentium erat cor unum et anima una*.

Zresztą już za naszych czasów coś podobnego wytwarza państwo, wytwarzając wartości idealne za pieniądze niezbyt ofiarnych i niezbyt idealnych spożywców. Władza królewska daje

przykład, jak cały naród skupia się w jednostce czy też dynastyi, przez co osiąga się najwyższy szczebel świadomości narodowej, gdyż żadna świadomość nie może dorównać tej, która wynika z jednego mózgu, chociażby miernego.

Konjunktury przyszłych form świadomości ludzkiej dadzą się sprowadzić do trzech typów: monarchiczny, oligarchiczny, demokratyczny, zależnie od tego, jak będziemy pojmowali świadomość uniwersalną: czy sprowadzoną do jedności i do jednej istoty, która ma wyobrażać wszystkie inne, czy reprezentowaną przez małą garstkę jednostek, rządzących innymi, czy wreszcie żyjącą we wszystkich i dopiętą przez tę lub ową formę zgody i powszechne prawo wyborcze.

EUTYFRON.

To może być bardzo ciekawe. Słuchamy, słuchamy...

TEOKTYST.

Za rozwiązaniem demokratycznym przemawia najmniej szans. Tak przynajmniej wynikałoby z szeregu naszych wyobrażeń, co do których już nastąpiło porozumienie. Proszę pamiętać i dobrze zważyć, że jesteśmy o sto mil dalecy od polityki i że słowa mają tu, między nami, znaczenie naszych definicji.

EUTYFRON.

Oczywiście.

TEOKTYST.

Nawrócić na kapłaństwo rozumu tych i owych, krok za krokiem jednego za drugim—dwa miliardy bytów na ziemi! Któżby w to uwierzył?

Znakomita większość mózgów ludzkich odpycha od siebie prawdy, gdy bodaj o włos wyprzedzają ziemię. Kobiety np. nietylko nie są dla trudów umysłowych zrodzone, ale trud ten odciąża je od istotnego ich powołania być piękną lub dobrą, wreszcie jedno i drugie—doskonałość! Nie nasza to wina, że jest tak a nie inaczej.

Urojona przez ludzi konieczność poznania prawdy przez wszystkich natury nie dotyczy; jej dość, by tylko niektórzy, wtajemniczeni dali świadectwo prawdzie i przekazali swoje zdobycze tradycyi. W oczach teologa teza demokratyczna jest opaczna u samych podstaw. Wszystkie rodzaje świadomości są święte, ale nie wszystkie sobie równe. Gdzież się zatrzymać? I zwierzę ma swoje prawa. Jakież przyznać prawa dzikiemu australijskiemu: zwierzęce czy ludzkie?

Pierwszym obowiązkiem społeczeństwa wychować wszystkich; ale podnieść lub zniwelować wszystkich do jednego poziomu? A gdyby nawet! Niewiadomo, czy wysiłek taki wyszedł-

by ludzkości na pożytek. Człowiek, który ukończył szkoły, nie jest jeszcze przez to szczęśliwszy ani lepszy. Przeciwnie, niemasz większego wroga nad pół-poznanie—inteligencyę połowiczną. Traci się urok naiwności i nie nabiera się uroku wykształcenia wyższego. Przyznajmy to sobie, że nie pojmujemy innej wielkiej kultury, jak tej, która jest udziałem tylko części ludzkości i w której druga część bierze udział służebny i podrzędny.

Niech kultura wielka się ustali, niech będzie władczynią świata i rozciągnie swe dobroczynne skrzydła na mniej kulturalne odłamy ludzkości. Co gdy się stanie, nie widzimy potrzeby narzucania im aktów wiary.

Kościół błędnie wierzył, że można narzucać ludziom wyznawanie pewnych formuł, których nie rozumieją. Polityka wiedzy, gdy przyjdzie jej panowanie, będzie inną, będzie raczej naśladowczynią islamizmu. Chrześcijaństwo było prześladowcą dlatego, że zapatrywało się na wiarę, jak na działającą *ex opere operato*, na zasadzie czynów nad jednostką niewtajemniczoną, a nawet obojętną już dokonanych. Zbawiano człowieka niby pigułką, którą się połyka, nie wiedząc co zawiera. Islamizm, przeciwnie, pokonanych siłą na wiarę nie nawracał. Tak samo i my nie przywiązujemy wielkiej wagi do nawracania każdego i wszystkich. Wystarczy, by służyło wiedzy i korzo-

no się przed jej nieprzepartą siłą. Cóż nas obchodzi, że miliony istot ograniczonych, które zaludniają planetę, prawdy nie znają, albo i nie chcą o niej słyszeć! Byleby ją widział i podziwiał mądry. Pocóż gnębić ludzi rozwżaniem rzeczy, które nie są dla nich. Przywilejem prawdy jest to, że oglądają jej piękno tylko wybrani, zresztą—zawarto ją w księgach: przyjdź! i czytaj! Teoremy Abła lub Cauchy'ego nic nie tracą na swej pewności przez to, że tylko jakaś setka ludzi je rozumie. Recepycja rozumu odbywa się nie przez mnogość, ale przez jakość umysłów. Rozum i wiedza są wytworem całej ludzkości, ale chceć ich bezpośrednio dla ludzi i przez lud—cóż za chimera! W każdym razie udzielanie święceń naukowych wszystkim, jeżeli ma się już stać, nie stanie się przez pospolitość demokracji, dążącej raczej do stłumienia wszelkiej trudnej kultury i wszelkiej wyższej umiejętności. Ideał amerykańskiego społeczeństwa odbiega np. od typu społeczeństw, rządzonych przez wiedzę.

Zasada, że społeczeństwo istnieje tylko dla dobrostanu i wolności jednostek zdaje się nie odpowiadać planom natury. W rachubę jest brany gatunek, nigdy osobnik. Wogóle można byłoby się obawiać, że ostatniem słowem tak pojmovanej (oczywiście — można ją pojmovać inaczej), demokracji będzie wszechwładztwo zwyrodniałych mas, rozmiłowanie się

w płytkich uciechach i gustach człowieka popolitego.

EUDOKSYUSZ.

Nie. Trudno uwierzyć, dlaczegooby Pan Bóg miał stworzyć świat o tak lichej, przyziemnej perspektywie. Między oszukiwaniem ludzkości, a jej poskramianiem znalazłoby się jeszcze miejsce na coś lepszego, mianowicie, na *przekonywanie*.

TEOKTYST.

Pośrednio—tak, i oczywiście przez akt wiary, lecz bezpośrednio przez ujawnianie i dowodzenie byłoby to dość trudne... Trzeba było nam czterdziestu lat rozważania, życia wypełnionego po brzegi myślą, wyzbycia się wszelkich innych zajęć, trosk, ofiary z szczęścia, wszystkich prawie obowiązków dla zdobycia kilku mniej więcej niedoskonałych myśli w materyach tak zawitych. Jakże chcecie, aby podobne żywoty stały się dla ludzkości prawem?

FILALET.

To prawda.

TEOKTYST.

Jest więc mało prawdopodobne, aby Bóg się ziścił przez demokrację. Demokrację sekcjarską i zawistną wypadłoby nazwać „błędem logicznym“, błędem grubym, ponieważ celem

świata nie może być niwelacja szczytów, lecz przeciwnie—tworzenie bogów, istot wyższych, bogów, którychby reszta istot świadomych czciła, służąc im z miłością, przez służbę szczęśliwą. W tem znaczeniu jest demokracja wypaczeniem dróg boskich, wyłączających taką niedorzeczność, jak zrównanie wszystkich umysłowości, czyli upragniona przez głupca nicość. Nie lubimy starego porządku; za czasów tych uczeni doznawali prześladowań, gnębiono ducha, ale demokracja, obrona z ideału, nie będzie dla nich przychylniejszą. Dziś przenosimy nad stary porządek demokrację, jako mniej wrogą, lecz stan rozprężenia, towarzyszący jej stawianiu się, byłby na okres dłuższy zgubą. Wiedza żąda ofiary, poświęcenia, w krajach zmierzchowych o ludności ciemnej, wśród obskurantów nie dojrzewają prawdziwi uczeni. Uczony jest owocem abnegacyi, powagi, ofiar dwóch lub trzech pokoleń, wyobraża ogromną ekonomię, nadmiar życia i siły. Ciało naukowe, powstające samo z siebie, nie da się pomyśleć. Odkupiciel—Mesjasz nie mogą powstać z ziemi pogrążonej w egoizmie i pospolitości użycia. Trzeba, ażeby myśliciel znalazł ludzi, którzyby chcieli należycie wykonywać swoją część pracy, i to bez rozumienia i wartościowania tego, co czynią. A cóż goręcej przeczy duchowi pewnej demokracji, która uznaje tylko wartości zgruba dotykalne, a mówiąc ściślej—te, o któ-

rych sądzi, że są dotykalne? Nauczanie elementarne i powszechne sprowadzi ów warunek ofiarności do minimum. Ludność, która otrzyma wiedzę elementarną, nie zechce popierać kultury wyższej—t. j. tworzyć sobie panów, zadowolając się tak częstą u dyletantów i nieuków pychą próżnością, rozumkowaniem.

Powiedzmy śmieiej: celem ludzkości jest wydawać wielkich ludzi. Wielkie dzieło dokona się przez wiedzę, nie przez demokrację. Nic bez wielkich duchów! Stąd nadejdzie zbawienie. Człowiek, nie masę dadzą dzieło zbawienia. Jesteśmy niesprawiedliwi dla krajów takich, jak Francya, które wytwarzają tylko rzeczy wytworne, np. koronki, nie zaś grube tkaniny. Kraje te służą postępowi najgorliwiej.

Mniej oświeconych mas, więcej—geniuszów i tych, którzyby ich ducha rozumieli! Tem gorzej, jeżeli nieodzownym warunkiem olbrzymienia myśli musi być ciemnota tłumów. Natura nie zatrzymuje się przed troskami powszechnego dobra, całe gatunki poświęcając—gatunkom, lichsze—dla doskonalszych.

Zresztą w takich układach opatrnościowych niema ofiar. Wszyscy służą celom wyższym. W masie ziaren, które siewca rzuca pełną garścią — nawet ziarna stracone odgrywają jaką rolę. Tam, gdzie chodzi o szczęście osobiste—dalibóg, nie wiem, kto tu z nas wydziedziczony, a kto—nie. Każdy jest szczęśliw na swój

sposób. Ludzie świata — ludzie tłumu doznają wielu rozkoszy i kompensat trudu, których nam nie dano.

Bawią się. Któż z nas nie doznaje uczucia blizkiego zazdrości, widząc zabawy prostaków, słysząc ich wesołe pieśni. Świat nasz—wyśniony świat czystego rozumu nie miałby kobiet. Kobiety jako nagrodę—przyznajemy niższym. Zaprawdę, nie byłiby wtedy godni litości.

#### EUDOKSYUSZ.

Ilekoć słucham pana, chciałbym panu powiedzieć jak Strepsyades u Arystofanesa: „nie przekonasz mię, nawet gdy mię przekonasz“. Ale pilno nam wiedzieć, co pan rozumie pod oligarchicznym rozwiązaniem problemu świata.

#### TEOKTYST.

Rozwiązanie to jest prostsze od demokratycznego. Układa się całkowicie w widzialnych planach natury. Elita ludzi mądrych posiedzie najważniejsze tajemnice rzeczywistości i zapamiętuje nad światem zapomocą potężnych narzędzi czynu. W ich ręku będzie moc, rządy możliwe najrozumniejsze, najdoskonalsze.

#### EUDOKSYUSZ.

Nie dalej jak wczoraj zatrzymał się Teofrast na koncepcyi tego samego porządku.

## TEOKTYST.

Dlatego — że prowadzą do niej wszystkie drogi. Przez coraz bliższe stosowanie wiedzy do uzbrojenia zdobywa się władztwo nad światem. Zapewnione będzie to władztwo tym, którzy będą panami wynalazków. Doskonalenie broni prowadzi więc ludzkość w kierunku wręcz rozbieżnym od demokracji. Dąży ono do wzmocnienia władzy, nie zaś — tłumy, gdyż środki naukowe służyć mogą tylko rządowi, nie zaś — narodowi.

W wiekach średnich wyższość opierała się na wyłącznym posiadaniu dobrej kawaleryi i oręża. Tak trwało wieki. Na moście *de Maux* dwudziestu siedmiu rycerzy jednego dnia wytępiło „żakeryę“. Kule armatnie na początku służyły tylko władzy królewskiej. Może się też w przyszłości zdarzyć, że środki techniczne wielkiej potęgi tylko w sprawnym ręku uczonych — będą posiadały wartość umiejętnie kierowanej siły. Niezlomnym realnym prawem grupa wybranych rządzić będzie reszta. Byłaby wtedy wskrzeszona, jako rzeczywistość — ta moc, którą wyobrażnia ludu przypisywała niegdyś czarownikom. Na jawie się ziści idea mocy duchowej, mająca za podstawę wyższość umysłową. Braminizm panował wieki, gruntując się na wierze, że bramin potrafi tych, którzy niebacznie zapalali w nim gniew święty, zabijać wzrokiem, jak błyskawicą. Wiara ta, operująca oczywistym błę-

dem, nie mogła stworzyć podstawy trwałej. Lecz wiedza, oparta na podstawach szerokich, wolnych od przesądu i złudy, sięgnąć potrafi po władzę równą—tamtej. Wyższość tych środków będzie tak w działaniu niechybna, że wyłączy wszelką możliwość oporu. Za dogmatem chrześcijaństwa stali wykonawcy z całym aparatem środków niszczących: miecz, stopy, więzienie... Dogmaty naukowe *ipso facto* i całą siłą faktu spadną na głowę tych, którzy im odmówią mocy. Kościół średniowieczny usiłował również zrealizować władztwo ducha, ale nie rozporządził dostateczną siłą własną, zmuszony każdej chwili do uciekania się pod opiekę władzy świeckiej, która stawiała Kościołowi warunki, żądała wzajemności—czyli osłabienia praw kościelnych na rzecz państwa. Potęga ducha może być realnie silną tylko wtedy, gdy będzie orężną, gdy pochwyci w ręce siłę materialną, któraby należała do niej wyłącznie, t. j. gdy będzie w posiadaniu środków unieszkodliwiania swych wrogów w ten sam sposób, w jaki bramini, dzięki złudzeniom, *piorunowali* wrogów ich wiedzy—siłą wzroku.

Brak poważnej broni zastępował Kościół groźbą piekła, która w epoce wiary była nader skuteczna. Za pomocą tego terroru zawładnął barbarzyńcami, których zużywał dla wykonywania własnych praw i wyroków, przez co dostąpił wielkiej potęgi. Niestety, to oparcie straciło

jednego dnia na... wierze, gdy poczęto lekce-sobie ważyć ową groźbę potępienia. I stało się jak z braminizmem, który święcił porażki od chwili, kiedy piorunna własność wzroku podana była w wątpliwość.

Otóż pozwalam sobie niekiedy śnić sen upiorny—sen onego dnia, kiedy władza będzie miała na usługi *piekło* realne na bezmyślne, a groźne wrogi rozumu.

EUDOKSYUSZ.

W jakież straszne widziadła uwikłał się pan myślą o przyszłości!

TEOKTYST.

Czy nie jest stokroć okropniejsze to wszystko, co nie schodzi z oczu naszych? „Rzeczywistość“! Wojna, przekształcona w terror, stosowany jako prawo — zakładnicy torturowani nie jako winni zdrady, ale dla sterroryzowania ludności i uniemożliwienia samoobrony i ta porzucona od czasów Louvois, dziś wyznawana górną zasadą, że okrucieństwo jest siłą i w sprawach ludzkich tworzy przywilej, przewagę, której się nie wolno pozbywać! Udoskonalona gehenna z tego punktu widzenia znaczy tyleż, co batalion żołnierzy, skoro może wywołać pożądany lęk w tym samym stopniu. Wiedzieli o tem książę Alba, wiedzieli o tem również Agatokles i Kartagińczycy — oni, którzy okrucieństwo

uważali za rodzaj strategii. Poza tem, badając naturę rzeczy, trudno się opędzić tej pewności, że moc nasza nie jest niczem innem, jak właściwością wzbudzania w innych lęku, zaś lęk pochodzi z gróźb realnych albo urojonych. Pod tym względem przemoc jest równoważnikiem fałszu: fałsz zwalnia od przemocy i naodwrot. Gallijski kler umiał wykorzenić rabunki i zabójstwa Franków, strasząc ich św. Marcinem. Przeciwnie zabobony mogą być niepotrzebne Czyn-giz-chanom i Tamerlanom.

#### EUDOKSYUSZ.

Źle pan czyni, pozwalając myśli błądzić po tak zawrotnych szlakach. Czy pan wierzy, że instynkt moralny człowieka nie odsunie tych okropności i że wyśnione przez pana potwory, nie znajdą oporu?

#### TEOKTYST.

Proszę jednak tak na mnie nie nacierać lub postawię zaraz hipotezę, która przekształci moją zmorę na możliwość.

Nigdy nie mówiłem, że radosną będzie Przyszłość. Być może, prawda jest smutna. Władza trzymała się dotąd tylko troską mocarzy, którzy umieli utrzymać w swoim ręku masy barbarzyńskie, jako ślepe narzędzia siły. Tyrani pozytywistyczni, o których mówię, nie czyniliby sobie wielkich skrupułów z utrzymywania w jakiejś

zatraconej miejscowości azyatyckiej, ognisku Baszkirów lub Kałmuków, posłusznych maszyn, wolnych od morału i bezwzględnie okrutnych w potrzebie.

Proszę — co więcej — zawsze pamiętać, że stawiam się tu w hipotezę ogromnego rozrostu świadomości ludzkiej, hipotezę realizacji prawdy i słuszności, niemającej dotąd przykładu. Przypuszczam i uważam to za zgodne z prawdą, że rozrost ten już się dokonał — nie przez wszystkich, ale przez tę arystokrację, która jest głową ludzkości i której ta ludzkość złożyła depozyt z rozumu.

Oczywiście, absolutne władztwo jednej części ludzkości nad drugą jest nienawistne, gdy przypuścimy, że oligarchia rządząca kierować się będzie egoizmem osobistym lub klasowym. Lecz moja wyśniona arystokracja byłaby inkarnacją rozumu, rzeczywiście i prawdziwie nieomylnem — papieżem. W takich rękach władza może być tylko dobrotwórczą i nie byłoby tam czem kupczyć. Byłaby to przedewszystkiem potęga prawowita, opierająca słuszne opinie na słusznym terrorze. Kościół i braminizm oparte były na fałszu. Nigdy jeszcze bramin nie zabijał błyskawicą, a więc opierał fałszywą doktrynę na nieuzasadnionym lęku. Lecz życie, opanowane przez wiedzę, poddałoby nieograniczone lęki absolutom prawdy. Zresztą terror stałby się wkrótce zbędny. Ludzkość, w tej hipotezie

niższa, byłaby rychło pokonana przez oczywistość, a idea buntu przestałaby istnieć.

Prawda stanie się siłą! „Wiedzieć znaczy módz“ — oto najpiękniejsze słowo, jakie kiedykolwiek było powiedziane. Nieuk przejrzy skutki i — uwierzy, teoria ucieleśni się przez zastosowanie. Teoria, z której wyjdą straszliwe maszyny, poskramiając światy — udowodni swoją oczywistość w sposób nieodparty.

Tak skoncentrowane w rękach niewielu siły, stanowiłyby naturalną własność ligi powołanych do rozstrzygnięcia o bycie ludzkim, nawet o bycie całej planety, groźba, którą można byłoby związać i rzucić prawdzie pod nogi cały świat opornych. W dzień, kiedy rozumem uprzywilejowani zdobędą sposób zniszczenia planety, wyższość ich byłaby już stworzona. Dzierżąc w ręku egzystencye wszystkich, rządząliby za pomocą terroru absolutnego, nie *jak* bogowie, gdyż bogami byłiby oni sami, doskonali w myśli i czynie. Być może wtedy przeszedłby w rzeczywistość stan teologiczny, wyśpiewany przez poetę dla pierwotnej ludzkości. *Primus in orbe deos fecit timor.*

Tak z mroków bezczasu wyłoni się czas spółzycia siły z rozumem, królestwo rozumu, bez potrzeby wspierania się fałszem, bo fałsz jest bronią słabych, surogatem siły. I kult rozumu wtedy dopiero będzie prawdą, gdy wszelki opór i zapoznanie majestatu wiedzy, będzie, jak za-

poznanie żywiołu, karane na miejscu, bezpośrednio.

Święto Rozumu w czasy rewolucyjne tworzyli naiwni. Dzieciństwem Armia Rozumu, składająca się z czerni, elementów wyzywająco bezmyślnych, przewrotnych, zbrojnych w niedołączne piki i liche fuzye! Dajcie Rozumowi wszechmoc, a przebóstwi się sam! Nie będziemy wtedy mówili o autorytetach; dziś słowo to, próżny wytwór słownictwa, oznacza się opinią, ale opinia—rzecz bezduszna. Przeciwnie, rozum nabędzie własności nieomyślnych, więc twórczych w każdym pomysle i działaniu, w jednaniu sprawiedliwych i unicestwianiu wrogów przez samą wielkość i siłę realnych objawień. Będzie to realizacja rojonej niegdyś „pomsty bogów“, bujniejsza od mitu, w którym bogowie działają zawsze w rytmie niepewnym, spóźnionym, niedoskonałym, podczas gdy sankcye praw naukowych działać będą w sposób nieprzerwany, nieodwołalny i dobitny, jak sama natura.

#### EUDOKSYUSZ.

Z tysiąca zarzutów, jakie miałbym panu do postawienia, uczynię tylko jeden. Wyobraża pan sobie wiedzę wyolbrzymioną w samej sobie. Jest to pańskie prawo. Ale w warunkach takiego rozrostu, a więc przede wszystkim w ośrodku, o samym podmiocie myślenia, nie

powiedział pan ani słowa. A przecież ów szalony postęp wiedzy, potęga, którą pan tylko co nakreślił, przekracza wprost o całą milę fantazyi cerebralne siły najtęższego mózgu.

Zachodzi więc zasadnicza sprzeczność między zwycięstwem rozumu wyobraźalnem a zasobem sił umysłowych i fizycznych, które nie są, jak panu się zdaje, niewyczerpane, ani bezmierne.

#### TEOKTYST.

Już powiedziałem, że kategoria idei, którą w tej chwili poruszamy obejmuje nie tylko ziemię i że spekulacye takiego rzutu należy rozumieć, jako rozciągające się na dziedziny nadludzkie. Bez wątpienia podmiot poznawczy i myślący będzie zawsze ograniczony, ale poznanie i potęga są nieograniczone i przez odbicie tej prawdy i sama natura myśląca, nie wychodząc z koła zakreślonego przez biologię, może być znacznie wyogromnioną. Szerokie zastosowanie odkryć fizyologicznych i prawa doboru mogłoby pociągnąć za sobą wytworzenie rasy wyższej, któraby prawa swoje do władzy czerpała nie tylko z wiedzy, ale w samej wyższości krwi swojej, mózgu i nerwów. Byłby to właśnie gatunek bogów—*devas*, istoty o udzięciokrotnionej czy stokrotnej wartości tego, czem dziś jest ludzkość, a możliwej w środowiskach sztucznych. W warunkach zwykłych

natura tworzy tylko „chleb powszedni“, rzeczy do życia zdolne, ale wiedza potrafi tak zakreślone granice żywotności tworów znacznie rozszerzyć. Siły odruchowe nie wyjdą nad poziomy już osiągnięcie, natura dała dotąd co mogła... Właśnie zadaniem wiedzy jest podjąć wątek tam, gdzie go natura wypuszcza z rąk. Botanika np. sztucznie wyhodowuje niektóre gatunki roślin, które znikłyby z powierzchni ziemi, gdyby ich nie otoczyła troską wiedzy.

Pocznie się wiek wzmożonej energii. Wytwarzaniu półbogów odpowie kapitał, wyobrażający drogie aparaty, czyny powolne i rozważne, doборы zmudne, wychowanie złożone i wielki trud zachowania takiej istoty.

Wznowi się w ośrodku Azyi fabrykę istot mistycznych, Azów—*Asgaard*. Ale odrzucmy mity i zstąpmy do głębi. Zechciejmy przynajmniej przyjrzeć się postępowaniu mrówek i pszczoł, dla zróżnicowania funkcji i przystosowań każdego osobnika do pracy, a zwłaszcza pilnie rozważmy sposoby, używane przez botaników dla wytworzenia rzadkich okazów. Tajemnica powstawania pierwszych anomalii polega zawsze na odżywianiu, a raczej rozwoju jednego organu kosztem atropii drugiego. Przywodzę wam na pamięć onego doktora z Wedów, którego imię podług Burnoufa, oznaczało „ten, którego nasienie przenikało do głowy“ (ὅ τὸ σπέρμα εἰς τὴν κεφαλὴν ἀνέθη). Pamięta-

jąc, że dwukwiat da się osiągnąć przez hipertrofię lub przekształcenie organów rozrodczych, że kwitnienie i owocowanie wyczerpują żywotność istoty, która tych funkcji dokonała, znajdzie, być może, ludzkość z czasem sposób skoncentrowania całej siły nerwowej w mózgu, całkowitego przekształcenia jej w mózgu, jeżeli tak powiedzieć można, przez atrofię przeciwnego bieguna. Jedna z tych funkcji jest osłabieniem drugiej i co dano jednej, odebrano drugiej. Rzecz jasna, że nie mówimy tu o haniebnych gwałtach, które mogą tylko wypaczyć prawidłowy rozwój organizmu. Mówimy o wewnętrznych przemianach, które mogą sprawić, że siły, skierowane przez naturę różnemi drogami i do różnych czynności, skierować będzie można do jednego celu.

Wyobraźmy sobie dalej (oczywiście poza naszą planetą) możliwość bytu takich istot, wobec których człowiek byłby tem, czem wobec niego zwierzę; epokę, w której wiedza zastąpi zwierzęta istniejące przez mechanizmy sprawniejsze, jak to widzimy w chemii, która zastąpiła cały szereg ciał elementarnych przez szereg ciał nierównie doskonałych. Jak ludzkość wyszła ze zwierzęcości, tak boskość wynikałaby z ludzkości. W takim układzie i stosunku mogłyby żyć istoty nadludzkie, które posługiwałyby się człowiekiem, jak człowiek zwierzęciem. Nie zatrzymał się przecież człowiek nad

myślą tak obojętną, że każdy jego krok, ruch, miażdżą miriady żyjątek. Lecz—powtarzam—wyższość umysłowa pociąga za sobą i wyższość religijną; przysłych tych władców powinniśmy śnić, jako wcielenie dobra i prawdy, więc poddanie się ich woli mogłoby być dla istot służebnych rozkoszą.

Zasadą najsilniej przez szkoły demokratyczne zaprzeczoną jest nierówność ras, prawowitość przywilejów, którą daje wyższość rasy, rzeczy, zdawałoby się, nie ulegające zaprzeczeniu. Daleką będąc od podniesienia rasy, demokracja chciałaby ją obniżyć. Demokracja ludzi wielkich nie pragnie i gdyby tu był demokrata i słuchał, jak mówimy o udoskonalonych środkach wytwarzania mistrzów—*proh horror!*—panów nad człowiekiem pospolitym, byłby nieco... nieco zgorszony. Rzeczywiście. Cóż może być niedorzeczniejszego, jak narzucanie ludziom jakimś prawem boskiem władców, którzy w niczem się od nich nie różnią. Szlachta dzisiaj we Francji—i nie tylko we Francji—jest czemś nieskończenie nieznacznem. Tytuły szlacheckie? Trzy czwarte przywłaszczone, pozostała część czwarta, z wyjątkiem jakiegoś dziesiątka rodzin, uszlachcenie, nobilitacya nie za zwycięstwo i nie za odwagę! Oto „arystokracja“!

Fakt tak smętny nie stoi w żadnym związku z wyższością rasy, jak to było ongi na początku, kiedy szlachectwo oznaczało coś wię-

cej, niż zabawę. Może wszakże ta wyższość rasy na ziemię w postaci realnej jeszcze powrócić i wtedy, wtedy fakt szlachectwa będzie naukowo prawdziwy i tak nieulegający zaprzeczeniu, jak fakt przewagi człowieka ucywilizowanego nad dzikim lub człowieka, jako takiego, nad zwierzęciem.

Stąd w mgławicowej dali majaczy wielki i dziwny czas ziszczenia wszystkich mar. Wszystko, co kiedykolwiek żyło i królowało w stanie klechd i przesądów, powraca w królewskiej szacie rzeczywistości i prawdy: bogowie, piekła i raje, moc duchów, monarchie, szlachta, prawowitość tronów, wyższość rasy, siły nadprzyrodzone—wszystko z martwych powstać może w czynie człowieka, czynie jego rozumu. I jeżeli takie rozwiązanie gdzieś na planecie Ziemi nastąpi—to chyba zapoczątkują tę erę—Niemcy.

EUDOKSYUSZ.

Jak pan to rozumie: jako pochwałę czy ironię?

TEOKTYST.

A to już jak się wam podoba. Francya zawsze skłaniała się do rozwiązań liberalnych i demokratycznych. W tem upatrywała swoją sławę. Szczęście ludzi i wolność. Oto jej ideał. Jeżeli ostatniem słowem rzeczy ludzkich ma być to, ażeby jednostki w spokoju zużywały małość swoich przeznaczeń (nad co zawsze nic prost-

szego) — wtedy Francji liberalnej przyznać trzeba wszystkie pozory słuszności. Tak czy inaczej, nie jest to jednak kraj, który kiedykolwiek dostąpi wielkiej harmonii, czy też wielkiego ujarznienia, podboju świadomości, o które toczymy spór. I przeciwnie, opanowanie świata przez rozum, jeżeli ma nastąpić, zdaje się bardziej odpowiadać duchowi Niemiec, które, jak dotąd, nie ujawniają zbyt serdecznej troski o równość, a nawet godność jednostek, ale ponad wszystko na cel wzięły powiększenie sił umysłowych—gatunku.

EUTYFRON.

Pan zapomina, że w perspektywie tak od-dalonej nie będzie już Francuzów, Słowian, Niemców, że zapomni historia na amen o tych lichych odmianach starej prowincyi.

TEOKTYST.

Mniejsza. Chciałem tylko dać przez to zarys wielkich walk przyszłości.

EUDOKSYUSZ.

I czy pan sądzi, że lud, który podpatrzy wzbierającą wielkość swego mistrza, nie odgadnie niebezpieczeństwa i nie chwyci się środków ostrożności?

TEOKTYST.

Zapewne. Niech tylko szereg myśli, które rozważamy, wejdzie na drogi urzeczywistnienia,

wnet przeciw wiedzy, a zwłaszcza przeciw fizjologii i chemii poczną się prześladowania, wobec których zblednie czerwona inkwizycja. Tłum prostaków głębokim instynktem wyczuje wroga. Pójdzie znów wiedza do celi. Mogą znowu wrócić czasy prześladowania nowożytnej alchemii, mówiąc krócej: chemii. Najgroźniejszymi momentami w życiu naszej planety mogą być te, kiedy wiedza pocnie odsłaniać swoje intencje. Wynikną z pod ziemi lęki, reakcye, niszczące ducha. Bezmiary pokoleń zaginać mogą w tej cieśninie. Ale znajdzie się jedno, które ducha wyzwoli. Duch zwycięży!

Konieczność w tym względzie starczy zresztą za gwarancyę. Człowiek nie będzie już mógł się bez wiedzy obejść. W epokach posępnych, np. w średniowieczu, medycyna była niemal jedyną ucieczką dla badawczego ducha. Istnienie swoje zawdzięczała... ludzkiej niemości. Chory wszystkich wieków pragnął—wyzdrowienia, zaś leczyć bez odrobiny umiejętności niepodobna. Tak—wtedy. Dziś wojna, przemysł, mechanika bez wiedzy istnieć nie mogą, a nawet osoby, najbardziej wrogo dla wolnego ducha nauki usposobione, uczyć się muszą matematyki, fizyki, chemii. Oto wstęp do przyszłej miłościwej pomsty bogów. Wyższość wiedzy narzuca się najzaciętszym jej wrogom na tysiące sposobów i z wszystkich stron.

### EUDOKSYUSZ.

Rzecz dziwna, że hipoteza tak jasna, gdy mówi o zwycięstwie oligarchii ducha, do tak posępnych doprowadza pana wyobrażeń! Dlaczego nie pozwala pan przyjść do słowa tej myśli, że ludzkość wyższa przyniosłaby pożytek wszystkim i że sama jej wyższość polegałaby właściwie na tem, aby podział dóbr nie był tak niedorzeczny, jak w tym biednym świecie, i aby wszyscy wreszcie byli zasymilowani i przeobstwieni na jeden typ chwały. Lecz czekam, czekam z niecierpliwością na wypowiedzenie się pana o przyszłości monarchicznej świata. Będzie to zapewne bardziej budujące. Łaknę Ojca Niebieskiego, któryby wyzwolił mię z pańskiego piekła.

### TEOKTYST.

Św. Paweł rzekł przedziwnie:

Ἐνα ὁ θεὸς ἦ πάντα ἐν πάσιν <sup>1)</sup>).

Ksenofan na sześć wieków przedtem powiedział jeszcze piękniej:

Ὀὐλος ὄρα, οὐλος—δὲ νοεῖ—οὐλος—δὲ ἀκούει <sup>2)</sup>).

Formule tej ludzkość jeszcze nie użyczyła ciała, ale rozwiązanie problemu jedności, w którejby cały świat służył percepcyom, wzruszeniom i rozkoszy jednej istoty, leży na nieskończonej linii czasu, jako możliwość. Francya

---

<sup>1)</sup> I. Cor. XV, 28.

<sup>2)</sup> *Fragm. philos. groec.* I, p. 101 (Didot),

czasów Ludwików XIV i XV ofiarowała historii nigdy już potem niepowtórzony przykład kraju, który cały wzdłuż i wszerz służył wytwarzaniu bujnej świetności królewskiej—życiu, sławie i rozkoszom jednego człowieka, jednego ośrodka i celu wszystkich zorganizowanych funkcji społecznych. Nietrudno od tego przykładu sięgnąć po zdobycze większe i wyobrazić sobie świat i czas, gdzie wszystko dąży do pewnego ośrodka świadomego, sprowadza się do jednej konsystencji, a koncepcja monoteizmu osobistego żyje urzeczywistniona.

Istota wszechmogąca i wszechwiedząca mogłaby być ostatnim kresem ewolucji bogotwórczej, jakkolwiek będziemy ją pojmowali: czy jako istotę spożywającą ducha wszystkich (przez wszystkich też spożywaną) wedle marzeń mistyki chrześcijańskiej, czy jako osobowość, dochodzącą do najwyższej mocy, czy wreszcie jako wynik wszechbytów, harmonię, sumaryczny akord całego świata.

Byłby tym sposobem świat streszczony w jednym bycie zorganizowanym, w jego nieskończoności zreasumowałyby się decyliony decylionów istnień minionych i jednocześnie trwających.

Cała natura żyjąca wytworzyłaby jeden ośrodek bytu, jeden hymn o miliardzie głosów. Tak zwierzę składa się z miliona komórek,

drzewo z miliona pędów. Jedna świadomość stałaby się przez wszystkich i wszyscy uczestniczyliby w niej, jako krew od krwi i ciało od ciała. Byłby świat zbiorowym, rozrastającym się w nieskończoność polipem, na którym żyłyby życiem własnym i życiem całokształtu rzeczy wszystkie do pnia przytwierdzone istoty, które kiedykolwiek były, są, będą.

Już w czasach dzisiejszych uczestniczymy w życiu wszechświata (dość jeszcze niedoskonałym) przez morał, wiedzę i sztukę. Religie są to formy takiego spółbywania skrócone i popularne. W tym łączniku z wszechświatem spoczywa ich świętość. Natura jednak dąży do komunii intensywniejszej, doskonałej z chwilą przyjścia istoty doskonałej. Istoty takiej jeszcze niema. Posiadamy trzy tylko sposoby stwierdzenia jej bytu: przez widzenie jej, przez słyszenie o niej, przez oglądanie jej czynów. Nie poznaliśmy jej jednak na żadnej z tych dróg.

Niemniej przeto istnieje możliwość takich stanów, gdzie w przestrzeni nieskończonej żyje wszystko.

Materyi zorganizowanej jest jeszcze nieznaczna ilość, a to, co jest zorganizowane, jest zorganizowane źle.

Można jednak oczyma wyobraźni przedrzeć się w przyszłość i stanąć w wyższym koleżawisk, gdzie organizację otrzyma wszystko

materya i tysiące słońc, społem złączonych w wielkie Jedno, dałyby istotę czującą, przerosną. Przez takie „wszech-gardło“ płomienne przelewałaby się rzeka rozkoszy, tętniącej piorunem życia.

Tak żyjący świat wyobrażałby dwa bieguny, na które polaryzuje się cały nasz miąższ nerwowy: biegun myśli i biegun użycia. Dziś wszechświat żyje i myśli przez miliony jednostek. Lecz jednego dnia potężne usta dotkną nieskończoności i wtedy przepłynie niemi ocean upojenia. Nieustający, niewyczerpany wytrysk życia uderzy pod niebiosa wieczności. By tę bryłę boską okiełznać i powołać do kształtu, weźmie się, być może, ziemię i rozrobi, jak się rozrabia kupę gliny bez troski o robaczka czy mrówkę, które do niej przyłgnęły, jak mucha do bursztynu.

Czynimy przecież to samo z przeszłością.

Na wszystkich szczeblach swego bytu działa natura bezwzględnie, jako dyktator, wódz ludu, niezaprzątający sobie głowy nawozem przyszłości, górą poległych dla celu, którego to mięso jest żywym podnóżkiem.

Tylko nasz płytki indywidualizm upatrywać może sprzeczność w tem, że jedna istota streści wszystką radość, nieskończoność bytów, zrzeszonych dla jednej wielkiej radosnej sprawy.

Krwia ludzką staje się świat, kłosi się życie

od ofiar wymuszonych i dobrowolnych. Więc trzeba je złągodzić przez radość i rezygnację.

Towarzysze Aleksandra W. żyli przez Aleksandra, geniuszem jego wielcy, radością jego radośni, smutkiem jego smutni.

Istniały, istnieją ludy w swoich wybrańcach rozmiłowane. Mówią: one: „nasi książęta, nasi panowie“, ich sławę poczytują za swoją własną. Zwierzęta, spożyte przez geniusza lub dobroczyńcę ludzkości, byłyby zapewne szczęśliwe, gdyby wiedzieć mogły, komu i czemu juchą swoją służą. Wszystko zależy od celu i, gdyby jednego dnia albo i nocy wiwisekcya na wielką skalę stała się niezbędną dla wykrycia wielkich tajemnic natury, wyobrażam sobie z łatwością na rzecz wielkiej prawdy, w ekstazie dobrowolnego męczeństwa, z wieńcami na skroniach złożone ofiary ludzkie. Niby woły. Wszystko zależy od celu. Prawo skargi nie przysługuje istocie poświęconej celom idealnym. Bogu na dymiącem się od krwi ludzkiej ołtarzu nieskończoności złożone żywoty—zaprawdę, są godne zazdrości. Tyle, tyle innych umiera, nie pozostawiając po sobie śladu na konstrukcyi wiecznego kołowrotu. Bezuzyteczne zabicie muchy jest aktem nagannym, potworną—ofiara jednej istoty na rzecz egoizmu drugiej. Surowa powaga życia nakazywałaby nawet wierzyć, że człowiek, kierujący się niepodzielnie egoizmem, zjadając zwierzę, popeł-

nia czyn kanibala. Tylko człowiek, pracujący na swój sposób dla dobra i prawdy, prawo to, prawo mordu posiada prawowicie. Tylko ideał prawdziwy ofiarę uświęca. Ma ona swoje miejsce w wiecznym dziele, miejsce, którego inni nie mają. Piękna starożytność słusznie podnosiła zabicie na pokarm zwierzęcia do znaczenia aktu religijnego. Mord taki dokonany wobec absolutnej konieczności (pożerania sobie podobnych) musiał być pozorowany wieńczeniem ofiary i ceremonią.

Ogromny tłum żyć musi i myśleć przez zastępstwo.

Idea wieków średnich: ludzie, odprawiający modły za tych, którzy na modlitwę nie mieli czasu, była wcale rozumną. Masy pracują—mniejszość wykonywa przez nich i dla nich funkcyę wyższe. Oto ludzkość. Siłą ciemnej pracy tysiąca chłopów, poddanych opactwa, w pięknej żyznej dolinie w cieniu topoli stała gotycka pustelnia. Sześć, osiem razy dziennie przychodzili tu nabożni śpiewać w kapliczce psalmy Przedwiecznemu. Tworzyło to piękny, naturalny sposób wielbienia bóstwa, zwłaszcza, że wśród ascetów były duchy takie, jak św. Bernard, Rupert de Tuy, opat Joachim. Ta dolina, te wody, drzewa, skały chciały wołać do Pana Boga, ale nie miały głosu. Opactwo nauczyło je śpiewać. Piękniej jeszcze czczono naturę w Grecyi. Rasy szlachetne na

fletni i w grach pasterskich świętowały powszechną radość bytu. I będzie jeszcze piękniej jednego dnia, gdy opactwo zastąpią laboratorya chemii i fizyki. Ale w naszych czasach tysiące chłopów, niegdyś niewolników, dziś uwłaszczonych na ziemiach owego opactwa piękno wieków oddają, być może, jakiejś, bezmyślnej, iście chłopskiej orgii. Opodatkowanie ziemi równoważy jeszcze po części braki wszelkich idealnych rezultatów pracy.

Niektórzy żyją dla wszystkich. Zmieńcie taki porządek rzeczy, któż wtedy żyć będzie prawdziwie? Egipcyanin, który umarł przy budowie piramidy, żył głębiej od tego, który bezużytecznie dni swoje strawił w cieniu palm swoich. *Ecce* szlachectwo ludu! Nigdy go się nie zadowoli egoizmem. Skoro sam nie sięga do zdrojów, chce, aby to czynili inni. Dobrowolnie umiera dla wielkiej sprawy, dla sławy wodza, t. j. dla rzeczy, w których nie może upatrywać dla siebie pożytku.

Mówię o prawdziwym ludzie, o masie nieświadomej, przechowującej w sobie instykt całej rasy, którego nie prześwieciła jeszcze mądrość tej refleksyi, że największem głupstwem, jakie tu można popełnić, jest dać się zabić,—wszystko jedno dla jakiego celu.

Pojmuję chwilami Boga, jako wielkie ezoteryczne święto wszechbytu, jako ogromną świadomość, w której się wszystko odbija i prze-

łamuje. W tej szeroko zmontowanej maszynie każda klasa społeczna spełnia swoje przeznaczenie: kółka, transmisy, ramienia dźwigni. Wszyscy jesteśmy funkcjami świata—o jednym obowiązku: sprawności w swoim zakresie. Burżuazyi nie zdołają cnoty szlacheckie. Co tam dobre—tu złe i odwrotnie. O moralności klasy stanowi udzielony jej przez naturę rodzaj obowiązków.

Państwo, w którym niema klas, jest przeciwopatrnościowem. Rzecz to małej wagi, że św. Wincenty à Paulo niewielkiego był ducha. Niewieleby zyskał Rafael, organizując swoje życie na miarę przeciętnego obywatela. Wysilek boski, przenikający nerwem swoim Wszystko tego świata, najsilniej przejawia się w ludziach sprawiedliwych, uczonych, artystach. Każdy tu wziął swoją część. Goethego rządność poszła drogą egoizmu, którego żądała wielkość jego dzieła. Nad-moralność artysty jest w swoim odrębnym rodzaju moralnością wyższą, gdy służy wykonaniu odrębnej misji boskiej, która obowiązuje tu wszystkich.

Co do mnie, chłonę świat w ogromie wzruszeń przez oddźwięk, odbicie fal. Jesteśmy weseli w wesołym mieście, smutni — w smutnym. Spożywam uciechę i radość wszystkich: rozpustę, wytworność, świętość, zadumę, powagę. Cudem miłościwej sympatii działam w wyobraźni, jako ich świadomość. Moje są

odkrycia uczonego; sprawiają mi radość tryumfy ludzi ambitnych. Byłoby mi smutno, gdyby tu czegoś naraz zabrakło, mam bowiem świadomość wszystkiego, co świat w sobie zawiera. Jeno mi szczerze żal, że płytkość tego stulecia nie pozwala mu na szerokość użycia. A więc uciekam w przeszłość, do XI i XII wieków, do dziejów starożytnych. I tam wszystko, co było piękne, miłościwe, wzniosłe, odczuwano, jako raje, a przez to wywołuję z lasu wszechrzeczy krzywdę całych stuleci—los tych, którzy noszą w sobie wirydarz najróżnorodniejszych tworów świata.

#### FILALET.

Usiłował pan wykazać pod jakimi postaciami można wyśnić świadomość wszechświata, wyższą od tej, której przejawem jest ludzkość. Mówiono mi, że umiałby pan nam również wytłómaczyć sen nieśmiertelności człowieka.

#### TEOKTYST.

Powiedz pan lepiej: zmartwychwstanie. Pod tym względem odbiegłem od pięknych zresztą koncepcji poezyi i ideałów, na których się wzorował geniusz grecki. Niezgadzam się z Platonem, gdy utrzymuje, że śmierć, dar boski, jest stanem zgoła filozoficznym, lub że doskonalenie duszy, po oderwaniu jej od ciała, należy do rzeczy najmożliwszych. Chimerą—du-

sza bez ciała: i chimerą niepostrzegana dotąd rewelacya takiego sposobu istnienia.

Inaczej pojmuję możliwość zmartwychwstania. Mówię sobie często, jak Job: „w łonie mojem założona jest ta wiara“ (*„Reposita est haec spes in sinu meo“*). U kresu następujących po sobie ewolucyi, jeżeli kiedykolwiek zbiegnie się świat w jednym absolutnym bycie, był taki streściłby całkowite życie wszystkich, odbudował w sobie życie bytów zczezłych lub—jeśli wola—na łonie jego odżyją wszyscy, którzy byli. Gdy Bóg stanie się doskonałym i wszechmogącym, mówiąc inaczej, kiedy wszechmoc wiedzy zbierze się w rękę istoty dobrej i sprawiedliwej,—zechce ona wskrzesić przeszłość, by naprawić niezliczone krzywdy czasów ubiegłych. W miarę stawania się, Bóg im żywszy, tem będzie sprawiedliwszy, aż się ziści sprawiedliwość ostateczna, kiedy ktokolwiek tu z dziełem boskości spółtworzy, zrozumie jednego dnia, że dzieło to stało się ciałem, ogarnie całość i swoją część niepodzielną. Tak wiecznej bytów nierówności położon będzie kres. Ten, co się dla powszechnego dobra żadną nie był przyczynił ofiarą, znajdzie wtedy sprawiedliwy równoważnik swego udziału: nicość.

Zdala trzymajmy się od zarzutu, iż odkupienie, co nastąpi, być może, za miliardy wieków, straci na wartości i sile. Sen miliarda wieków—sen jednej godziny i jeżeli ma być

nam przyznaną nagroda, którą oto śnię, odczujemy ją tak żywo, jakby nadbiegła do nas w godzinę naszej śmierci,

„Wyglądam błogości zmartwychwstania“ — oto formuła, która przystoi konającym, zarówno idealistom, jak tylko—chrześcijanom.

Straszny jest świat bez Boga, takim jest dzisiejszy. Przyjdzie inny. Po straszliwych czasach okrucieństwa i egoizmów olbrzymiejącego bytu, ucieleśni się, być może, marzenie religii deistycznej, świadomość wyższa, która odda biednemu, co jest jego i pomści ludzi cnotliwych. „Tak być powinno, a więc tak jest“ — mówi deista. My—inaczej: „tak być powinno, więc tak *będzie!*“. Prawowitość naszego rozumowania opiera się na doświadczeniu; widzieliśmy, że się iści sen o pochodzie świadomości moralnej, że poczęła się i zakończy świadomość, streszczająca wszystkie inne, nawet wygasła, o ile pracowały dla ideału,—w absolicie. Egipcyanin, o którym wspomniałem, mówiąc o twórczości człowieka, żyje jeszcze w kamieniu, zwałonym pod piramidy. Tak też będzie z człowiekiem, który się do dzieła wieczności przyłożył. W tej piramidzie wielkich, ciągłych, nieskończonych prac każda cegła ma swoją wartość i znaczenie. Żyjemy w tej tylko wierze, w jakiej współpracowaliśmy przy budowie ideału.

Dziełem ludzkości jest dobro. Ci, którzy coś z siebie dali—*„zajaśnieją jako gwiazdy“*. A gdy-

by nawet przeznaczeniem Ziemi była śmierć twórcza, gdyby ledz miała, jak fundament, pod budowę przyszłości, nic to! będziemy wtedy tem, czem jest w bloku, przeznaczonym do wzniesienia świątyni—skorupa, muszla, która da odbicie kształtów naszego ducha. Tak w grubościennych murach naszego domu wzięła się skamieniałość dawno zastygłych tworów.

#### EUDOKSYUSZ.

Taka nieśmiertelność jest tylko pozorną. Nie wychodzi poza granice idealnej wieczności czynu i nie mieści w sobie wieczności człowieka. W tym znaczeniu i Chrystus działa dziś żywiej, niż wtedy, gdy był nieznanym Galilejczykiem. Ale sam Chrystus—nie żyje!

#### TEOKTYST,

Chrystus żyje! Nietylko trwa, lecz rozrosła się jeszcze jego osobowość. Człowiek żyje tam, gdzie działa. Życie takie jest dla nas droższe od cielesnego, które składamy tamtemu w ofierze. Zważcie, proszę, że nietylko opinię, reputację, przyszłość mam na myśli.

Ten „żywoć wieczny“ byłby nazbyt ułomny, pełen krzywdy i fałszu. Od takiej wieczności pierchliby którzy są najlepsi. Sławniejszy Tamerlan od nieznaney cnoty! Zasłużoną swą sławę dzieli Marek Aureliusz między dwa fakty: piśmienniczy—talentu i przypadkowy—godności

cesarza. Najgłębsze piętno na życiu wywierają czynniki ukryte. Nie żeby straszne sądy historii były zupełnie fałszywe, ale że śmiertelnie grzeszy ona—proporcją, proporcji brakiem. Ktoś bezimienny mógł być większy od Aleksandra Wielkiego; czyjeś serce kobiece, co w życiu swoim nie przerwało milczenia, bujniej i piękniej biło od najspiewniejszego poety. Bywa bowiem harmonia—krzykliwą wielce harmonijką. Mówię o życiu przez oddziaływanie, lub jak się podoba mistykom—o życiu w Bogu.

Życie ludzkie, przez swoje odbicie moralne, niby cyrkiem wyżłabia bruzdy na „łonie nie-skończoności“. Ten łuk kolisty zakreślony w Bogu, w Bogu się tylko zawiera i tylko w pamięci Boga są ludzie nieśmiertelni.

Sąd absolutnej świadomości, pamięć, którą ona przechowa—oto życie człowieka sprawiedliwego, a takie życie jest wieczne.

Zapewne, urabiać świadomość Boga na podobieństwo ludzkiej byłoby błędem antropomorfizmu; to posługiwanie się językiem ludzkich wierzeń jest jednak w teorii nieuniknione. Niema w tem większej niewygody, niż w używaniu obojętnej figury, metafory, symbolu. Język nasz wymaga stałej korektywy, będącej za nawiasem każdego słowa i—rzecz prosta—doskonałość takiego puryzmu kończy się tam, gdzie się poczyna milczenie.

### EUDOKSYUSZ.

Zapewne. Ale pan nam jeszcze nie wytłómaczył, jak można mówić o realnym bycie bez świadomości.

### TEOKTYST.

Świadomość jest, być może, wtórną formą bytu. Słowo to, gdy się je chce stosować do wszystkiego—do świata, Boga, traci wszelką wartość. Świadomość wyobraża pewne granice, przeciwstawność mojego *Ja* i *Nie—Ja*, która jest nawet zaprzeczeniem nieskończoności. Wieczną jest tylko idea, Materya—rzecz wcale względna; realnie nie jest ona tem, czem jest. Jest ona farbą do malowania, marmurem do rzeźbienia, przędzą do haftu,—tworzywem.

Możliwość wskrzeszeń tego, co już istniało, odtwarzanie wszystkiego, co miało kształty realne, nie da się zaprzeczyć. Śpieszę tej myśli z sukursem. Wszelka afirmacja w podobnym przedmiocie nie jest niczem innym, jak aktem wiary, a kto mówi „akt wiary“—musi też pomyśleć: akt przekraczający doświadczenie (nie mówię: przeczący doświadczeniu). Poza tem czy nadzieję naszą cechuje zuchwałość, a żądanie nasze—interesowność?

Nie, postokroć nie! Nie żądamy przecież żadnej nagrody. Żądamy bytu, chcemy wiedzieć, wiedzieć z góry, poznać tajemnicę świata, której szukaliśmy tak chciwie i całopalnie,—

przyszłość ludzkości, która nam przepala ducha. Sądzę, że wolno człowiekowi badać, wolno rozważać i wolno śnić na własnej tak mało obiecaniej ziemi—mózgu. Tym zwłaszcza to wolno, co życie pojmują, jako obowiązek, nie uciechę.

Człowiek, nie żądam nieśmiertelności za wszelką cenę, lecz chciałbym wiedzieć, czy nie będą nicości poświęcone ofiary, które mogłem ponieść dla dobra i prawdy; nie żądam za nie zapłaty, chcę jednak, by się na coś przydały, a po drugie—rad byłbym wiedzieć, azali ktoś małości czynów moich da świadectwo prawdy?

Chcę szacunku Boga—nic więcej. To nie jest „nadzwyczajne“ — nieprawdaż? Któż zarzuci umierającemu żołnierzowi, że jest ciekaw wyniku bitwy? że pragnie nadto przed śmiercią wiedzieć, czy kupił sobie prawem dokonanego żywota zadowolenie Wodza? .

Odczuwanie zanika wraz z organem czucia, działanie wraz z przyczyną. W rozkładającym się mózgu o świadomości, w pospolitem znaczeniu wyrazu, nie może być mowy. Ale życie człowieka w wszechświecie, jego miejsce, udział w świadomości boskiej, naczelnej, oto co wieczne i od gnicia ocalone.

Świadomość pozostaje w związku z przestrzenią—nie dlatego, oczywiście, że tkwi w jakimś punkcie, a dlatego, że czuje w prze-

strzeni skończonej. Idea, natomiast, nie zna przestrzeni skończonej i jest czystą bezmateryą. Nad nią ni śmierć, ni czas. Wiecznym tylko ideał. On tylko się ostaje wraz z tem, co mu służy.

EUTYFRON.

Uczeni pozytywistyczni będą mieli zawsze niemało kłopotów z tem, co pan tu powiedział i co przedtem wyłożyli Filalet i Teofrast. Obdarcza pan świat i ideał wołą i czynami, które dotąd postrzegano tylko, jako właściwości istot zorganizowanych. Nic wszakże nie upoważnia do poglądu na świat, jako na istotę zorganizowaną bodaj na sposób ostatniego zwierzo-krzewu. Gdzie nerwy świata? Gdzie jego mózgi? Bez nerwu ni mózgu, a mówiąc ściślej, bez materji zorganizowanej, nie stwierdzono jednak podotąd świadomości ni zdolności czucia w jakimkolwiek bądź stopniu.

TEOKTYST.

Zarzut pana, wymierzony trafnie przeciw istnieniu duchów bezcielesnych lub „aniółów“, nie podważa hipotezy o wewnętrznej dźwigni świata. Krążymy przecież dokoła wielkich, ostatnich tajemniczych rzeczy, na których spoczęło tchnienie Boga. Impuls odruchowo twórczy intuicyjnie wieszczy byłby czemś zupełnie odrębnem, zasadą pierwszą i niepodległą, jak sam ruch.

Nigdy inaczej, jak przez metaforę nie mogliśmy wobrażać sobie wszechświata, jako zwierzęcia. „Zwierzę“ znaczy „gatunek“, mnogość osobników. A więc—mnożość wszechświatów?

Nie! Że nieskończona masa wytwarza coś jakby potężne wypociny, wielki *plus* nadmiernej energii świata, którym, nie mając w słownictwie wyrazów bliższych, nadajemy imię: „świadomość“,—na to, zda się, wskazują najogólniejsze zjawiska natury. Wszystko w naturze sprowadza się do ruchu. Tak, ale ruch ma jakąś przyczynę, jakiś cell

Przyczyna—a więc ideał, cel—a więc świadomość.

#### FILALET.

Za pozwoleniem! Gdyby celem świata był taki, jak się panu widzi, jeden zdyszany bieg ku wiedzy—doprawdy, nie mielibyśmy kwiatów, ptaków, radości, wiosny. Wszystko to śpiewa o Bogu, mniej zajętym sprawami świadomości,—o Bogu, który już przyszedł, bawi się, ma wielką uciechę i pożytek z stanów posiadania, zdobytych dawno i w sposób skończony.

#### EUDOKSYUSZ.

Pójdę dalej jeszcze. Podjąłbym tu myśl Malebranche'a: *immotum quid* („coś co jest nieruchome, moment bez ruchu“), podłoże idei

Powracamy zawsze do tego wielkiego myśliciela, ilekroć chcemy zdać sobie sprawę z stosunków, jakie zachodzą między Bogiem a światem, człowiekiem a wiecznością...

O, wierzcie, proszę, że Bóg to konieczność absolutna. Bóg będzie i Bóg jest. Jako rzeczywistość—będzie, jako ideał—jest. *Deus est simul in esse et in fieri*. To przecież może być tylko przedmiotem rozwoju, co już jest. Zresztą, jak pan sobie wyobrazi rozwój, mający za punkt wyjścia—niebyt?

Pierwotna, bezwładna otchłań rzeczy byłaby taką na wieki, gdyby jej nie zapłodnił Ojciec Przedwieczny. Obok stawania się rzeczy należało zachować jej istnienie, obok ruchu—motor, w kole—ośrodek stały, bez ruchu.

Teoktyst to dobrze zrozumiał i umiał wykazać, że tylko hipoteza monoteizmu nadaje się do naszych głęboko w nas zakorzenionych wyobrażeń o wyższej sprawiedliwości dla człowieka.

Jeżeli ruch istniał odwiecznie, jakże powiemy, że już nie osiągnął spokoju. Zresztą jedno warte drugiego. Bo wytłómaczyć, dlaczego nie nastąpiła jeszcze równowaga byłoby również trudno, jak odpowiedzieć na pytanie: dlaczego była ona raz i kiedyś przerwana. Ten idealny strzelec, o którym mówiliśmy wczoraj *modo exempli*, strzelając od nie-

skończoności w nieskończoność — do licha! powinien być dawno już trafić do celu!

#### EUTYFRON.

Uderzamy tu w antynomie Kanta, spoglądamy w bezdnie ludzkiego umysłu, gdzie człowiek wpada z jednej sprzeczności w drugą. Tu kres. Język i rozum służą tylko rzeczom skończonym. Przenosić je w nieskończoność byłoby to samo, co chcieć wymierzyć zwykłym termometrem piekło słońca lub wnętrza ziemi. Rozwój cząstkowy, którego jesteśmy świadkami, jest tylko historią atomu, my zaś chcieć sobie pozwalamy inaczej, chcielibyśmy tę historię podnieść do dziejów absolutu i przy mierzać do nich w nieskończoności linie pobocznych planów sytuacyjnych.

Wikłamy rysunki różnych krajobrazów, popełniamy ten sam błąd, na który się jest wystawianym, odcyfrowując papyrus z Herkulanum. Nawzajem się tam przenika i przebija pismo różnorodnych listków, tak iż na jednej stroniczce znajdujemy litery, pochodzące z treści obcej, o dziesięć stronic dalej.

#### EUDOKSYUSZ.

Podziękujmy Teoktystowi za wszystkie nam powierzone marzenia. „Zupełnie tak samo prawi nasz proboszcz, tylko słowa inaksze“. Żarty! Tylko płytkie umysły uciekają od wysokich

problematów. Zawierają się w piwnicy i stamtąd złorzeczą słońcu. Ci mogliby i Kolumbowi, wpatrzonemu w dalekie, obiecane widnokregi morskie Zachodu, doradzić rozsądnie: „Biedny obłąkańcze! widzisz przecie, że nic tam niema, po tamtej stronie bytu“.

FILALET.

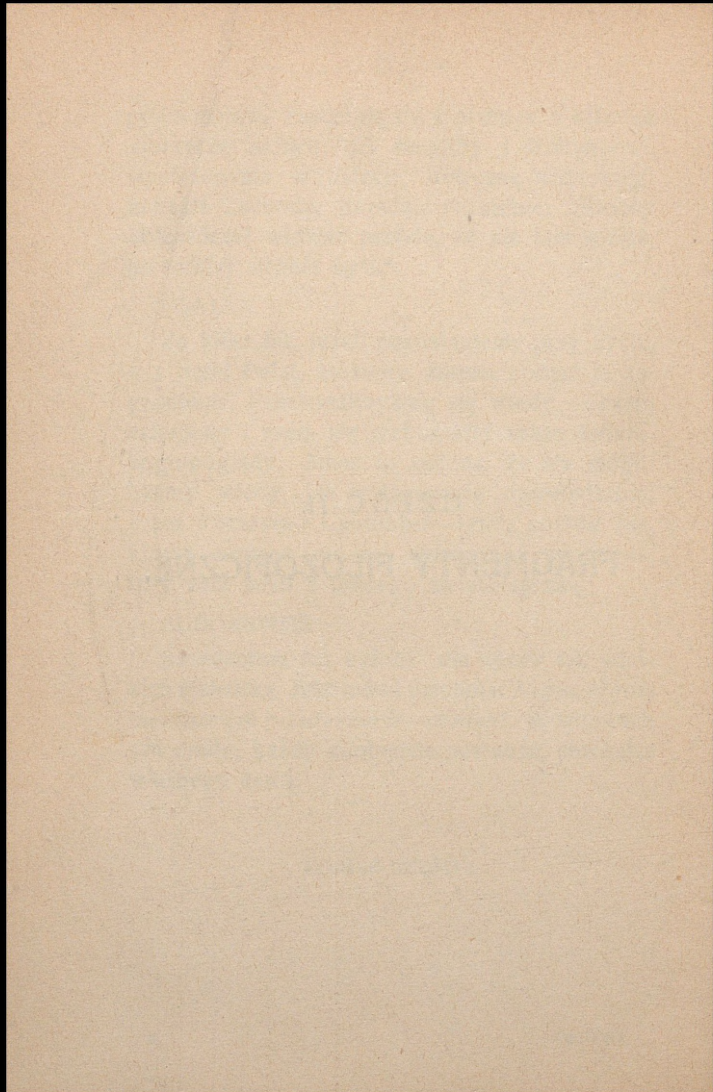
Za kilka lat, jeżeli pozostaniemy przy życiu, a z nami świat, możemy znowu podjąć te zagadnienia. Przekonalibyśmy się wtedy, na czym ucierpiały i czem się wzbogaciły nasze światobogo-poglądy. Jakaż to szkoda, że nie moglibyśmy wtedy, jak w legendzie opowiedzianej przez Tomasza z Cantimpré—tym z pośród nas, którzy umrzeć muszą, wyznaczyć spotkanie, iżby nam zdali z tamtego świata sprawę.

EUDOKSYUSZ.

Świadectwo ich byłoby dla spraw tak wielkich małostką. Jako mówi parabola: *Neque si quis mortuorum resurrexerit—credent*. W sprawach zaś cnoty, każdy zdobędzie pewność, słuchając własnego serca.

KONIEC CZĘŚCI I.

CZĘŚĆ II.  
FRAGMENTY FILOZOFICZNE.



## UMIEJĘTNOŚCI PRZYRODNICZE I HISTORYCZNE.

### LIST DO M. BERTHELOTA.

*Dinard obok S. Malo w sierpniu 1863 r.*

Tu oto, na brzegu morza, powracam często do moich dawnych zamierzeń. Nawiedzają mię żale, że nad umiejętności przyrodnicze, a zwłaszcza fizyologię porównawczą—przeniosłem historję. Niegdyś jeszcze w seminaryum d'Issy z zapalem chłonałem przyrodę, ale już u św. Sulpicyusza filologia i historia pochłonięły mię całkowicie. Ilekroć wszakże obcuje z panem i Klaudyuszem Bernard'em, żałuję, że jedno mam życie i nie wiem, czy poświęciwszy je badaniom dziejów ludzkości, wybrałem lepszą część..:

Czemże bo są właściwie te trzy lub cztery tysiące lat historii poznawalnej w nieskończoności czasów niehistorycznych? Niczem, zgoła niczem. Dlatego myśliciele szkoły literackiej, traktujący badania przyrodnicze wrogo lub obojętnie, zawsze będą równie dalecy od prawdziwego rozwoju. Historia, w zwykłym znaczeniu

tego słowa, t. j. szereg wiadomych nam faktów o pochodzeniu ludzkości, jest przecież tylko nieznaczną cząstką historii prawdziwej, pojmowanej, jako obraz rzeczy o rozwoju świata poznawalnych. Niestety, namiętności, towarzyszące badaniom dziejowym, wykluczają trzeźwość i bezinteresowność,—warunki dla odkrywców prawdy nieodzowne. Gdyby wiedzę historyczną otaczała publiczność tym samym spokojem, co np. chemię, zdobycze jej byłyby znacznie większe.

Należy jednak powiedzieć, że to, co czyni historję umiejętnością dwuznaczną, stanowi również przywilej jej szlachetności. Gdy rozważymy w tej dziedzinie ogromne przeszkody, uniemożliwiające bezstronność w traktowaniu przedmiotu, dalej powinowactwo historii z polityką i moralnością,—wszystkie czynione jej wstręty, które zawdzięcza rozbieżności ludzkich interesów i uprzedzeń,—sądzę, że nie obarczy tej umiejętności wzgarda, jaką stale odbiera z rąk bractwa rzeczy ścisłych. A gdy myślę o tem, czem byłaby ta gleba, gdyby uprawiały ją umysły filozoficzne, pozwalam sobie dalej trwać w tem mniemaniu, że tylko tym, którzy historii należycie nie pojmują, przystało umiejętność tę traktować, jako beużyteczną opowieść o nowinkach.

Coraz częściej wydaje mi się Czas twórcą uniwersalnym, potężnym spólczynnikiem wiecznego *stawania się* świata. Wszystkie umiejęt-

tności przywiązane są przez samą naturę swego przedmiotu do pewnego momentu dziejowego i wchodzą, jako szczeble, w ciągłość rozwoju. Zadaniem każdej z nich jest dać nam jakiś okres historii bytu. Z tego punktu widzenia, historia, pojmowana ściśle, jest umiejętnością najmłodszą. Poucza nas tylko już o ostatnim okresie świata, raczej — o ostatniej fazie tego okresu, uczy zaś w sposób niedoskonały, z ogromnemi lukami. Historia pisana dochodzi nas w czasach, kiedy ludzkość znajduje się już w stanie daleko posuniętej refleksyi. Egipt i Chiny są już zgrzybiałe, kiedy dochodzą do naszej świadomości. Grecya i lud żydowski udzielają się nam w całym blasku ich młodości, ale przedtem jakim ulegały wstrząśnieniom! Początki Rzymu — dla braku kronik — będą zawsze tajemnicą. Cóż powiedzieć o tajemniczem bytowaniu Celtów, Germanów, Słowian, historycznie żywych dopiero w tej chwili, kiedy zwróciły na siebie uwagę ludów, posiadających już sztukę pisanego słowa?

Wiek indukcji naukowej potrafi znacznie rozszerzyć granice historii. Filologia i mitologia porównawcza pozwoliły dotrzeć do okresów zamierzonych, poprzedzających narodziny pierwszego dokumentu. Człowiek przedtem mówił i tworzył mity, potem — pisał.

Opowieść historyczna poczyna się, oczywiście, wcześniej od epoki pierwszych dziejopisów, ale tradycja zdarzeń dawnych, zawsze ułomna,

nie posiada głębszej wartości, podczas gdy mowa ludzka i mitologia świeżość swoją zachowują w przeciągu tysiącleci. Litwin dzisiejszy mówi jeszcze prawie sanskrytem, a podług Grimma, pierwotne mity indo-europejskiej rasy błakają się jeszcze po wioskach Szwabii i Harcu. A stare gminne pieśni lub pieśni święte—zwłaszcza Wedy, skarbnice dalekosiężnej przeszłości, pełne powagi, godne najczystszej pietyzmu! Kunsztowna analiza nowszych czasów złożyła się na kapitalny przyczynek do poznania epoki, w której historyografia nie istniała, istnieć jeszcze nie mogła.

W szczególności, co dotyczy naszej rasy — to dzięki wysiłkom uczonych takich, jak Kuhn, Maks Müller, Pictel, Bréal, wiemy coś niecoś o Aryjczykach, pierwotnych praojcach Greków, Latynów, Germanów, Słowian, zanim się ów pra-lud rozszczępił na ludy odrębne. W każdym razie wiemy o nim więcej, niż o dzisiejszych ustrojach społecznych środkowej Afryki i Azji. Zbrojni w podobną analizę, stosowaną do starożytności żydowskiej, moglibyśmy też zajrzeć, co prawda z mniejszą jasnością, w one czasy mgławicowe, kiedy Syryjczycy, Arabowie, Hebrajczycy żyli na łonie wspólnoty etnicznej, tworząc jedno drzewo i jedną koronę. Gdyby badacze sumienni nie należeli do wyjątków, jakże bujnych plonów moglibyśmy się spodziewać po filozoficznych i krytycznych badaniach

nad chińskiem słownictwem lub rodziną narzeczy tatarskich!

Mogłaby się narodzić nowa wiedza, rozwierająca przed nami karty *historji przedhistorycznej*, historia, nie płynąca z kronik, niezajmująca się dynastjami królów, zdobywaniem miast, bitewną wrzawą, — niemniej jednak doniosła.

Bądź co bądź, fakty, które w czasach dzisiejszych nie przestają wywierać potężnych wpływów na sprawy ludzkie, dokonały się w tym nieskończeniu dalekim okresie. Filiacya ras, prawnie pierwotne, początek, rozłam i różnicowanie żywych dotąd języków i narzeczy — tamtych sięgają praczasów.

W czasy Herodota Słowianie, Germanie istnieli już od wieków z wszystkimi cechami zasadniczymi. Zwyczaje, przechowane po dziś dzień w wielu wioskach niemieckich, działały niegdyś, jak prawa, w jakiejś zatraconej prowincyi Scytów; języki Goethego, Mickiewicza, w głównych liniach, z góry, z dalekiej niewidzialnej góry przeznaczeń otrzymały swój chrzest, godło, rysunek.

W ten sposób, opierając się na filologii i mitologii porównawczej, możemy, pozostawiając w tyle teksty kronikarskie, dojść do początków świadomości ludzkiej. W chronologicznym porządku umiejętności dwie te nauki zajmują miejsce między historją a geologją.

Ta zwłaszcza ostatnia dość blisko przylega

do historii człowieka. Wskazówki dotąd luźne lub sprzeczne—w przyszłości niezawodnie zgodniejsze—pozwalają wierzyć, że ludzkość zamieszkiwała planetę naszą znacznie wcześniej, niż to przypuszczano. Poza widnokregiem, wskazanym przez mitologię i filologię porównawczą i sięgającym czasów powstawania wielkich ras, ukazują nam jeszcze dalekie perspektywy paleontologia, zoologia, antropologia porównawcza.

Zwłaszcza archeologia przedhistoryczna znajdzie tu jaknajszersze zastosowanie; bowiem człowiek tworzył potrzebne mu narzędzia przed ustaleniem języka i mitów. Podzielam opinię uczonych, którzy w grobowcach t. zw. *celtyckich* Bretanii i Danii widzą ślady pierwotnej ludzkości, która poprzedzała na tej ziemi ukazanie się ras wielkich. Wykopaliska te nie zawierają przedmiotów z żelaza i prawie wcale—z brązu. Nigdy tak nie tworzyła rasa aryjska. Są to jeszcze—rzecz prosta—dokumenty blade. Ale niechby morfologię zoologiczną uprawiali przeniekliwcy, filozofowie—jak Geoffroy St. Hilaire, Goethe, Cuvier—nienękany manią urzędowości, wtedy—czy nie sądzi pan, że wykryliby niezrównaną tajemnicę zjawiska, którego mocą się działo, że jeden gatunek zwierząt zdobył na innych pierworództwo, pierwszeństwo siły, rozstrzygające o całej historii świata.

Co do mnie—zawsze sądziłem, że tajemnicę powstawania gatunków może wyświecić morfo-

logia, że formy i kształty zwierząt są jakby mową hieroglifów, do których niema klucza i że rozwiązanie sfinksowych zagadek przeszłości ofiarują nam fakty widzialne, których nie umiemy odcyfrować i odczytać.

Właśnie *Czas* — czynnik wszechmogący — działał tu przede wszystkim, niemal wyłącznie. Człowiek dzisiejszy jest wytworem tajemniczego rozwoju, który trwa dziesiątki, setki tysięcy lat, choć prawdopodobnie na wielu punktach ukształtował się naraz i jednocześnie.

Wiem, że zoologowie, którzy — mówiąc językiem scholastów — widzą wszystko *in esse*, zamiast — *in fieri*, przeczą wiekowym przemianom gatunków. Dla nich — każdy typ zwierzęcy, ukształtowany raz i na zawsze, — w skończonej postaci kroczył przez wieki.

Cóż mniej zasługującego na miano filozofii! Nic stałego w naturze! Wszystko w ciągłym rozwoju. I ta małość skali, na której można było doświadczać wrzekomą stałość gatunków! Powołują się na Arystotelesa, na pieczary Egiptu. Przypuśćmy wreszcie, że identyczność, ustalona przez taki sposób kontroli, odpowiada rzeczywistości. I cóż! Pieczary — są to warstwy geologiczne. Ukazują życie zwierzęce i roślinne, odmienne od istniejącego. Ale jak się dokonało przejścia od fauny i flory, odkrytych przez geologię do — fauny i flory aktualnej? Przez nagłe wstrząśnienia, destrukcje i tworzenie nowe? Po-

dobna idea podważa zasadę, silnie ugruntowaną na filozofii przyrody, mianowicie zasadę, że rozwój świata dokonywa się bez interwencji jakiejś istoty zewnętrznej i działającej prawem „wól wyjątkowych“ Malebranche’a.

Zresztą geologię unoszą też wręcz inne hipotezy. Pogląd, według którego przyczyny aktualne, rozciągnięte na dowolną długość wieków—wystarczają dla wytłómaczenia wszystkich przemian, którym uległa nasza planeta—pogląd ten, zda się, będący własnością Lyella, uledz też może jednego dnia przemianie; nigdy jednak idea przemian, niewynikających organicznie z poprzednich stanów, nie zagości dłużej w głowie uczonego.

W miarę pogłębiania historii fizycznych i moralnych przewrotów, które się odbyły na powierzchni naszego globu, coraz dokładniej rozumieć będziemy, że miarowe powolne działanie przyczyn zwykłych zdaje nam rzetelną sprawę z wszystkich zjawisk, które niegdyś składano na karb czynników wyjątkowych. Nadejdzie wtedy i dla zoologii czas, kiedy się ona stanie historyczną i kiedy, miast opisywać faunę istniejącą, zechce wykryć sposób, w jaki fauna pierwotna doszła do dziś postrzeganej. Być może, pod tym względem hipotezy Darwina wydadzą się niedostateczne czy niedokładne, ale są one niezaprzeczenie na drodze do zdobycia wielkiej tajemnicy świata i pra-

wdziwej filozofii. Nie jest więc ów ciemny okres historii naszej planety, okres ukształtowania się człowieka, całkowicie wyjęty z pod naszego poznania.

Skombinowane wysiłki geologii i zoologii porównawczej muszą do pewnego stopnia tajemnicę tę pokonać. Czem filologia porównawcza dla historii, tem antropologia powszechna dla filologii porównawczej. Ta ostatnia wychodzi z założenia ludzkości już na rodziny podzielonej. Antropologia powszechna wykryje prawa samego ukształtowania ludzkości. Filologia porównawcza—to historia dziejów przedrefleksyjnych, antropologia zaś będzie historią dziejów, poprzedzających powstanie mowy ludzkiej i tego ideowego dorobku, który, jako dziedzictwo ludów, wykreśla ludzkości kierunek jej biegu. Zoologia i botanika w nauce o czasach pierwotnych odegrać powinny rolę najstarszych dokumentów historii życia.

Historia naszej planety przed człowiekiem i przed życiem leży o cały jeden zmysł niżej naszych pojęć, albowiem przepływa ona nad faktami znacznie niższego porządku. Tu znowu geolog będzie historykiem, który, wspierając się na fizyce powszechnej, da nam opowieść o przemianach, którym uległa Ziemia od czasu, kiedy poczęła istnieć, jako glob niezawisły. W żadnym okresie nie zachodziły, zapewne, zmiany bardziej stanowcze. Dziś jeszcze rządzą nami

zjawiska, które odbyły się w czasach przedludzkich. Można nawet utrzymywać z całą słusnością, że tajemnicę historii dzierzy geologia.

Jakież zdarzenie prześcignie kiedy doniosłością tą przedziwną moc trafu, która wycięła z łądów cieśniny morskie Pas de Calais, Bosfor—zdarzenia w najwzględniejszym znaczeniu tego słowa — przypadkowe, które zarysowały kształt kontynentu, krzywizny mórz, stosunek przestrzeni wyniosłych do zatopionych, właściwości gruntu, przeznaczone jakby dla każdego szczepu, zarody jego przyszłych losów i politycznej niedoli. Cóżby się stało, gdyby między Śródziemnem Morzem a morzami północy i zachodu nie wyciągnęła się ziemia, przeznaczona dla roli serca ludzkości? Gdyby Islandya i Grenlandya odchylone na kilka stopni w kierunku południa dawno już utworzyły prawidłową i wytkniętą drogę z kontynentu na kontynent? Wszystkie losy planety Ziemi—jeżeli nie dadzą się w ten sposób rozwiązać, dadzą się — wytłómaczyć.

Od czasów kiedy Ziemia zasłużyła sobie w systemie słonecznym na odrębność swego imienia, aż do chwili, w której ją widzimy, wciąż potykamy się w poznaniu o niezliczone wyrwy, uderzamy o nieprzejrzane mgławice, ale jednocześnie rozwiązujemy ciągłość łańcucha, zdobywamy prawa postępu—a chociażby tylko pochodną, gdzie wszystko się zbiera i wiąże

a każda chwila ma swoje prawo bytu w chwili ubiegłej.

Czy nasza wiedza historyczna tu się już kończy? Czyżbyśmy już nie mieli żadnego sposobu dotarcia do okresu, w którym Ziemia jeszcze nie istniała? Sposób taki posiadamy, skoro astronomia pozwala nam przejść nad całą koncepcją planetową do stanowiska Ziemi, jako jednostki, związanej z całością nierównie większą. Lotem astronomii wiedza ludzka unosi się nad Ziemią, obejmuje cały świat, zajrzeć może w przedhistorię kształtowania się Ziemi w systemie słonecznym. Niewątpliwie bowiem planeta Ziemia cieszyła się bytem odrębnym: jest ona częścią ciała większego, indywidualność jej ma swój początek.

„System świata“ Lâplace'a jest historią epoki przedziemskiej, historią świata przed początkiem planety Ziemi lub — jeśli się podoba — historią Ziemi w jej spółbytowaniu z Słońcem. W rzeczywistości, z punktu, do którego doszliśmy w naszym rozumowaniu, historia świata jest historią słońca. Mały atom, oderwany od ogromnej masy ośrodkowej, do której jeszcze ciąży, nie wchodzi w rachubę. Dowiodłeś mi niegdyś, przyjacielu, w sposób, nakazujący moim zarzutom milczenie, że życie naszej planety źródłiskiem swoim leży w Słońcu, że wszelka siła jest słońca przetworem, że roślina, która żywi nasze ogniska, jest słońcem zamagazyno-

wanem, że za sprawą słońca porusza się lokomotywa, słońcem czynna, które śpi całe wieki w podziemnych składach węgla, że koń czerpie siły swoje z roślin, pieszczonych przez słońce, i że reszta pracy sprowadza się do zjawiska wzbierania wód—t. j. do fenomenu, który jest bezpośrednim wytworem energii słonecznej. Nie mówmy tedy więcej o planecie Ziemi—nikłym atomie. Spójrzmy na wielkie ciało niebieskie, rzucone kędyś w przestrzeni, dokoła którego krążą—do którego grawitują drobni, oderwani od całości satelici.

Zaprawdę, zaprawdę—zanim religia proklamowała Boga w absolutie i ideale, t. j. poza światem,—jeden tylko kult był godzien rozumu i nauki—kult Słońca! Słońce jest naszą matką—ojczyzną i osobliwym, opatrnościowym bogiem naszej planety. Nieobliczalny szereg wieków, potrzebnych na ujarznienie i zamianę, na ciągłość siły przewrotów, które zogniskowały wszystkie czynne zasoby masy słonecznej, nie ma w sobie nic takiego, co mogłoby być dla nas powodem niepokoju.

Nieskończoność trwania widzimy za sobą, lecz żadnej nieskończonej małej chwili tego trwania nie brakło treści. Ograniczone perspektywy, w których oglądamy naturę,—są główną przyczyną ciasnoty większości umysłów, ich dziwnej nieumiejętności widzenia historii świata w sposób szeroki i płodny.

Ale system słoneczny jestże wieczny? Czy nie możemy wyjść poza jego granice? Czynimy to wszakże, wiedząc z astronomii, że system słoneczny jest tylko punktem w przestrzeni, systemem pośród tysiąca systemów analogicznych. Nie wiemy o początkach Słońca, początek taki jednak istniał. Mgławice świetlne, droga mleczna — oto dokumenty tej historii olbrzymów. Tu już mur, niezwalczony mur niemożliwości, zatrzymuje nas ostatecznie.

Cóż poza tem? Dowiedzieliśmy się tylko o tem, że słońce nie jest ciałem, w swoim rodzaju, jedynem i niepowtórzonem, że istnieją też inne słońca, niewątpliwie o tych samych właściwościach i podległe tym samym prawom.

Ale nadchodzi odsiecz w umiłowanej przez pana chemii. Wkracza tu zwycięzka, jasna, orężna. Dawno już pokaźna ilość tu i owdzie gromadzonych faktów składała się na przypuszczenie, że ciała, rozsiane w przestrzeni, zawierają te same składniki, co — Ziemia. Bunzen i uczeni inni (bliżsi panu, niż piszącemu te słowa) wykryli kapitalne prawa tej jedności: ta sama chemia Słońca, co i — Ziemi, tu i tam — te same pierwiastki. Odtąd chemia nie jest już tylko nauką ziemską, jak geologia, lecz rozciąga też swe panowanie na system słoneczny, być może — dalej... Nie wiem, czy doświadczenia Bunzena dadzą się zastosować do gwiazd stałych. Ale uderzająca analogia tych gwiazd ze Słoń-

cem nakazywałyby wiarę, że rządzą niemi te same prawa chemiczne. A więc chemia wykrywa fakty, należące do epoki przedśłonecznej, kiedy systemy światów w postaci zróżnicowanej—przynajmniej w niektórych regionach przestrzeni—jeszcze nie istniały. Czemże byłyby w takiej oto koncepcyi światów — chemia? Historią najdawniejszego okresu świata, historią powstawania atomu. Bo czy nie sądzi pan, że atom mógł być tak samo, jak wszystko inne, owocem Czasu, rezultatem długotrwałego zjawiska sprężania się cząsteczek, o miliardzie miliardów wieków trwania? Tak czy inaczej, — chemia, oczywiście poprzedza astronomię, dzięki rewelacyi praw rozwojowych, poprzedzających istnienie ciał niebieskich. Przez nią to wstępujemy w świat, w którym niema jeszcze planet, ni słońca, mijamy okres słoneczny i bytujemy w okresie cząsteczkowym.

A dalej — jeszcze dalej?

To pan mi któregoś dnia udzielił tej myśli, że fizyka mechaniczna, być może, treścią swoją sięga jeszcze dawniejszej epoki. Przenosi nas do świata atomów absolutnych, — mówiąc ściślej — do świata sił absolutnych, wolnych od wszelkich właściwości chemicznych. Tylko czy sta mechanika panowała w stanie pierwotnym świata, gdzie wszystko miało jedno oblicze bezosobowości. Ale czy była kiedy taka wiekowa chwila trwania, kiedy materya istniała, jako

taka, bez właściwości wewnętrznych, ograniczona tylko ilością masy! Któżby się tu zdobył na na *twierdzenie*? Nie mogę jednak przemódt myśli o prawach ciężenia, jako o czemś takim, co musiało poprzedzać zjawiska reakcyi chemicznych. Dlatego mechanika wydaje mi się, dla racyi swego przedmiotu, nauką najstarszą. Czy trwały jej rządy wieczność, zawsze? I gdzie początek siły i masy? I co oznacza sam wyraz „początek“ skoro już to, co rozważamy w tej chwili pojmovać możemy tylko jako pierwiastkowość, niemającą poprzedników?

Oto gdzie mur i kres, otchłań, nad którą zawisa rozum, i milczą analogie. Przed tą baryerą stają dęba „antinomie“ Kanta. Staje przed oczyma widmo nieskończoności, zakłęte koło kół, świat chimery i próżni.

Tajemnice te zawiera, być może, matematyka, zwłaszcza rachunek ilości nieskończenie małych. W niej, być może, ucieczka... To tylko pewna, że matematyka — jedyna z pośród nauk innych rzuca nieco światła na tę dziwną wędrówkę umysłu ludzkiego od konieczności domniemania o początkach świata do niemożliwości i nieprawdopodobieństwa tego domniemania. Ale daje ona zaledwie cień, dalekie odbicie wyobrażeń, nie wychodzi poza znak, formułę, termin, wyraz, niezawierający nic realnego.

Gdyby nic nie istniało, byłaby matematyka najczystsza prawdą. Królestwo jej: absolut i ideał:

Niestety, szereg poruszonych tu zjawisk istnieje jaknajrealniej. Między pierwotnym bytem atomu, a matematyką leżą nieprzebyte kraje. Matematyka jest tylko rozwojem zasady równoległości, drugą ręką cennej pomocy, gdy się ją stosuje do rzeczy realnych, ale niezdolną do rewelacji bytu ni faktu. Nie dostarcza nam żadnych praw natury, ale dając świetne formuły, dla usymbolizowania przemian ilościowych, służy najwierniej, jako narzędzie, obcegi, przy operacji wyłuskiwania z praw natury ich treści. Nic nam nie mówi o rozwoju bytu, ale wykazuje, w jakich kategoriach bytu ma ona zapewnioną wieczność, wychodząc już z założenia oczywistości tego bytu. To samo powiedziałbym o metafizyce. Niegdyś odrzucałem metafizykę jako naukę samodzielną i rozwojową, choć nie uchylam jej, jako całości wyobrażeń, na podobieństwo logiki—niewzruszonych. Nauki te, uciekając od faktów, uczą analizy poznania. W każdym razie leżą poza światem rzeczy. Prawa syllogizmu, fundamentalne aksjomaty czystego rozumu byłyby również, jak matematyka, czystą prawdą, gdyby nie było przedmiotu percepcji zmysłowej. Czysta matematyka, logika, metafizyka, jako nauki o wieczności, o Niezmiennem, są zgoła niehistoryczne, niedoświadczalne, niemające żadnego związku z bytem i faktem. Prowadzą nas w światy bez początku ni końca, ni racyi istnienia. Otóż z całym sza-

cunkiem dla nauk o wieczności, należy je bez ogródek wyprowadzić za granice światów realnych.

Streszczam się. W porządku rzeczy realnym, to, co postrzegamy, jest rozwojem w czasie stopniowanym, w którym rozróżniamy:

1) Możliwość okresu atomistycznego, rządzonego przez mechanikę czystą. W nim — zarody drugiego okresu.

2) Okres cząsteczkowy, w którym bierze początek chemia, a materya znajduje już ugrupowanie odrębne.

3) Okres słoneczny, materyi zwartej w olbrzymie masy, przedzielonej bezmiarami przestrzeni.

4) Okres planetarny. W każdym z systemów oddzielają się od mas ośrodkowych i dookoła ich odrębne ciała, zdolne do własnego rozwoju. Planeta Ziemia rozpoczyna swój byt odrębny.

5) Okres indywidualnego rozwoju każdej planety. Planeta Ziemia przechodzi przez miarowe ewolucje, wchodzące w zakres geologii. Początek życia. Botanika, zoologia, fizjologia znajdują wstęp do swego przedmiotu.

6) Okres ludzkości nieświadomej (dziedzina filologii i mitologii porównawczej)—od dnia ukazania się na ziemi istot, usprawiedliwiających nazwę człowieka, aż do czasów historycznych.

7) Okres historyczny. Świt swój rozpoczy-

na w Egipcie i obejmuje mniej więcej 6.000 lat, z tych 3.000—z niejaką tylko ciągłością rozwojową i tylko od 300—400 lat z świadomością zupełną w stosunku do planety i ludzkości.

Tak tedy to, co nazywamy historią jest historią ostatniej godziny wieków. Dzieje się tak, jak gdybyśmy dla zrozumienia historii Francji musieli poprzestawać na historii jednego dziesięciolecia. Dwa czynniki: Czas i tendencja rozwojowa tłómaczą świat. *Mens agitat molem. Spiritus intus alit.* Bez potencji rozwojowej byłby Czas doskonałą kategorią nicości. Rodzaj sprężyny wewnętrznej, motor życiotwórczy, nadający wszystkiemu bieg ku rozwojowi—oto oczywista konieczność hipotezy. Stare szkoły atomistyczne, które zdobyły niejedną prawdę, ale pominęły tę zasadę rozwoju, dojść musiały do absurdu. Sławetny „szczutek“ Kartezyusza tu nie wystarcza. „Szczutek“ pozwalał tkwić niepodzielnie i z dostateczną ślepotą w mechanice, z której nawet wielki ten umysł nigdy się nie umiał wyzwolić.

Niema życia bez tej ciągłej tendencji do doskonalenia bytu, niema życia bez potrzeby pochodu i rozwoju. Należy więc przyjąć istnienie w świecie siły, postrzeganej w roślinie i zwierzęciu, siły wewnętrznej, która prowadzi zarody do wypełnienia form z góry zaznaczonych i wytkniętych. Istnieje w świecie świadomość ukryta, która dąży do stworzenia siebie, tajemnicza

wola, która ziszcza wszelką możliwość bytu. W ten sposób wydaje mi się byt kompromisem, tworem warunków rozbieżnych, jest jakby równaniem, które większości hipotez daje rozwiązania ujemne lub tylko wyobrażalne, ale niekiedy i — rzeczywiste.

Tak się wieje zboże, tak — przesiewa mąkę. Wszystko do życia potrzebne, — wszystko co ma rację bytu, na czym spoczęły dobrotliwe ręce harmonii, reszta kędyś ginie bez śladu. Tysiące gatunków, które istniały lub usiłowały istnieć, uległy tym losom. Jedne trwały nie dłużej jak stulecie, inne do życia zdolniejsze — sto wieków (bóbr, żyrafa, wieloryb zanikają już w nasze czasy). Niektóre zaginęły absolutnie, inne doznały przekształcenia, jeszcze inne posiadały tylko możliwość bytu, która dla braku warunków sprzyjających, nie znalazła czynu i kształtu. Tak jest więc świat — nieskończoną walką, w której zwycięstwo służy formom możliwym, giętkim, przystosowanym i zrównoważonym, — kędy wszystko się zrównoważy, kształtuje i dopełnia. Organ tworzy potrzeby, ale sam na początku jest wynikiem potrzeby. Czemże jest zresztą sama potrzeba, jak nie tą świadomością boską, którą zdradzają instynkty zwierzęce, kierunki człowiekowi przyrodzone, nakazy świadomości ludzkiej — cała wysoka harmonia świata, która sprawia, że jest on pełen liczby, wagi, miary?

Wszystko, co jest, ma swoje racye bytu, ale też wszystko, co ma racyę bytu, było lub będzie.

Wszelki rozwój już poczęty, musi się dokonać. To pewność. Mniemanie to nie jest zuchwalsze od twierdzenia, że z ziarna wyrośnie drzewo, zarodka—zwierzę. Nie przeczą tej zasadzie wyjątki: zatrzymanie rozwoju, przypadkowo nieszczęśliwe warunki. Zwycięża całokształt rzeczy. Co rok giną niezliczone zarody kwiatów—jednak wiemy, że nie będzie wiosny bez kwiatów. Możemy pochwyć fazy rozwoju, którego prawom na imię: miliony, miliardy wieków. Prawa te nazywamy postępem, prowadzącym światy od mechaniki do chemii, od stanów cząsteczkowych do stanów słonecznych—jeżeli tak powiedzieć można—t. j. do stanu mas w przestrzeni wyodrębnionych. Postęp ten oderwał od mas słonecznych jednostki planetarne, narzucając im tylko wewnętrzną zależność od ośrodka, dał naszej planecie dążność do rozwoju prawidłowego, stworzył zjawisko życia, nakazał ciągłość, pochod świadomości na początku ślepej, zawartej w sobie, potem coraz swobodniejszej i jaśniejszej. Narodził się rytm wiarogodnego rozwoju ludzkości, tętniący w mitach i mowie ludzkiej, półświadomej, potem ujawniony w historii, powstaje wreszcie sama historia, coraz jednolitsza, potężniejsza, ogarniająca wszystko tego świata. Postęp, zdą-

żający do świadomości, jest najogólniejszym prawem świata. Rzecz najwyższa, jaką znamy w świecie realnym (poza absolutem i ideałem) — to ludzkość. Zapewne, nie moglibyśmy temu przeczyć, że na innych ciałach niebieskich istnieją rodzaje świadomości więcej niż ludzkiej, nic o tem jednak nie wiemy. Co więcej moglibyśmy nawet twierdzić, że żadna z tych przypuszczalnych form nadświadomości, których istnienie jest więcej niż prawdopodobne, nie przekracza tak znowu dalece stopnia świadomości, dla człowieka osiągalnej. Dowodem bezmiernej przewagi dla świadomości rozumnej byłaby możliwość przewyciężenia granic własnej planety, oczywiście — nie drogą indukcyi naukowej, lecz drogą oddziaływania, emanacyi czynów z planety na planetę. Nic podobnego w systemie słonecznym. Wszystkie rodzaje *ludzkości*, przypuszczalnie w systemie tym zawarte, uwięzione są w astronomicznych granicach swego bytu i żadna z nich nie umiała dotąd „łamać czego rozum nie złamie“. Nie moglibyśmy twierdzeń podobnych rozciągać na inne systemy słoneczne; ale wolno twierdzić, że żadna istota ludzka lub gatunek istoty rozumnej na żadnym punkcie i pod żadną szerokością widzialnego świata nie opnowała materji całkowicie, ani też nie nawiązała styczności z innym ciałem niebieskiem.

Nie było dotąd faktu, nie było przeżycia, które wymagałyby postawienia takiej hipotezy.

Poza człowiekiem nie ustalono dotąd jednego wolnego czynu, któryby nadał rzeczom bieg inny od biegu zwykłego lub odchylił ich kierunek samorzutnie.

Czy z długiej historii świata wypada linia przyszłości, czy wolno ją sposobem indukcyjnym kreślić? Nieskończoność czasu leży poza nami i przed nami i za miliardy wieków świat odchyli się od dzisiejszego na bezmiary, na otchłanie różnic, które dzielą dzisiejszych od epoki przedziemskiej i przedsłonecznej. Ludzkość się poczęła i skończy. Planeta Ziemia miała swój początek, będzie miała swój kres. Zrodził się i zgaśnie system słoneczny. Tylko byt i świadomość nie mają kresu. Wyłoni się coś, co będzie tem dla świadomości, czem świadomość dla atomu. Ludzkość, zanim wyczerpie treść swojej planety i padnie ofiarą gasnącego słońca — żyć — ginąć — żyć może jeszcze długie tysiąclecia. Czem będzie świat, gdy milionkrotnie odrodzi się i odbije w nieskończoności to, co się stało po 1763 r. i kiedy chemia — zamiast osiemdziesięciu — wykaże sto milionów lat postępu! W taką przyszłość zaglądać, taką przyszłość wróżyć — cóż może być śmiesznego! Mimo wszystko — ona nadejdzie. Któż może wiedzieć, czy człowiek lub inna istota rozumna w poznaniu materji nie dojdzie do ostatnich słów i granic, nie pozna praw kierowniczych życia, praw — atomu? Kto wie, czy będąc w po-

siadaniu tajemnicy, rozwiązawszy zagadkę materii, — chemik, z pośród wybranych wybrany, wszystkiego, co jest, nie przekształci? I kto wie, czy, posiadając tajemnicę życia, biolog nie zechce zmienić jego warunków, czy jednego dnia odwieczne gatunki i rodzaje nie obarczą świadomości, jako przeżytki zgrzybiałego świata, ciężar już nie do zniesienia, wart zagłady lub archiwów i opieki muzeów...

Mam na myśli nieskończoną i realną potęgę wiedzy wedle pięknych słów Bacona: „wiedzieć znaczy—móć”. Istota tak wszechmocna będzie rzeczywiście samowładczynią świata. Niczem dla niej przestrzeń, niczem—granice planety. Jedna wola pokieruje światem: wiedzy — ducha.

Bóg więc się stworzy, jeżeli „Bóg” jest symbolem wszechbytu. W tem znaczeniu Bóg jest *in fieri*,—w biegu, w drodze do ziszczenia się. Teologia niedoskonała dalej już nie zmierza. My jednak pójdziemy dalej. Bóg jest nie tylko wszechbytem, ale jednocześnie — absolutem, jest tym porządkiem świata, do którego zbiegają się nauki oderwane: matematyka, metafizyka, logika;—jest czystym źródłem, w którym one nabierają prawdy; jest świętem miejscem ideału, żywą zasadą dobra, piękna, prawdy. Tak widziany, jest Bóg całą pełnią życia, bez zastrzeżeń, jest wieczny, niezmienny—poza stawaniem się i postępem.

To zwycięstwo ducha, prawdziwe Królestwo

Boga, powrót do idealnego pierwowzoru wydają mi się najszczytniejszym celem świata. Ludzkość w naszym rozumieniu jest pierwszym narzędziem tak wielkiego dzieła. W najpierwotniejszym zwierzęciu widzimy już początki świadomości, ślełą dążność do jedności, ale ludzkość, posiadając zdolność kapitalizowania swoich zdobyczy, przywilej każdego nowego pokolenia — przywilej przedłużania i doskonalenia wysiłków, wyższych i dalszych dostąpiła przeznaczeń. Dziełem ludzkości utrwalić królestwo ducha. Znamiona tej misyi występują w potężnych czynach, obliczonych na całe stulecia.

Nadejdzie dzień nasz, dzień święta, dzień ludzi idei. O... zapewne! Będziemy już wtedy za siódmą górą i rzeką wieczności, blade — dawno zapomniane cienie, prochy rozpylone i porwane w wiry nieskończonych przemian. Ale *wskrześniemy* w świecie, do którego przyłożyliśmy się myślą. Zwycięży dzieło nasze. Rządność znajdzie podłoże bytu, wiara co się przeciwstawiała rzeczywistości — usprawiedliwienie, religia — świadectwo prawdy. Staną się oczywiście cnota, cel i znaczenie dróg instynktu, którymi bez żadnego wyrachowania, bez nadziei na nagrodę szedł człowiek sprawiedliwy ku samozaparcu i ofierze.

I wiara w Boga znajdzie usprawiedliwienie. Uboga twórczość nasza, wysiłki, czynione dla sprowadzenia na ziemię królestwa prawdy i do-

bra, jako cegiełka niewidzialna, lecz istniejąca,—  
wejść do budowy chramu wieczności. Więc nie-  
ostatnią zasługą nasza, skoro przyczyniliśmy się  
do boskiego dzieła. Wieszczę to słowa, które  
mi niedawno nadesłał jeden z bezimiennie ży-  
czliwych: „Bóg żyje w bezmiarach świata i w ka-  
żdej rzeczy, stały i wszędy obecny. Ale nie obja-  
wia się wszędy jednak. Piękniej postrzegamy  
Go w roślinie, niżli w skale; — żywiej w zwie-  
rzęciu niż w roślinie, w człowieku—niż w zwie-  
rzęciu, w rozumnym — niż w ograniczonym, —  
w geniuszu—niż w tylko zmyślnym. Jaśniejsza  
Jego emanacja w Sokratesie, niż w tylko—ta-  
lencie, w Buddzie—niż Sokratesie, w Chrystusie—  
nadewszystko...

Jest to zasadnicza teza naszej teologii. Je-  
żeli tak myślał Hegel, bądźmy hegelianistami.

Wiem, że wyobrażenia filozofii naskroś do-  
świadczalnej, co do świadomości, znacznie się  
różnią od naszych linii. Świadomość pojmujemy,  
jako wypadkową życia, a wypadkowa za-  
nika wraz z organizmem, w którym płynie.  
Skutek odchodzi wraz z przyczyną, czyli, że  
świadomość dzieliłaby losy rozkładającego się  
mózgu. Czy tak?

Nie, duszę, osobowość pojmować należy, jako  
zjawiska od świadomości odmienne. Świado-  
mość pozostaje w bezpośrednim związku z prze-  
strzenią. Nie żeby miała swój ośrodek w jakimś  
punkcie stałym, ale dlatego, że działa w grani-

cach określonych. Przeciwnie, dusza — osobowość, nie mają lokalnego ośrodka i człowiek działa często silniej na odległość stu mil, niż — w parafii własnej. Dusza jest tam, gdzie ona działa lub gdzie — kocha. Bóg, będąc ideałem, przedmiotem każdej miłości, jest istotnem siedliskiem duszy. Miejsce, które zajmuje człowiek w Bogu, zdanie, które wytworzyła sobie o nim sprawiedliwość absolutna, szczybel jego w tym jedynie prawdziwym świecie, który jest światem na podobieństwo Boga, jednym słowem udział jego w świadomości absolutnej — oto jego byt prawdziwy. Ten byt moralny każdego z nas jest tak dalece naszym wewnętrznem *Ja*, że ludzie wielcy składają mu ofiarę z ciała, skracając długość swego żywota i przedłużając swoją śmierć dla życia prawdziwego, które jest w ludzkości ich przeznaczeniem i losem.

Z tego punktu widzenia — któż dziś prawdziwie żyje od Jezusa? Czy Jezus nie istnieje tysiąckrotnie, czy nie jest dziś przedmiotem o niebo głębszego umiłowania, aniżeli w czasach, kiedy przebiegał Galileę? Mówimy nie o reputacyi, nie o sławie — często marnej i próżnej, często — krzycząco niezasłużonej. Wielu ludzi w ludzkości pierwszych są i pozostaną zapomniani. „Żyją dla Boga:“ ζῶσι τῷ θεῷ, jak mówi autor rozprawy „*De rationis imperio*“ świetnie napisanej przez kompatriotę Jezusa Pana. Do najświętszych zaliczam świętych nie-

znanych. Sam Bóg dzierży tajemnicę ich wysokich zasług, ich szlachetnego szlachectwa. Ludzie, przez tłum zapoznani, wyżłabiają na rzeczywistości piętno głębsze, niż kochankowie głośnej opinii. W Bogu jest człowiek nieśmiertelny. W absolicie, jak w topieli, giną kategorie czasu i przestrzeni, przeto równie dobrze istnieje dla absolutu to, co było, jak to co będzie. Wszystkie dusze, które kiedykolwiek istniały, żyją w Bogu. Dlaczegożby więc Królestwo ducha — cel świata — nie miało przyjść, jako wskrzeszenie wszystkich świadomości? Duch — wszechmogący, idea, co stała się ciałem — czy te symbole nie mówią nam, że idea ich znajdzie być wskrzeszony?

Sposób, w jaki się to stanie, pochwycić się nie da, gdyż — jak powtarzam — za miliard wieków stosunek przyszłego świata do dzisiejszego będzie, być może, taki — jak myśli i czucia do mechanicznego atomu.

Ale to przecież wolno nam twierdzić, że zmartwychwstanie ostateczne dokona się przez wiedzę — czy to człowieka, czy też innej istoty rozumnej. Naukowe przekształcanie świata jest dziełem zaledwie poczętem, przekazaniem opiece rozumu. Po tysiąckroć razy jeszcze usiłowania te będą traktowane, jako zamach na rzeczywistość i tyleż razy duch wsteczny wykrzykiwać będzie zwycięzko, że czyni się zniewagę Bogu, dotykając dzieła Jego. Ale wzrost swia-

domości jest koniecznością przeznaczenia, losem przyjętym z Rąk Boskich.

Przypuśćmy zresztą, że losem planety jest mierność, rutyna i, pod pozorem zachowania w nietykalności wszechdogmatu, — trzebieenie ducha nauk i unicestwienie ludzkości dla jakichś celów wyższych.

Niepowetowana ta strata równałaby się dla universum stracie jednego ziarna, które trafiło na kamień na wielkich płaszczyznach Beocyi, albo — stracie nasienia, które w mistyczną noc zaślubin nie miało szczęścia zapłodnić oblubienicy.

Żegnam... Pójdziemy dalej!...

---

WIEDZA IDEALNA  
I WIEDZA POZYTYWNA.

WIEDZA IDEALNA  
I WIEDZA POZYTYWNA

## WIEDZA IDEALNA I WIEDZA POZYTYWNA.

### ODPOWIEDŹ M. BERTHELOTA.

Wykład systemu Pana, a raczej — historyi świata—tak, jak ją Pan pojmuję,—nie wątpię, że musiał w wielu czytelnikach wywołać zdumienie. Jedni, mając już z góry ustalone rozwiązania początku i końca wszechrzeczy, nie pojmują, jak można jeszcze poruszać podobne zagadnienia. Inni—przeciwnie—nie pojmują znowu, jak można w sposób tak poważny nawiązywać rzeczy dowolne do jakiegoś punktu wyjścia i mówić o rezultatach, mających tak dalekie pozory prawdopodobieństwa.

Ci odrzucają jaknajdalej tego rodzaju spekulacye, szacując je, jako dziedzinie naukowej obce. I—rzeczywiście: prawowitość, a zwłaszcza kategoryczność podobnych koncepcyi mogą być zawsze zacepione, ponieważ spóltworzą w nich jednocześnie i niezgodnie dane pozytywne, należące do porządku rzeczy zasadniczych i obiektywnych, oraz — rzuty poetyckie — dziedzina rzeczy odrębnie indywidualistycznych.

Z danych pozytywnych czerpią zazwyczaj systemy podobne swoją siłę, raczej — prawdopodobieństwo, ale drugim skrzydłem narażają się na zarzut chimeryczności. Przyznają jednak, że po rozerwaniu spółzycia dwóch tych pierwiastków uniemożliwiamy sobie wszelką konstrukcję i wszelką koncepcję całokształtu natury. Poza ten rozum ludzki posiada jedną właściwość organiczną: kategoriyczny nakaz szukania ostatniego słowa w rzeczach.

Ta właśnie konieczność usprawiedliwia daleko idące usiłowania, ale pod warunkiem wyznaczenia im charakteru i roli, t. j. jasnego wykazania zarówno materiału pozytywnego, jak też danych hypotetycznych, wprowadzonych do konstrukcyi, jako wiązania, umożliwiające zamierzoną całość. Jednem słowem—należy silnie zaznaczyć, że operuje się tu metodą zgoła inną, niż stara metafizyka i że osiągnięte rozwiązania, nie kuszą się bynajmniej o najwyższą godność pewników poznania, ani o te prawdy, z których się *a priori* zapomocą syllogizmów wybiera całą zawartość,— i godzą się na byt względny, nietrwały.

I jeszcze krócej: w usiłowaniach tych, należących do kategorii, którąbym nazwał *wiedzą idealną*, niezależnie od tego, czy potracają one o świat fizyczny czy moralny—prawdopodobieństwo zastrzeżone być musi warunkiem posługiwania się temi samemi metodami, które wiedzy pozytywnej dają siłę i pewność.

I.

Wiedza pozytywna nie poszukuje ani przyczyn pierwotnych, ani kresu rzeczy, ale dba o ustalenie faktów i powiązanie ich stosunkiem bezpośrednim. Ten oto łańcuch stosunków, dzięki wysiłkom ludzkim, coraz rozleglejszy, tworzy wiedzę pozytywną. Łatwo wykazać na kilku przykładach, w jaki sposób, zdążając od faktów najprostszych, od przedmiotów codziennego postrzegania, przez szereg wszelakich „dlaczego“, nieustannie rozwiązywanych i odradzających się w twórczym zdumieniu, dochodzi wiedza do pojęć ogólnych, które niezliczonej liczbie zjawisk dają wytlómaczalną jedność i spójność.

Pocznijmy od pojęć, zapożyczonych z dziedziny fizyki.

Dlaczego to płonie pochodnia, lampa? Pytanie nader proste, narzucające się ciekawości ludzkiej po wszystkie czasy.

Dziś możemy odpowiedzieć: — dlatego, że pochodnia, płonąc, wydziela mieszane gazy, wytwarzane przez stałe cząstki węgla i doprowadzone do wysokiej temperatury.

Odpowiedź taka nie jest dowolna lub oparta wyłącznie na rozumowaniu. Pochodzi z bezpośrednio badanego zjawiska. Rzeczywiście, gazy dają słup płomienny, wydobywający się z kolumny lampy, chemia może je zebrać i zanalizować w przyrządach. Wnet się osadzi węgiel,

gdy wprowadzimy do płomienia ciało ostudzone. Również wysokość temperatury jest oczywista i może być zapomocą instrumentów fizycznych obliczona. Tak wytlómaczyliśmy światło pochodni—to znaczy sprowadziliśmy to zjawisko do przyczyn najbliższych.

Lecz w tej samej chwili powstają inne pytania. Dlaczego pochodnia wydziela gazy? Dlaczego te gazy trzymają węgiel w zawieszeniu? Skąd wysoka temperatura? By odpowiedzieć na te pytania, musimy poddać te fakty badaniom już znacznie pogłębnym.

Pochodnia zawiera węgiel i wodór — dwa pierwiastki palne. Można otrzymać węgiel, mocno rozgrzewając materię pochodni; wodór — składnik wody otrzymujemy przy spalaniu pochodni. Dwa te palne pierwiastki pochodni płonącej łączą się z jednym pierwiastkiem powietrza—tlenem,—fakt ustalony przez analizę wydzielających się gazów.

To połączenie pierwiastków pochodni — węgla i wodoru z tlenem wytwarza, jak o tem mówią doświadczenia, dokonywane na pierwiastkach odosobnionych,—znaczłą ilość ciepła.

Dotąd wytlómaczyliśmy zjawisko podniesienia temperatury, a przez to odpowiadamy na pytanie: dlaczego pochodnia płonąca wydziela gazy. Dzieje się to więc tak, że pierwiastki jej, łącząc się z tlenem, wytwarzają: jeden (węgiel)—kwas węglowy, oczywiście w postaci gazu; dru-

gi (wodór) — wodę, która w temperaturze tak wysokiej zamienia się w parę — czyli w gaz. Wreszcie węgiel sproszkowany i zawieszony w płomieniu, któremu nadaje siłę blasku, wytwarza się dlatego, że wodór od węgla palniejszy, spala się pierwszy kosztem tlenu, podczas gdy węgiel odosobniony, w stanie stałym, sięga do zewnętrznej powierzchni płomienia, który, zależnie od mniejszej lub większej całkowalności węgla, nabiera właściwości świetlnych lub sadzowatych.

W ten sposób i dla drugiego szeregu naszych „dlaczego“ znaleźliśmy wytłomaczenie, rozwiązanie — czyli podnieśliśmy je przez postrzeganie faktów do wyobrażeń ogólniejszego znaczenia.

Sprowadzają się one ostatecznie do formuły: połączenie tlenu ze składnikami płonącej pochodni—t. j. węglem i wodorem daje zjawisko ciepła. Wyobrażenia te są ogólniejsze od faktu, który był dla nas punktem wyjścia. Odpowiadają one nie tylko na pytanie — „dlaczego pochodnia się świeci“, ale również na pytanie — dlaczego światło towarzyszy zjawiskom spalania się drzewa, węgla ziemnego, oleju, spirytusu, gazu świetlnego i t. p. Postrzeganie tych faktów składa się na dowód, że pochodzą one z tej samej przyczyny najbliższej. Wszystkie niemal zjawiska światła i ciepła, które wytwarzamy w życiu codziennem, tłómaczą się w ten

sam sposób. Widzimy więc, jak wiedza pozytywna osiąga prawdy zasadnicze przez badanie zjawisk poszczególnych.

W każdym razie, nie obstając z góry przy tej metodzie, lecz stosując ją — dochodzimy do prawd coraz wyższych.

Dlaczego jednak węgiel i woda, łącząc się z tlenem, wytwarzają ciepło?

Doświadczenia chemików dały odpowiedź na to pytanie, stwierdzając, że zjawisko to podlega prawu ogólnemu, którego mocą tworzeniu się każdego układu chemicznego odpowiada zjawisko ciepła, Płonąca, t. j. łącząca się z tlenem siarka zapałki; fosfor, który łączy się z tym samym tlenem, dając silne światło; skry z pod podków końskich; cynk, który wytwarza niebieskawe, oślepiające światło w ogniach sztucznych,—gromadzą powszechnie znane dowody na rzecz tego prawa. Obejmuje ono tysiące zjawisk, unaocznionych „własnymi naszymi oczyma“. Ciepło naszych ognisk i pieców, ciepło, poruszające maszynę parową, ciepło, które zasila życie i aktywność zwierząt—wytwarza się dzięki układom pierwiastków.

Dotarliśmy do zasadniczych wyobrażeń chemii, do jednej z przyczyn, tworzących najliczniejsze i najważniejsze zjawiska świata.

Nie jesteśmy jednak u kresu naszych wiecznych *dłaczego*.

Z każdego rozwiązanego problemu umysł ludzki wyciąga problemat nowy i głębszy.

Dlaczego układy chemiczne dają ciepło? Oto nowe pytanie. Doświadczenia najnowsze odsyłają nas do faktów, które sprowadzają ciepło do zjawisk mechanicznych. Ciepło, zdaje się, nie jest niczem innym, jak ruchem najdalejszych cząstek ciała; i rzeczywiście, ruch ten może dowolnie i w sposób równoważny, w pracach zwykłych, wytwarzanych przez działanie ciężaru i czynników zgoła mechanicznych, ulegać przekształceniu. W ten sposób poczyną się np. praca w maszynie parowej.

Ale w aktach chemicznego układu cząsteczki ciała zmieniają swoją odległość i względne położenie, — stąd też wynika praca, która się nam udziela przez wydzielanie ciepła. Mocą tego samego działania — tylko jeszcze jawniejszego — rozgrzewa się od uderzenia młota żelazo, czyli że zbliżenie cząsteczek żelaza i rodzaj ruchu, w jaki zostały wprowadzone, dają miejsce równoważnemu przekształceniu zjawiska mechanicznego w ciepłotwórcze.

Tak więc wszelkie wydzielanie ciepła, wytwarzanego bądź przez czynniki chemiczne, bądź też wręcz innej natury, stanowi jeden z przejawów mechaniki. Fizyka i chemia sprowadzają się odtąd do mechaniki, ale nie naskutek mętnych i chwiejnych objawień, ani naskutek z góry powziętych rozumowań, ale naskutek nie-

wątpliwego poznania, zawsze opieranego na postrzeganiu i doświadczeniu, które dążą do ustalenia jedności tego poznania przez badanie zjawisk przemiany siły w siłę.

Dla osiągnięcia rezultatów tak doniosłych i powiązania takiej mnogości zjawisk ogniwami tego samego prawa, stosując się do samej natury rzeczy, umysł ludzki chwycił się metody prostej i niezmiennej. Stwierdził fakty przez postrzeganie i doświadczenie, porównał je i wyprowadził z nich związki — czyli fakty z kolei ogólniejsze,—i tu ich jedyna wiarogodność.

Tak postępująca generalizacya zjawisk, wynikająca z faktów już zbadanych, sprawdzana wciąż przez nowe pokolenia, prowadzi nasze poznanie od zjawisk powszednich i poszczególnych do praw natury najdalej oderwanych i rozległych.

Ale w konstrukcyi tej piramidy naukowej wszystkie wiązadła od podstawy do wierzchołka spoczywają na postrzeganiu i doświadczeniu. Jest to więc jedna z zasad wiedzy pozytywnej, że żadna rzeczywistość nie może być ustalona przez wyłączność rozumowania.

Tak jest. Nie da się świat odgadnąć. Ilekroć rozumujemy o bytach, wszystkie premisy muszą wynikać z doświadczenia, nie zaś z naszych własnych koncepcyi; co więcej—konkluzye, wypadające z tych premis, mogą być tylko prawdopodobne, nigdy—pewne. Pewność nadają

im tylko postrzeżenia bezpośrednie, zgodne z rzeczywistością.

Oto fundamenty gruntowne, na których nowe nauki powstały,—skąd się począł ich rozwój prawdziwy, przewodnia nić wszystkich odkryć, tak szybko od początku XVII w. nagromadzonych—i to we wszystkich dziedzinach ludzkiego poznania.

Dość późno przyszła na świat ta metoda. Zwycięzka jej młodość—jeżeli nie narodziny—są dziełem czasów nowszych.

Przed nią umysł ludzki postępował inaczej. Od czasu, kiedy po raz pierwszy uświęcił samego siebie, — zamiast postrzegać, — usiłował świat *odgadnąć* i skonstruować.

Przez medytacye, nieprzerwane skupienie, trudy wewnętrzne, usiłowali uczeni indyjscy w przeciągu stuleci dojść do wielkich koncepcyi i opanować niemi naturę. Tą samą wagę przywiązywali do spekulacyi Grecy, jak o tem świadczy historia filozofii greckiej, zwłaszcza—neoplatoników. Szybki postęp nauk matematycznych umacniał ich w tej złudzie.

Przy pomocy kilku aksyomatów, wyprowadzonych bądź z natury ludzkiego wnętrza, bądź — z postrzegania, i postępując w sposób jednostajny, drogą racjonalistyczną poczęła geometrya od czasów Grecyi wznosić tę wspaniałą budowę, która bez zmian znaczniejszych—istnieć będzie po wieki wieków.

Logika króluje tu absolutnie, ale jest to królestwo — abstrakcyi. Dedukcyje matematyczne na pewności nie tracą tylko we własnej dziedzinie, poza logiką nie mając bytu realnego. Jeżeli je zastosować do dziedzin realnych, gdzie stanowią bądź co bądź instrument potężny, wnet ulegną warunkom ogólnym, — co znaczy, że niema bez postrzegania premisy, ni—konstrukcyi. Ale prawdziwy charakter tych zastosowań nie znalazł na początku uznania i powszechnie, aż do czasów nowszych, sądzono, że można skonstruować system świata, na podobieństwo geometryi,—drogą dedukcyi.

Na początku XVI wieku, w pracach Galileusza i akademików florenckich, metoda ulega zmianie. Założyli oni kamień węgielny gmachu, który odtąd się wznosi z ciągłością nieprzerwaną. Wiek XVIII był świadkiem zwycięstwa nowej metody, która od nauk fizycznych,—swej ojczyzny pierwotnej, — przeniosła się do nauk politycznych, ekonomicznych i nawet moralnych. Kierować społeczeństwem podług zasad nauki i rozumu było ostatecznym celem XVIII w. Świadczy o tem początkowa organizacya instytutu. Lecz zastosowanie nauki do zjawisk natury moralnej zasługuje na szczególną uwagę, bowiem tak daleko idąca uniwersalność metody pozytywnej jest dla historii ludzkości punktem rostrzygająco zwrotnym.

Mówiłem dotąd przeważnie o naukach fizycz-

nych, uzależniając poznanie świata od postrzeżenia zjawisk. Sądzę, że prawda ta płonie zarówno dla świata istot żyjących, jak też —bytów nieorganicznych, dla świata zjawisk moralnych i zjawisk fizycznych.

Otóż, czy to w dziedzinie moralnej, czy materialnej—na początku należy ustalać i sprawdzać doświadczalne fakty, a potem je dopiero nawlekać na różaniec, nie tracąc na chwilę oparcia w doświadczeniu. Wszelkie rozumowanie, które dążyłoby do ich dedukcyi z aksjomatów oderwanych i złudnych lub które przeciwstawiłoby tą drogą zdobyte *prawdy*, jedno—drugim, jedno odsuwając—drugie podnosząc logicznem prawem sprzeczności,—nie dawałoby nam nic prócz wątpliwie pięknej chimery. Tylko obserwacya zjawisk świata moralnego w rewelacyi bądź psychologicznej—bądź historycznej, czy ekonomicznej, tylko badanie ich związków generalizowanych stopniowo i sprawdzanych nieustannie, służyć naukowemu poznaniu natury ludzkiej. Metoda, która rozwiązuje codziennie problemy świata stosunków materialnych i gospodarczych jest też jedyną, która potrafi rozwiązać wcześniej czy później podstawowe zagadnienia ustrojów społecznych. I tylko w oparciu prawd moralnych na szerokiej podstawie rozumu praktycznego, którą im w końcu XVIII w. nadał Kant, leży ich żywotność i równowaga konstrukcyi.

Poczucie dobra i zła jest faktem dla natury ludzkiej pierwotnym. Narzuca się nam poza wszelkiem rozumowaniem, wszelką wiarą dogmatyczną, wszelką ideą kary i nagrody. Stąd też pojęcie obowiązku, czyli zasada życia praktycznego nabiera znaczenia, jako fakt elementarny i, poza wszelką dyskusją, — oczywisty. Odtąd nie może on zależeć od upadku hipotez metafizycznych, do których tak długo był przywiązany.

To samo powiedzieć należy o wolności, bez której obowiązek byłby czerem słowem, bez sensu i treści. Ów wieczny spór o wolność czy fatalizm nie ma dziś już żadnej racji bytu. Człowiek odczuwa wolność swoją jako oczywistość — faktem tym nie zachwieje żadne rozumowanie. Oto niektóre kapitalne zdobycze nowej wiedzy.

Tak więc wiedza pozytywna zdobyła sobie powoli w świecie powagę, opartą nie na rozumowaniu oderwanem, lecz na koniecznej zgodności jej rezultatów z samą naturą rzeczy. Dziecko lubuje się w marzeniu, lubują się w marzeniu ludy, poczynające swój byt w okresach dzieciństwa. Marzenie jest robotą bezpłodną, samooszukańczą. Każdy człowiek, posiadający dostateczne wyrobienie, nabyte przez rozumne wychowanie, wchłania na początku wyniki wiedzy pozytywnej, jako jedyną miarę rzeczywistości. Wyniki te są dziś tak już obfite, że, w dziedzinie umiejętności pozytywnych, czło-

wiek najprzeciętniejszy, o miernem wykształceniu, posiada wiedzę nieskończenie rozleglejszą i głębszą, niż najwięksi ludzie starożytności i średniowiecza.

Dawne poglądy, zbyt często pochodzące z nieuctwa i fantazyi, powoli zanikają, ustępując przeświadczeniom, ugruntowanym na poznaniu natury,—wszystko jedno—moralnej czy fizycznej. Pierwotne opinie miały wszystkie cechy wiecznie chwiejnych dowolności, dzisiejsze — pozostaną dlatego, że rzeczywistość występuje w nich coraz jaśniej i dokładniej, w miarę stosowania jej do społeczeństw ludzkich, poczynając od interesów materialnych i gospodarczych, kończąc na moralnych i jaknajdalej intelektualnych. Potęga, jaką dają człowiekowi nad światem i nad samym sobą, jest ich najlepszą gwarancją. Ktokolwiek skosztował z tego drzewa poznania, nie mógłby go już poniechać. Wszystkie umysły refleksyjne są już dla wiedzy pozytywnej pozyskane bezpowrotnie, zacierają się coraz skuteczniej ślady starych uprzedzeń, wiedza przenika do najszczytniejszych regionów i tworzy sobie rząd wiernych, wyobrażających przekonania trwałe i nieodparte.

## II.

Dotąd mówiłem, czem jest wiedza pozytywna, jej przedmiot, metoda i pewniki. Prze-

chodzę teraz do wiedzy idealnej. Poczynam od przedmiotu.

Wiedza pozytywna obejmuje tylko część przedmiotów poznania,—część, uprawianą dotąd przez ludzkość. Gromadzi ona fakty postrzeżone i ciągnie łańcuch ich stosunków i związków, ale łańcuch ten nie ma początków ni kresów ustalonych, ani dających się przewidzieć. Poszukiwanie początków i kresów rzeczy zostało wiedzy pozytywnej odebrane. Nigdy ona nie nawiązuje stosunków pomiędzy Skończonem a Nieskończonem. Czy taką niemoc należy uważać za nieodłączną od ludzkiego umysłu? Czy wraz ze szkołą, która liczy we Francyi i gdzieindziej sławnych zwolenników, należy lekceważyć, jako wysiłki daremne, wszelkie dociekania, wybiegające poza bezpośrednie ustosunkowanie zjawisk? I czy trzeba między jałowe scholastyczne dyskusye włożyć wszystkie inne zagadnienia, dlatego tylko, że ich rozwiązania nie dają nam upragnionej, jak tam, przejrzystości i pewników?

Odpowiedzi wypada szukać w historii umysłowości ludzkiej: jest to przytem jedyny sposób dochowania wiary samej metodzie. Niestety, wiedza pozytywna, badająca związki bezpośrednio postrzegalne, nie może dać należytej odpowiedzi na potrzeby i dążenia ludzkości. Po jednej i drugiej stronie łańcucha zjawisk,—rozum ludzki znajduje tylko nieprzerwane ogni-

wa, zaś tam, gdzie on czegoś nie wie, prowadzi go niezwyciężona siła, która nakazuje mu tworzenie i koncepcję, dopóki nie wzniesie się do pierwszych źródeł, — pra-przyczyny. Poza mgławicą, rozpostartą nad kresem i początkiem zjawisk, czuje on jednak, że istnieje rzeczywistość, która mu się narzuca, choć niepoznawalna, pod kątem widzenia idealistycznym, w niezmiernie dalekiej perspektywie; i że tam się mieszczą, tam — kryją pierwsze zagadnienia losów jego.

Tę rzeczywistość ukrytą, te przyczyny twórcze—w sposób nieuchronny wiąże umysł ludzki z szeregiem faktów naukowych i, sprowadzając wszystko do jedności, tworzy całokształt rzeczy materialnych i moralnych.

Ta praca umysłowa wyobraża jednak moment postrzegania, ujawniony w wysiłkach każdej epoki, każdego narodu, każdego osobnika, — nie wolno jej więc zapoznawać. Jest to fakt równie dobry, jak wszelki inny: oczywista jego konieczność zwolniła nas od poszukiwania jego racyi bytu. To, co się odbywa w dziedzinach moralnej i intelektualnej, posiada odpowiednik w dziedzinie polityki. Istnienie rządów idealnych i absolutnie doskonałych słusznie uważano zawsze za chimerę i w historii ludów nie było jednej chwili, nierządzonej przez systemy mniej lub więcej niedoskonałe. Tak samo w sferze ducha. Ścisłe poznanie całokształtu rzeczy było

zawsze dla umysłu ludzkiego niedoścignione, a jednak każda jednostka, prawem konieczności wewnętrznej musiała albo sobie stworzyć albo przyjąć system całkowity, obejmujący losy jej i świata.

Jaka ma być tego systemu konstrukcja? To jest zagadnienie metody w wiedzy idealnej. Musimy odtworzyć sposoby naukowego myślenia w takich konstrukcjach ujawnione, a potem będziemy mogli wskazać, jaka metoda wynika z dzisiejszego stanu umysłowego człowieka i rozwoju, który zawdzięczamy wiedzy pozytywnej.

Przypatrzmy się pierwszym filozofom. Tales uważa wodę jako pierwszy czynnik świata <sup>1)</sup>, Anaksymenes i Diogenes ustalają, że powietrze, czynnik starszy, jest zasadą ciał prostych.

Hippas z Metapontu i Heraklit z Efezu sądzą, że pierwiastkiem naczelnym jest ogień. Empedokles uznaje cztery żywioły, czyli prócz tamtych trzech jeszcze—ziemię. Anaksagoras z Klazomeny utrzymuje, że liczba pierwiastków jest nieskończona. Wszystkie niemal rzeczy, powstałe z cząstek podobnych, — powstając i ginąc, ulegają tylko prawom łączenia się i dzie-

---

<sup>1)</sup> Metafizyka Arystotelesa tom I str. 14 i i. tłóm. Pierron i Zéwort.

lenia, — innemi słowy—ani się rodzą, ani giną, trwając wiecznie <sup>1)</sup>).

Większość tych systematów opiera się nie tylko na rozważaniu materji, lecz jednocześnie na pojęciach moralnych i intelektualnych. Parmenides odwołuje się do „Miłości—jako pierwszego z bogów“, Empédokles wprowadza do filozofii „Miłość i Niezgodę“, czynniki rozbieżne, o działaniach sprzecznych, t. j. dobro i zło, ład i bezład, istniejące w samej naturze. Anaksagoras ucieka się do „Rozumu“ jako zasady, której powierza tłumaczenie świata przez zjawiska „atmosfery, eterów i wielu innych rzeczy, w mniemaniu Platona—bałamutnych“ <sup>2)</sup>).

Widzimy tedy świat tworzony przez rozważanie zgoła logiczne. „W czasach tych filozofów i przed nimi <sup>3)</sup> ci, których nazywają pytagorejczykami przykładali się na początku do matematyki. Tą wiedzą karmieni, sądzili, że jej zasady są zasadami wszelkiego bytu, liczby samą naturą rzeczy poprzedzają idee i pytagorejczycy wierzyli, że widzą w liczbach, bardziej niż w ogniu, ziemi i wodzie—szereg analogii z tem, co jest i co powstaje. Jeden układ cyfr wydawał się im sprawiedliwością, inny—duszą i rozumem.“

---

<sup>1)</sup> Jest to prawie doktryna ciał prostych chemii nowożytnej.

<sup>2)</sup> Fedon XCVII.

<sup>3)</sup> Arystotel. Metafizyka. (tłóm. Pierron i Zéwort) str. 23.

Albowiem „sądzi, że liczby to pierwiastki wszystkich bytów“.

Nie chcę jednak odbudowywać całej historii metafizyki. Wystarczy kilka przytoczonych przykładów. Prawdziwy charakter metody ujawnia się tu bezpośrednio w pierwszych naiwnych próbach. Powtarza się z dokładnością prawa fakt, że każdy myśliciel, uderzony jakimś zjawiskiem moralnem czy fizycznym, wnet je generalizuje, wyprowadzając z tego wątku drogą rozumowania budowy świata. Odtąd aż po czasy nowe, bez względu na wysokość sztuki i głębokość systematów,—metafizyka w niczem nie zmieniła sposobów swego rozważania. Na początku zakłada zawsze fundament z jednego lub kilku aksyomatów, powziętych bądź z intuicyi, bądź z percepcyi zewnętrznych, następnie poczyną operować racjonalistycznie i zgodnie z nakazami logiki, wreszcie przez szeregowanie swoich dedukcyi dochodzi do światopoglądu, bowiem—jak mówi Arystotelsa „myśliciel, który posiadał wszechstronnie naukę o rzeczach zasadniczych, posiadał też naukę o każdej rzeczy. Principia i przyczyny—to szczyty wiedzy. Stąd poznajemy inne rzeczy, ale przez rzeczy różne nie poznajemy ogólnych<sup>1)</sup>.“

Metoda ta osiąga tryumf w rozroście wiel-

---

<sup>1)</sup> Metafizyka. Księga I w cytow. tłum. W oryginale jeszcze energiczniej: *Διὰ γὰρ ταῦτα καὶ ἐκ τούτων τὰλλα γινώσκειται, ἀλλ'οὐ ταῦτα διὰ τῶν ὑποκειμένων.*

kiej maszyny scholastycznej średniowiecza, gdzie syllogizm, wychodząc z pewnych aksjomatów narzuconych dogmatycznie i w sposób arbitralny,—panuje już niepodzielnie. Kartezjusz, odrzucając starą budowę filozofii, pozostaje jednak wierny metodzie dedukcyjnej.

„Postrzegłem—mówi—niektóre prawa tak założone przez Boga w naturze i, jako odbicie, w duszy człowieka, że prześwietlając je refleksją, nie możemy dłużej wątpić, że dadzą się tak samo postrzegać we wszystkim, co w świecie istnieje lub się tworzy“.

I dalej: „A oto drogi moje. Na początku usiłowałem zasadniczo pochwycić principia lub pierwsze przyczyny tego, co istnieje i istnieć może, rozważając nie inaczej, jak w tej postaci, że stworzył je Bóg i nie wyprowadzając ich skądinąd, jak z pewnych zarodków prawdy, duszy naszej przyrodzonych. Następnie badałem, jakie to są pierwsze i najprostsze zjawiska, któreby należało wyprowadzić z tych przyczyn i, zdaje mi się, że do tych należą niebo, gwiazdy, ziemia, a na ziemi—woda, powietrze, ogień, minerały i wiele jeszcze innych rzeczy, które są najprostsze i najogólniejsze z wszystkich i wskutek tego najłatwiej poznawalne. Lecz potem, gdy chciałem zejść do skutków poszczególnych, narzuciła mi się ich taka różnorodna mnogość, iż nie wierzyłem, aby rozum ludzki mógł wyodrębnić formy i rodzaje ciał, które są na

ziemi, z nieskończoności innych, które mogą tu istnieć, jeżeli Wolą Boga było je tam założyć a przez to oddać człowiekowi na użytek i jeżeli to nie znaczy, abyśmy dochodzili do przyczyny przez działanie i posługiwali się doświadczeniem szczegółowym“...

Sądziłem, że należało ten ustęp przytoczyć przez wzgląd na jasność, z jaką Kęrtesyusz określa swoją metodę.

Wielki ten matematyk, w którym często widzą jednego z założycieli dzisiejszej metody naukowej, wręcz przeciwnie—rozumowaniu i dedukcyi udziela pierwsze miejsce zarówno na początku, jak i w dalszych ogniwach swej konstrukcyi. Doświadczenie wchodzi tu tylko, jako akcesoryum i dla rozwikłania poważnych trudności rozumowania.

Do ostatniego z metafizyków — Hegla, nie było myśliciela, któryby nie podejmował na swój sposób próby rekonstrukcyi świata *a priori* i nie utożsamiał zasad bytu z zasadami logiki. Ideałem filozofii był niemal zawsze „systemat zasad i wyników, jako takich i przez właściwą im harmonię prawdziwych“ <sup>1)</sup>.

Powiedzmy więc raz bezwzględnie: ideał taki równa się chimerze. Dowodem—doświadczenia wieków. W dziedzinie moralnej i fizycznej od-

---

<sup>1)</sup> Tennemann. *Podręcznik historii filozofii*, tóm. M. Cousin'a t. I. str. 45 (1829).

niosły porażkę wszystkie konstrukcje systemów absolutnych, jako przekraczające dalekosiężność natury ludzkiej. Powiem więcej — dążenia takie powinny być odłąd rozpoznawane, jako rzeczy poznaniu prawdy najsilniej przeciwstawne, co dotyczy tak samo świata fizycznego, jak i moralnego <sup>2)</sup>).

Powtarzam: żadna rzeczywistość nie może być poznana przez rozumowanie. Matematyka, która metodą swoją uwodziła starożytnych, jak uwiodła zresztą i Kartezjusza, nie ma tu nic do powiedzenia; wszyscy wybitniejsi matematycy zbiegają się dziś w tym punkcie, że nie posiada ona żadnej innej wartości realnej, prócz założonej w niej z góry pod postacią aksjomatu lub hipotezy. Rzeczywistość ta przechodzi przez grę symbolów, będąc zawsze równą sobie.

I przeciwnie—po to, by przejść od jednego realnego faktu do drugiego trzeba zawsze powracać do doświadczenia.

Metafizyka nie jest jednak zwykłą grą rozumu. Zawiera ona w sobie pewny porządek rzeczy realnych, które jednak, poza przedmiotem, nie istnieją w sposób dający się dowieść. Właściwe znaczenie tej wiedzy zostało jasno wyłożone przez Kanta w jego *Krytyce czystego rozumu*.

---

<sup>2)</sup> *Listy do P. Villemain'a* przez M. E. Chevreul'a—*O metodzie, jako takiej*, str. 36 (1856).

Zajmuje się ona badaniem logicznych warunków poznania, kategorii ludzkiego rozumu, wzorów, form, podług których winien on pojmować rzeczy. Zapewne, z tego punktu widzenia i metafizyka może być pojmowana, jako nauka pozytywna, wznosząca się na szerokich podstawach postrzegania. Śpieszę wszakże dodać, że traktowane niezależnie od wszelkiej innej rzeczywistości—są to formy próżne, również zresztą—jak matematyczne, które za źródło mają te same pojęcia, lubo obracają się w ściślejszem łożysku.

Prawdę tę potwierdza nie tylko bezpośrednia krytyka rozumu. Do tych samych rezultatów dochodzimy przez badanie systemów w historii filozofii. Każdy system metafizyczny, jakiegokolwiek posiadał dążenia, w locie swoim był ograniczony przez logikę, ale w dziedzinie realnej wszystko polegało zawsze na tem, by w sposób mniej lub więcej doskonały dać w zarysie stan nauki swego czasu. To była konieczność, której nie potrafiła ująć żadna naukowo odpowiedzialna jednostka.

Wejrzyjmy w niektóre z tylko co przytoczonych koncepcyi. Systemy szkoły jońskiej odpowiadają pierwszym, pobieżnym rzutom oka na naturę. Pojęcie praw fizycznych poczyna się dopiero od Anaksagorasa, jak to świadczą jego rozwiązania świata, które tak gorszą Platona. Szkoła Pytagorasa wnosi do metafizyki najlepsze swe odkrycia, których dokonała w geo-

metryi, astronomii, akustyce. Sam Platon, gdy nam tłumaczy *a priori* przez usta Tymeusza linię Boga w ordynku świata, wyklada swoją astronomię, fizykę i fizyologię, które dokładnie odpowiadają brakom ówczesnej niedokładnej wiedzy. W dziedzinie społecznej — jego *Republika* daje nam idealną konstrukcję, do której większości materiałów dostarczyła mu ówczesność. Zmysł piękna, który pismom tego myśliciela nadaje tyle wdzięku i blasku, stoi na wysokości sztuki jego czasu. W obliczu jej świetnego rozkwitu wznosi się teoria Piękna, teoria — *a priori* i pozornie absolutna, w rzeczywistości zaś stworzona przy pomocy wzorów zewnętrznych, które filozof grecki miał wciąż przed oczyma...

Nie wyłamuje się z pod tych praw i Kartezyusz, reformator filozofii. Kończąc swoją *Rozprawę o Metodzie* oświadcza wyraźnie, że wyłożył prawa natury, racje swoje „budując tylko na nieskończonej doskonałości Boga“, z której chciałby wyprowadzić właściwości światła, system gwiazd, układy powietrza i wody, a na powierzchni ziemi — tworzenie się gór, rzek, metali, roślin, — aż do samego ustroju człowieka.

Ale czy to rozumowanie, za podłoże mając atrybucyę boskie, doprowadza go do nowego odkrycia? Przenigdy. Wyniki te nie odstępują na jotę od wiedzy pozytywnej, zdobytej przez

doświadczenie w połowie XVII wieku. Kartezjusz zniszczył swoją książkę, z powodu potępienia Galileusza, którego światopogląd podzielał. Gdyby żył pięćdziesiąt lat wcześniej, nie odczuwalibyśmy tej straty. Kartezjusz, któryby pozostał wiernym wierzeniom astronomów XVI wieku — byłby ortodoksem, wykazującym *a priori*, że słońce obraca się dokoła ziemi.

Wreszcie Hegel, — żeby skończyć na człowieku nowego świata—nie uszedł konieczności i przeznaczeń metafizyki. Świat, który chciał stworzyć jedynie za pomocą logiki transcendentnej, kropka w kropkę przylega do poznania *a posteriori*. Daje on niby aprioristycznie filozofię historii swego czasu, wyolbrzymiając jej zdarzenibwą treść przez pryzmat złudzenia, właściwy wszystkich społecznym. Gdyby trzeba było jeszcze dalej przeniknąć do jego systemu, mógłbym wykazać, że nawet myśl tak głęboka, jak ta, która opiera wszystko na ciągłości przebiegu zjawiska do bytu i bytu do zjawisk, wynika z nauk doświadczalnych. Wystarczy rzut oka na rozwój pojęć naukowych o ogniu i świetle. Na początku widziano w zjawisku ognia żywioł, byt w sposobie swego bycia tak absolutny i całkowity, jak każdy inny. Dziś jest on tylko zjawiskiem, odrębnym ruchem materialnych cząstek. Co więcej—po ustaleniu różnicy między płomieniem a płonącymi cząstkami usiłowano przez pewien czas dla podpory przydać

zjawisku płomienia specjalny fluid — ciepłik, którego połączenie z pierwiastkami tworzyć miało — całość ciał tak, jak je znamy. Był to pogląd Lavoisier'a. Lecz dziś był ciepłika kędyś się zapodział i rozwiął w zjawiskowość ruchu.

Zasada absolutnej przeciwstawności bytu do zjawiska, na której spoczywała stara logika, stała się do rzeczywistości nieprzystosowaną. Dla nauki dzisiejszej, tak jak dla figuralnej mowy naszych przodków, Aryów i Hellenów, byt i zjawisko zbiegają się w ciągłości ich przemian.

Ta niemoc czystej logiki zależy jeszcze od przyczyny ogólniejszej. Dla rozumowania musimy na miejsce rzeczywistości podstawić abstrakcje prostsze, któremi się posługując, odbieramy tem samem konkluzjom ich ścisłość absolutną.

Stąd zwodniczość wszystkich dedukcyjnych systemów filozoficznych. Mimo wysokość swoich uroszczeń, zawsze wysadzały tylko wrota... otwarte lub odzyskiwały nakładem wielkich trudów i przy pomocy założenia *a priori* — to, co leżało na powierzchni: poznanie do epoki przywiązane.

Jednak, jeżeli należy porzucić ich metodę, czy pozostaną nam po nich problemy? Czy należy się wyzbyć wszelkiego zdania o początkach i kresach — to znaczy o losach jednostki, ludzkości, świata?

Rzecz dziwna! Wiedza ta, pierwsza, która rozbudzała ciekawość ludzką, dziś szukać musi swego usprawiedliwienia. Sądząc z uporu, z jakim umysł ludzki wciąż podejmuje zagadnienia kosmiczne—należałoby wierzyć, że są one ogólnoludzkiego pochodzenia, tkwią w czuciach zasadniczych i duszy ludzkiej przyrodzonych, — wzruszenia, które należy bacznie odróżniać od konstrukcyi fałszywych, tylokrotnie gromadzonych dla samousprawiedliwienia.

Jako wzruszeniom, nic nie można porywom metafizycznym zarzucić.

Więc czy należy te problemy wypędzać z rąk czystej nauki dlatego, że nie mogą być z dostateczną pewnością rozwiązane, i rzucić je w ramiona mistycyzmu?

Jakąż metodę kierowniczą przydamy wiedzy idealnej?

Wynika ona ściśle z danych historii filozofii. Należy tylko wystawić ją na działanie świadomości bezwzględnej. Jednem słowem, tu — jak zresztą w wielu innych zagadnieniach, przyjmujemy warunki, nakazane przez świadomość poznania, i nie kusząc się o pewność, w dociekaniach tego rodzaju złudną, musimy poddać wiedzę idealną metodzie gruntownej, będącej podstawą wiedzy pozytywnej. Niemasz innego sposobu. Nie możemy stosować do niej praw wyjątkowych, natomiast stosować będziemy sprawdziany stałe, — ogromy nagromadzonych fak-

tów, z całą ich nierówną skalą pewników względnych, raczej — prawdopodobieństw.

Każda nauka ofiaruje na rzecz wielkiego dzieła wyniki najogólniejsze. Matematyka obnaża mechanizm logiki ludzkiego rozumu; fizyka wykrywa istnienie, koordynację i trwanie praw natury; astronomia daje ucieleśnienie oderwanym koncepcjom mechaniki, wynikający stąd uniwersalny porządek świata, wreszcie peryodyczność, która jest naczelnem prawem zjawisk niebieskich. Badaniom tym zawdzięczamy wyzwolenie świata z przemocy „woli wyjątkowej“ t. j. wszelkich czynników nadprzyrodzonych. Do tej nad-woli sprowadzało się na początku wszelkie zjawisko. Ciągłość doświadczenia zaprzeczyła jednak temu domniemaniu. Ilekroć dopełniły się warunki, konieczne dla powstania zjawiska, ukazanie się jego było tylko sprawą czasu, nigdy — pośrednictwa siły zewnętrznej.

Wraz z chemią poraz pierwszy rodzi się pojęcie bytu, jako odrębnego ciała. Większość starych formuł metafizyki przychodzi tu poniekąd do słowa, pod postacią konkretnego. Ale jednocześnie powstają pojęcia nowe—o ciągłych przekształceniach materii, prawach jej układu i rozkładu, odrębnych właściwościach, przywiązanym do samego bytu materii.

Tu, rzeczywiście, potęga twórcza człowieka występuje zbrojnie czy to w odtwarzaniu bytów

wyraźnie rozwojowy charakter tej ewolucyi zaprzeczyć, ni obniżyć. Przebiegając zwłaszcza okresy wielkie, zatrzymywać się musimy na myśli, że w miarę historyczności ludzkiego bytu, coraz dalej na tyły odchodzą zwycięzkie niegdyś czynniki: ciemnota i złość.

Spółeczeństwa nabierają ukształcenia, powie-  
działbym nawet—cnoty. Dobro w ostatecznym bilansie — wzrasta, Złe — truchleje w stosunku prostym do rozrostu prawdy i odpływu ciemnoty.

To pojęcie rozwoju „wydziela się“, jako rezultat, wynikający z badań historycznych — *a posteriori*.

Wreszcie u szczytów piramidy naukowej zakładają sobie gniazdo tryby moralne — zmysł piękna, prawdy i dobra, —których to przysmaków całokształt zowie się ideałem. Otrzymujemy te warunki, jako owoce badania natury ludzkiej. Po tamtej stronie kategorii moralnych nieświadomie wyczuwała jeszcze ludzkość rzeczywistość innego porządku, w której się Ideał mieści—*Boga*, ognisko, mistyczną, niedościgłą jedność, do której zdążają i w której się przełamują światy. Tu nicią Ariadny mogą być tylko wzruszenia, o aspiracyach pod tym jednak warunkiem prawowitych, aby nie opuszczały swojej dzielnicy i nie przenosiły się na ciężkich skrzydłach dogmatu do wolnej krainy faktów pozytywnych.

Umiejętności fizyczne i moralne — t. j. wiedza o bytach istotnych, przez postrzeganie i świadectwo doświadczalnych—oto jedyne źródła ludzkiego poznania. Czerpiąc z nich pojęcia ogólne, możemy przystąpić do konstrukcyi wiedzy idealnej. Z tem zastrzeżeniem, pozwala się jej stawiać i podejmować wszelkie zagadnienia, co więcej — jest ona jedynie powołana do ich rozwiązywania, ponieważ metoda, którą tylko co wyłożyłem — jest też jedyna, która prowadzi do prawdy.

Pozostaje do omówienia pewność, jaką dać mogą wyniki zastosowania tej metody do wiedzy idealnej. Wiarogodność prawd, zdobytych przez wiedzę idealną, będzie zawsze mniejszą od siły prawd pozytywnych. Wolno błąd ten zasadniczy zgonić na zasadniczą niedoskonałość natury ludzkiej. Zwartość wiedzy pozytywnej; zalety ciągłości, stałość wątku, fakty ucementowane przez stosunki pewne i widoczne—cnoty dla wiedzy idealnej niedościgłe. Pojęcia ogólne leżą w granicach każdej umiejętności niepodległe i odosobnione, a cóż dopiero — w umiejętnościach sąsiednich lub dalekich! Dla połączenia ich i utworzenia z nich jednego tła i rysunku trzeba wysiłków tytanicznych. W braku tytanów—brnąć musimy na oślep, w ruchomych piaskach wyobraźni, wypełniamy luki, przedłużamy linie...

Jest to jakby gmach, zatopiony w mgławi-

cach, postrzegalny tylko w niejasnych konturach, zawsze połowicznie, niekiedy—potwornie.

A jednak konieczność tworzenia nadbudowy świata, konieczność konstrukcyi i systemu narzuca się nam z góry i każda jednostka głębsza, na miarę swego rozumu i uczucia, stworzyć musi system obejmujący całokształt wszechrzeczy. Co innego — charakter, wiarogodność systemów. Żadnych złud! W miarę oddalania się od faktycznego gruntu na odległość dowolnych konsekwencyi, tracić musi na pewności czy na prawdopodobieństwie ta podróż, wstępująca we własne ślady, pielgrzymstwo chcenia po stepach niemocy. Dlatego gdy wiedza pozytywna, raz ukształtowana, niezmienną postać swoją zachowuje już na zawsze, losem wiedzy idealnej była i jest zmienność nieprzerwana i nieobliczona. Jest to niemal prawo ludzkiego poznania. O cóż zabiegamy? Czy nie o ustalenie tego prawa i zastosowanie się do niego, skoro już wiemy z góry, że każdy system świata zawiera tylko fragmenty prawdy i tylko w pewnym względnym stosunku—nie do samej siły rozumowania, lecz do samej sumy wprowadzonych faktów.

Nie idzie więc już odtąd o wybór systemu, czy punktu widzenia, któryby nas porywał swoją przejrzyistością, czy wreszcie—zawartych tam nadziei. Żadne racje nie mogą nam nakazać chaosu lub konieczności złudzenia. To siła rze-

czy nieubłagana, niezależna od naszych pragnień i woli.

Z pośród znakomitych uczonych, którzy się poświęcili metafizyce, wielu zdaje się nie pojmować tego nowego sposobu stawiania problemów. Rostrząsają oni fakty, których żaden syllogizm nie uszczupli, ani obali, natomiast to, co wyrwali swemu rozumowaniu, utrwalają, jako rzeczywistość. Bez lojalnego wmyślenia się w stanowisko uczonych, pozwalają sobie swobodnie argumentować przeciw materjalizmowi, spirytualizmowi, panteizmowi i t. p. Jakąż wartość posiada ta cała pajęczyna definicyi, dedukcyi, konsekwencyi? Istnieją dalej filozofowie, którzy sami tworzą chimery, ażeby mieć zasługę ich rozpraszania. Nie widzą, czy widzieć nie chcą, że postęp umysłu ludzkiego dawno już odbił od biegunów czystego rozważania i że tak bezpłodnie walcząc, kruszą własne złudy na samotniczej arenie logiki oderwanej od świata, rozumu i — — zdrowego rozsądku. Wszystkie te praktyki przeciwstawiają się wyraźnie filozofii doświadczalnej, która ogłasza wszelką definicyę rzeczy realnych za niemożliwą, odrzucając *a limine* wszelką dedukcyę absolutną i powziętą z góry.

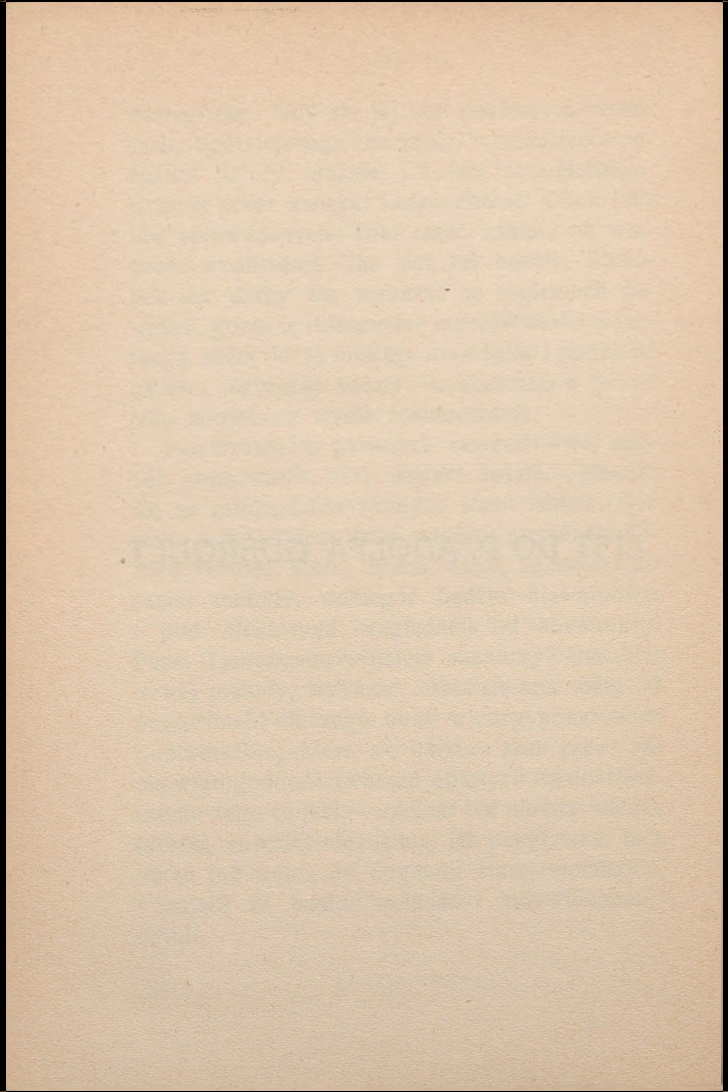
Reasumuje. Wiedza idealna podejmuje problemy dawnej metafizyki z punktu widzenia bytów realnych zapomocą metody zapożyczonej u wiedzy pozytywnej, lecz osiąga wyniki mniej

wiarogodne. Gdy się jej uda pochwycić pewne cechy ogólniejszego znaczenia, wynikające z poznania natury ludzkiej i świata zewnętrznego, łączy je przez związki indywidualne. Obok faktów sprawdzonych—lwią część zabiera na własność wyobraźnia. Tak jest, tak będzie. Stosunek ten dałby się wykazać na systemach danych, gdzie tę mieszaninę rzeczywistości z fantazją, którą odtąd musimy rozróżniać i podzielić na dwa rozbieżne światy—wystawiano *a priori* jako konieczny wynik rozumowania.

Pan wyłożył w głównych zarysach swój sposób pojmowania, swój system świata, opierając się na całokształcie znanych Panu faktów. Być może sam, jednego dnia, napiszę swoje *De natura rerum*, które, mimo naszą zgodę co do samej metody, odbiegać będzie niewątpliwie i pod niektórymi względami od konstrukcji Pana. Tymczasem wolałem zaznaczyć charakter nowej metody, wykazać, czem się ona różni od porzuconej i dlaczego obok wiedzy pozytywnej i uniwersalnej, która się narzuca nam przez samą wiarogodność tworzeń opartych na doświadczeniu tego co jest,—wzniesć też można wiedzę idealną, również niezbędną, jak pozytywna, lecz odtąd już wolną od dogmatu starej metafizyki, i mającą za hasło: wolność i indywidualność opinii.

---

LIST DO P. ADOLFA GUÉROULT.



## LIST DO P. ADOLFA GUÉROULT.

---

W *Opinion Nationale* z d. 23 sierpnia 1862 r. p. A. Guérault wystosował do mnie list, w którym prosi mię o interpretację jednego zdania z mojej broszury p. t. „Katedra języka hebrajskiego w *Collège de France*“:

„...Umiejętności historyczne metodą swoją nie różnią się w niczem od umiejętności fizycznych i matematycznych; przyjmują one mianowicie za zasadę, że żaden czynnik nadprzyrodzony nie zamąca pochodzenia ludzkości, że pochodzenie ten—jest bezpośrednią wypadkową dwóch sił: — wolności człowieka i fatalizmu natury, i że niemasz takiej istoty nadludzkiej i wolnej, której należałoby przypisać twórczość czy udział w biegu rzeczy moralnych i materialnych, ujawnione w sposób dający się pochwycić i wykazać naukowo“.

Odpowiedziałem co następuje.

*Chalifert obok Lagny, 27 sierpnia 1862 r.*

Drogi Panie!

Nie mógłbym zostawić bez odpowiedzi spraw tak drażliwych, jak ta, którą Pan w swoim piśmie poruszył.

Rzecz prosta, że obce mi są wszelkie intencje rostrzygania, jednym cięciem pióra, zagadnień, których rozwiązania szuka człowiek lat oto—już 4.000. Ale winienem Panu kilka słów wyjaśnienia, zwłaszcza że zdanie, które Pan raczył przytoczyć, jako częśćka, wyjęta z całości, — mogłoby dać powód do nieporozumienia.

Nader to słusznie zauważył Pan, że nie jest człowiek istotą absolutnie wolną. Tak jest. Władą nim żywioł przeznaczeń, pochodzący stąd, że sam będąc organiczną częśćką natury, podlegać musi jej prawom. Rządzą jego ciałem prawa ciał ważkich; procesy chemiczne, odbywające się w jego narządach, nie znają folgi ni litości, zresztą — nie zna absolutnej wolności i sama natura.

Jeżeli nie umie człowiek wprowadzać się dowolnych w koło wszechrzeczy i wypadkowej życia nadawać kierunków własnych, to dla istoty wszechwiedzącej wszystko w ruchu świata dałoby się zawsze obliczyć. Nie dziejopisała jednak Wieczność czasów dzisiejszych, np. stanu atmosfery, który uległ przemianom dzięki pracy człowieka. Ani dziejopisała Wieczność o wycinaniu takich to lasów i osuszaniu takich to błót. Lecz w świecie, wolnym od istot żywych, wszystko odbywałoby się podług praw absolutnie niezłomnych, a nawet mogłoby być, przez ludzi do tego powołanych, zapowiedziane — z góry. Czyli inaczej—wszystko miałoby wtedy

charakter matematyczny, wykluczający możliwość niespodzianek.

Dopuszcza Pan do słowa tę myśl, że wiedza nie potrafi ustalić bytu istoty nadludzkiej i wolnej, kierownika i zwrotniczego natury. Ale jednocześnie zapytuje Pan, czy mogłaby wiedza dowieść niebytu takiej istoty?

Inaczej postawiłbym to zagadnienie. Wcale nie dociekam, czyby nie można było dowieść jej niebytu manierą metafizyczną i *a priori*. Wystarczy ten dowód doświadczalny, że nigdy jeszcze istota nadludzka nie ujawniła się w postaci naukowo stwierdzonej. Gdy się ujawni, wtedy uwierzmy. To nie nasza rzecz wykazywać niemożliwość cudu, ale rzecz cudu dać się poznać przez objawienie realne.

Ciekawym, jakie Pan posiada dowody na rzecz niebytu syreny i centaury? Zdaje się, że istnieje tylko ten jeden, że nikt ich nigdy nie miał przyjemności oglądać. Dla tej samej skromnej racji wygnaliśmy z nowych światów—starą demonologię, bowiem wszystkie fakty, przypisywane niegdyś działaniu szanownych demonów, znalazły wytłómaczenie prostsze i z pominięciem cudów. To, co się nie ujawni przez żaden czyn życia,—dla nauki nie istnieje.

Wiem, że odróżnia się często ingerencyą woli wyższej w celach określonych od prawdziwego cudu. Analiza te różnice wygładza. Pośrednictwo woli nadludzkiej sprowadza się do

domniemania, że w danej chwili sprawy świata mogą przez działanie siły nadprzyrodzonej pójść w kierunku odmiennym od pozostawionego sobie. A więc znowu — cud! Gdzież różnica? Doraźne pogwałcenie zwykłego porządku, które w pojęciu prostaków zowie się cudem, podbija wolę nadprzyrodzoną“ o jeden tylko stopień trudności. Ale „łatwość i „trudność“ nie mają zastosowania do istoty wszechmogącej. Nie jest już *cudem* dla Boga wskrzeszać zmarłe, odwracać łożysko rzeki, zmieniać kierunek wiatrów w dzień jakiejś batalii, zatrzymać w biegu chorobę śmiertelną, wesprzeć państwo, chylące się ku upadkom i zdeptać wolność ludzkich zamierzeń i postanowień...

Wolne żarty! Cud wielki — cud nikły — cud światła — cud mroku — cud jawny i nieśmiały, wstydlivy, osłaniający się tajemnicą! Tak popolicie pojmowana Opatrzność byłaby synonimem—kuglarstwa... Miałżeby Bóg tworzyć stany wyjątkowe, stany wzmocnionej opieki i oblężenia?

Co do mnie, sędzę, że prawdziwa Opatrzność przestrzega Konstytucyi Świata, nie odbiega od stałego porządku i jest równie boska, rozważna, sprawiedliwa i dobra, jak prawa natury.

Lecz być może, wyda się Panu taka doktryna symbolem ateizmu. Tu jaknajżywiej protestuję Bóg kapryśny, czarownik erupcyjny, ten, który dziś pozwala obłokom płynąć biegiem własnym,

a jutro rozprasza je naskutek prośby i podania, który pozwala płucom i jelitom rozkładać się, jako chcą i mogą, i wstrzymuje ich rozkład, gdy mu się czyni *vota*, zmieniający swoje zdanie ze względów natury postronnej,—Bóg taki, przyznaję to, jest dla mnie wartością nienaukową! W takiego nie wierzymy i chociażby stąd wynikały następstwa najsmutniejsze, czynimy tu publicznie akt bezwzględnie szczerzej niewiary.

Odrzucając te pospolite wyobrażenia o boskości, pokonać usiłujemy nie prawdziwą religię, jeno—przesady... prawdziwe. Przed nami jeszcze w „Rozmyślaniach chrześcijańskich“ sądził Malebranche, że „Bóg nie działa na zasadzie woli wyjątkowej“. Zuchwalszy od nas, głęboki orator ustalił tę tezę *a priori* drogą rozważania doskonałości boskiej!

My—inni—ustalamy tę samą tezę dla braku faktów mogących ją podważyć i zaopatrujemy ją w komentarz taki:

Nie stwierdzono w naturze ani historii jednego czynu, któryby ukazał się wyraźnie na skutek woli wyjątkowej i nadludzkiej. Jeżeli to doświadczenie będzie obalone chociażby przez jeden fakt notoryczny—nie omieszkamy teorii naszej do tego faktu zastosować.

Co dotyczy prawdziwego Boga świadomości ludzkiej—jest On nietykalny. Racye bytu posiada w niezwykniętej wierze, nie zaś w mniej

lub więcej trafnych rozumowaniach. Niemoralność natury jest oczywistością moralną. Widziało słońce, nie błędąc, najkrwawsze krzywdy ludzkie, uśmiecha się to słońce do najpotworniejszych zbrodni. Ale w świadomości człowieka podnosi się święty głos, głos jakby z drugiego świata, świata ideału, świata prawdy, dobra, sprawiedliwości. Gdyby istniała tylko— natura, wolno byłoby się zapytać, czy Bóg jest konieczny? Lecz pierwszy człowiek sprawiedliwy już Boga uświęcił. Tylko w świecie idealnym wszystkie wierzenia religii przyrodzonej znaleźć mogą uświęcenie. Zresztą należy zawsze pamiętać, że istnieje tylko ideał, a przelotna rzeczywistość bytem się tylko wydaje. Tylko dusza sprawiedliwa i odpowiedzialna, która widzi przez kryształ świata ideę czystą, wolną od czasu i przestrzeni, widzi jasno.

Kto poświęci życie dobru, prawdzie, pięknu,— dostąpi łaski zwiastowania. Bóg żywy objawia się nam bez objawienia. Nie trzeba mi cudów, iżbym wierzył, dość mi się wsłuchać w ciche imperatywy serca mego.

Tak samo ludzie, którzy mieli prawdziwie płodne wyczucia Boga, nigdy nie stawiali tych spraw na podścieliskach chwiejnych. Nie byli ani deistami, na sposób szkoły francuskiej, ani panteistami, nie gubili się w tych sprawach życia i ducha, którym dawali swój geniusz. Potężnie odczuwali Boga, żyli w Nim, nie okre-

ślali Jego pełnomocnictw. Jezus w tej plejadzie boskiej zajaśniał, jako duch najpłomienniejszego blasku. Zwał się Synem Bożym, upoważnił człowieka przywoływać Boga, jako ojca swego, złamać przesady starych kultów przez piękną teorię modlitwy<sup>1)</sup> i adoracyi ducha<sup>2)</sup>, dał przykład z życia, poświęconego całopalnie dziełom Swego Ojca, ziścił najgłębszą świadomość Boga, jaka kiedykolwiek po wsze czasy istniała.

Dlatego ludzie rzeczywiście i głęboko religijni po wieki będą Jego uczniami, nawet gdyby się odwrócili na wszystkich punktach od doktryn, które imieniem jego—rozwinęły Kościoły późniejsze.

Pyta Pan: czy istnieje jeszcze coś poza naturą i człowiekiem?

Odpowiedziałbym: Wszystko. Natura jest cieniem, człowiek — zjawiskiem. Istnieje wieczne tło, nieskończoność, tworzywo, absolut, ideał,— istnieje, podług pięknej ekspresyi muzulmańskiej — *Ten, który trwa* i, podług jeszcze piękniejszej—żydowskiej,— *Ten, który jest*. Istnieje *Ojciec*, łono, z którego wszystko powstaje i na które wszystko powraca. Oddalmy z życia boskiego wszystkie pojęcia względne, twory naszego życia, wymysły znikome. Czy istota boska jest absolutna, wolna, świadoma? Czy czę-

---

1) Mat., VI.

2) Jan, IV.

stka świadomości, która się z nią łączy, zachowuje własną świadomość? *Tak i nie*—kategorie te nie mogą być miarą w sprawach tak ścigłych, tak dalekich. Tworzą one niepoprawną złudę, dążność do przeniesienia na istotę nieskończoną warunków i rzeczy skończonych.

Niepojmujemy Boga inaczej jak pod postacią skończoną. By wyobrazić sobie Boga żywego, musiał go człowiek stworzyć na podobieństwo swoje, t. j. stworzyć również skończone *Ja*. Łatwo wykazać błędność takiej koncepcji: istota nieskończona, wyobrażalna jako skończona, duch czysty o właściwościach niemal organicznych! Należałoby jeszcze dla efektu pchnąć antropomorfizm do jego ostatnich granic i dać Bogu ciało. Nie łudźmy się. Wszystkie właściwości, które deizm pospolity przypisywał Bogu, nie istniały jeszcze bez organicznego siedliska—mózgu. Bez systemu nerwowego nie istniały: pamięć, przezorność, percepcye świata zewnętrznego, świadomość. Słownictwo ludzkie w stosunku do Boga, jak nędzny grajak, każdej chwili popełnia przeraźliwe fałsze. Pocóż chcieć koniecznie wyrażać nieskończoność przez zdania i słowa, które są właśnie granicami granic poznania. Poco rozumkować o tem, co uznajemy za niewysłowione?

Z bezmiernej bujności formuł, w nieskończonych odcieniach i odmianach, w liniach prostoty i najzawilszego wyrafinowania — wszędy

świadcstwo, że ludzkość uwielbiać będzie wiecznie tę *substancję jedyną, a wieloimienną* <sup>1)</sup>, — Ojca wszystkich, którzy tu tęsknią do dobra i prawdy. Każdy tworzy swoją teologię, wedle potrzeb ducha i wszelki gwałt zadany ideom, zadaje też kłam wolności ducha. Ale nie zadajemy nikomu gwałtu, swobodnie mówiąc o naszych wiarach. Nikogo nie więzi, nikomu się nie narzuca doktryna nasza. Wolny wybór. Może ona odpowiadać i nie odpowiadać słuchaczom i czytelnikom, może być dla nich przedwczesną i — przeciwnie — spóźnioną.

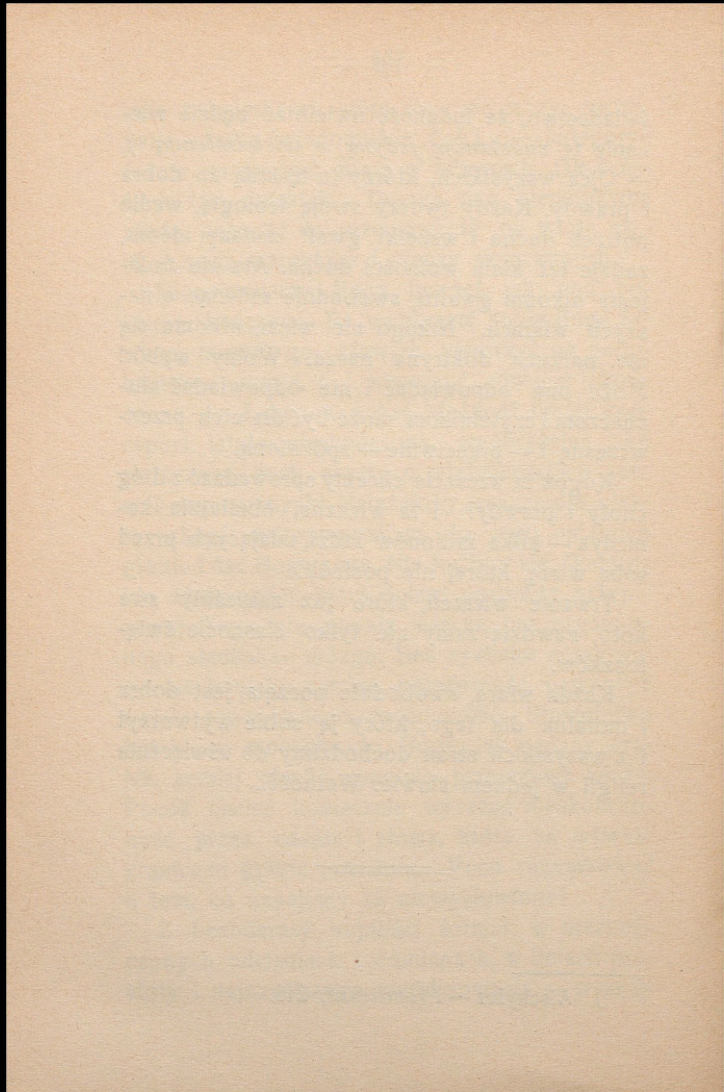
Kogoż tu wreszcie chcemy sprowadzać z dróg cnoty i prawdy? I ta wieczna, obmierzła komedia — kilka milionów ludzi, udających przed sobą wiarę, której nie posiadli.

Trwanie wierzeń, które już zakreśliły swe koło, zawdzięczamy nie tylko ciasnocie świętoszków.

Każda wiara, swobodnie poczęta, jest dobra i moralna dla tego, który ją sobie wytworzył i z wszystkich stron dochodzimy do uświęcenia religii w jednym słowie: Wolność...

---

<sup>1)</sup> Aischylos — *Prometeusz*, 248.



METAFIZYKA I JEJ PRZYSZŁOŚĆ.

METAFIZYKA I JEJ PRZYBYŁOŚĆ

## METAFIZYKA i JEJ PRZYSZŁOŚĆ.

STYCZEŃ 1862.

Faktem zdumiewającym, klasycznym dla ostatniego trzydziestolecia myśli — jest brak wielkich spekulacji filozoficznych.

Od średnich wieków nie miało chyba to zjawisko równego sobie w samej wymowie milczenia. Kartezjusza w pierwszej połowie XVII w. poprzedzały niezwykle bujne prądy umysłowe, których wyrazem była raczej zbyt duża zuchwałość, niż zbyt duża powściągliwość. Kartezyanizm, Leibnitz, Locke, szkoła francuska wypełniają koniec XVII w. i cały wiek XVIII, a w tej ciągłości systematów spółzawodniczych nie widzimy jednej chwili upadku. Z wyżyciem się ostatnich konsekwencji kartezyanizmu i sensualizmu, gdy już sceptycyzm Hume'a miał zagarnąć dziedzictwo epoki, — Szkocya z jej zarysowanym purytyzmem, Niemcy z ich głębią i przenikliwością podnoszą wyczerpaną myśl Europy, dając jej nowe życie i nowe punkty wyjścia. Znamy płodną ewolucję myśli niemieckiej. W przeciągu więcej niż pięćdziesięciolecia zdu-

miewała świat wielostronnością nowych kierunków, przedziwnym, ujmującym językiem, świeżą i odrębną siłą, która pod mroźnem niebem północy wyczarowała jakby czasy Sokratesa, Arystotelesa, Platona.

I Francya nie pozostała w tyle. Ze swadą, dotąd w filozofii nieznaną, uprawiał Cousin rodzaj spekulacji eklektycznych, stosowanych, podczas gdy inne szkoły równoległe skromnie prowadziły dzieło swoje. Tak więc od czasów wyjścia z niewoli scholastycznej aż do 1830 r. myśl filozoficzna Europy nie znała zmęczenia i nie zaznała odpoczynku.

Lecz gdy cofniemy się o ćwierć wieku czy trzydziestolecie wstecz, wnet ogarniają nas pułki, wyjątkowa cisza, milczenie.

Umarł Hegel a puściznę jego poćwiartowali i rozwłóczyli uczniowie na cztery wiatry. Przeżywa siebie Schelling, zwiastujący coraz to nową filozofię—nigdy niedotrzymane obietnice, jeżeli pominiemy późniejsze, bezsilne nawroty tego więcej marzyciela, niż uczonego. Cousin wierzył, że już dokonał swego dzieła, skoro niezrównanych swych zdolności na innych doświadczał polach. Szkoła szkocka, bez dalszej troski o wielkie problemy, gubi się w subtelnych analizach słowa. Ostaje się wreszcie jedyna szkoła aktywna, pełna nadziei i przyszłości, szkoła zwana *pozytywną*, ale i ta nie stanowi wyjątku z prawa za zasadę pierwszą ma-

jąc właśnie poniechanie całej metafizyki, na której grobach chciałaby, zdala od spekulacji oderwanych, założyć własne wolne miasto.

Co ważniejsza, trzydziestoletni ten letarg nie rychło się jeszcze skończy. Nie widzę przynajmniej początków kresu. Grobowy kamień tak szczerze przytwierdził filozofię do ziemi, że można byłoby o niej powiedzieć to, co Petrarca o Italii: *Dormirà sempre non fia chi la svegli*. Skądby się zresztą miała ukazać nowa gwiazda, nowy systemat, coby pasjonował duchy i jedną wiernych? Czy z Niemiec? Przyznaję, że Niemcy na reakcyi umysłowej pierwszej połowy XIX w. ucierpiały mniej od krajów innych. Reakcyja ta, która u nas liczyć jeszcze może (pod postacią dowolną) na piętnaście, dwadzieścia lat panowania, skończyła się już w Prusiech z upadkiem niegroźnego stronnictwa Stahla i Hengstenberga.

Wyzwolone z zaćmienia epoki, powracają Niemcy do zwykłego porządku życia, — do refleksyi świątłych i wierzeń ukształconych, lecz czy zdobędą się na konstrukcyje równie silne, jak te, które zapoczątkowały wiek XIX — wątpię, nie wierzę. Młodzi adepci filozofii ścisłej aspirują tam, zda się, do wszystkiego prócz oryginalności i — rzecz dziwna — oczy swe zwracają na filozofię francuską, za cel biorąc materializm — ubiegłego, czy eklektyzm bieżącego stulecia. Niespodzianek filozoficznych nie gotują

tymczasem ni Anglia, ni Szkocya. Krytyką swoją zwarzył Hamilton ciekawe pędy szkół Edynburga i Glasgowa. A choć życie umysłowe Anglii idzie drogą rozwoju, a za jakąś ćwierć wieku Oksford, zreformowany na wzór uniwersytetów niemieckich będzie najtęższem ogniskiem kultury germańskiej,—ruch ten do metafizyki nie podąża. Cóż powiedzieć o Francyi? Że nie rodzi ona nowej filozofii? <sup>1)</sup>. To znaczy powiedzieć jeszcze nie wiele. Inne tam troski zaprzatają ludzi poważnych i przykro byłoby mi wierzyć, że stworzymy własną szkołę. Sokrates miał wyjątkowe szczęście żyć w czasach, kiedy myśliciel obawiał się mógł tylko cykuty...

Wyjałowienie filozofii stało się w czasach dzisiejszych faktem. Nie widzę dla niej perspektywy. Widzę ogromną przyszłość nauk historycznych, wróżę im wydoskonalenie i ostrość poznania. Gdy opanują warunki rozwoju. Widzę

---

<sup>1)</sup> Zapewne, nie godzi się zapoznawać niektórych wysiłków, nacechowanych wybitną zdolnością analityczną. Zacytuję chociażby np. *L'Introduction à l'Esthétique* p. Noëla Seguin'a (Paryż 1859) — dzieło oryginalnego myśliciela, którego umysł dziwnie przypomina Hegla, *Essais de critique générale* p. Karola Rénouvier (Paryż t. I. 1854, t. II 1859) — księga godna refleksyi, dalej piękne studia p. Vera nad filozofią Hegla. Samotność i zapomnienie, któremi zostały nagrodzone te prace, potwierdzają słuszność mojej tezy.

przyszłość nauk przyrodniczych, choć nie widzę ich granic i jeżeli ta piękna wiedza nie da się pociągnąć kierunkom nazbyt praktycznym, względem nazbyt utylitarnym, zdobędziemy jednego dnia nad materią i życiem władzę i poznanie wprost nieobliczalne.

Ale nie widzę przyszłości filozofii, w dawnem znaczeniu tej nauki. Hegel, Hamilton, Cousin—wszyscy trzej na swój sposób, ale dobitnie i jasno wytknęli granice, poza którymi metafizyce nie pozostaje już nic prócz wiecznego odpoczynku. Nie są to prawodawcy, jak Kartezjusz, Tomasz Reid, Kant; zadaniem ich było jednak posunąć ogromną pracę myśli ludzkiej do ostatniego niemal słowa. Nie odebrali nam wszystkiego. Mówi się jeszcze i po nich często z talentem, często z intuicyą, ale się *nie tworzy*, dlatego że jedynie płodne są myśli natchnione, młode, które jeszcze nie znalazły ani rozgałęzienia, ani precyzyi. Dalej poczynają się już tylko zazwyczaj ekspozycje szkołarstwa, formalizm nauczania i tradycyi.

Że zanikanie metafizyki nie jest tylko przejściowem zjawiskiem upadku, znanem w dziejach każdej innej nauki, dowodzi jeszcze ten fakt, że inne umiejętności już gospodarzą na metafizyce, jak na dziedzictwie kaducznem i dzielą między siebie jej szaty.

Badania religii, które prawdziwa filozofia zawsze traktowała z niejaką wzgardą, jako nie-

mające rzutu na odległość, od dziesięciu lat nabrały znowu znaczenia. Z drugiej strony, nauki pozytywne podbiły sobie umysły filozoficzne, które w innych epokach należałyby do metafizyki niepodzielnie. Filozofowie rozpadli się na filologów, chemików, fizyologów. Przeszła istnieć dla wiedzy pozytywnej dusza osobnicza, jako bezpośredni przedmiot badania. Zrozumiano, że punkty wyjścia ma życie w sile i ruchu, a ostatnią wypadkową — w ludzkości. Zamiast się zawierać w ścisłym świecie psychologii, promieniowano dokoła i wszędy, zamiast rozczłonkowywać duszę na jej właściwości, szukano korzeni, którymi ona przenika ziemię, — gałęzi, którymi sięga nieba. Zdobyto pewność i myśl, że nie jest ludzkość zjawiskiem tak pierwotnem i prostem, jak to sądzono dawniej, lecz że, jak planeta Ziemia, jest zcałkowaniem światów szczątkowych. Na miejsce dawnych usiłowań uniwersalnych podstawią się długi szereg trudów drobiazgowych, dociekań cierpliwych, badań nad naturą i historią powolnych i zaciętych. Musiałaby tedy filozofia powrócić do tego, czem była na początku, t. j. stać się znowu nauką uniwersalną, ale zamiast rozwiązywać problemy przez intuicję błyskawicową, musiałaby się teraz zająć analizą pierwiastków, z których się składa universum i skonstruować wiedzę o wszystkim przez zróżnicowane wiedze o cząstkach.

Czemże metafizyka w tym zawrotnym ruchu, mającym tysiące płomiennych i odważnych szerzycieli? Czem metafizyka wśród silnych i rozbieżnych prądów? Czy znalazłaby jeszcze miejsce w nowej klasyfikacji nauk? I czy może istnieć wiedza prawd pierwszorzędnych, którejby hołdowały wszystkie inne?

Być może, nie ma ona innego znaczenia, jak to, które wynika z wszystkich innych nauk — więc jest ich zbiornikiem, następstwem i wypadkową, a dzień jej, dzień Mesyaszowy, będzie dniem wygnania jej z wszystkich nauk poszczególnych?

Tak postawiony problemat narzucać się musi wszystkim myślącym i, pozbawiając go odpowiedzi, nie moglibyśmy sobie wytworzyć pojęcia o przyszłości, która będzie udziałem metafizyki.

Zagadnieniom tym poświęcił p. Vacherot — umysł ściśle filozoficzny — nader cenną pracę. <sup>1)</sup> Śmiałość i przejrzystość wykładu zapewniają tej książce w historii filozofii społecznej miejsce pierwszorzędne. Uświetnia ją jeszcze rytm żywy i potoczny, umiłowanie prawdy i głęboka sumienność uczonego. Zresztą zasługi p. Vacherot'a, które otwierają mu wstęp do wielkiej

---

<sup>1)</sup> *La Métaphysique et la Science ou Principes de Métaphysique positive* — par Étienne Vacherot, 2 t. 1858.

rodziny myślicieli, datują nie od wczora. Żyje on jeszcze w naszej pamięci od czasów, kiedy wydając trzeci tom swojej „*Historji Szkoły Aleksandryjskiej*“ naraził się urzędowemu szkolarstwu. Pamiętamy piękną odwagę, z jaką poniół wszystkie następstwa swego czynu. Prowadził wtedy seminaria w Szkole Normalnej.

W Niemczech pozwalano teologom, profesorom, pastorom wyznawać i głosić równie śmiało doktryny i nigdy, prócz czasów reakcyi, która tam niedawno dokonała żywota, nie usuwano ich dla tej racyi z urzędu. Nikomu chyba, poza Francją, nie przychodziło jeszcze do głowy, że profesor, wykładający filozofię, jest urzędowo filozofującym państwem. Ponieważ zaś państwo—czyli minister oświecenia—posiada filozofię własną, którą dyktuje swoim poddanym i podwładnym, nie będzie dotąd porządku, dopóki kancelarye ministeryalne w zeszytach nie ułożą, nie spiszą i nie prześlą funkcjonaryuszom myśli filozoficznej całkowitego kursu dla odczytania go z katedry wszystkim łaknącym wiedzy prawdziwej. Sądzę, że dzieci nasze szczęśliwości czasów takich jeszcze dostąpią, zanim jednak era ta nadejdzie, dziś już podziwiamy łatwość, z jaką można kierować myśleniem jednostki, wytrzebiać z ducha wolność, płodzić lojalną mierność, bo przecież tylko mierność zgodzić się może bez wahania na warunki łaska-

wie jej zaofiarowane przez filozofów najpoddańszej pokory.

Tem szczytniejsza zasługa p. Vacherota. Zmienił on bezpieczne prawo wykładania banalności pod auspicjami rządu—na prawo myślenia, kupił je sobie za cenę utraty fałszywego stanowiska. Wszedł przez to między ludzi, co wzgardzili rolą oficjalnego dzwonu i nie mają ochoty poświęcać wartości życia dla życia bez wartości — *propter vitam vivendi perdere causas*.

W pierwszym okresie swej działalności naukowej uchodził Vacherot za ucznia filozoficznej szkoły Cousin'a — nie zdaje mi się jednak, aby ta działalność odpowiadała rozległości poglądów Cousin'a,—umysłu naskroś oryginalnego. Wszystko płodne ma w sobie na początku zasady skłócenia i walki. Na tem, być może, polega sława Cousin'a, że spóżyły w nim pierwiastki bujne, różnorodne i przeznaczone do kształtowania się—każdy na inny sposób i miarę, jeżeli będziemy jego sławy szukali nie w założeniu szkoły filozoficznej, lecz w rozbudzeniu umysłów.

Dogmatyk, ale jednocześnie i krytyk, rozwinął dwa różne kierunki: historii ducha i praktycznej organizacji filozofii. Kierunek pierwszy, dalszy i wyższy, wybiegał poza szkoły i jej uczniów. Górne myśli wykładów 1828 i 1829 r. były materiałem nazbyt lotnym dla urobienia szkoły dogmatów. Dla tych celów trzeba było

pierwiastków stałych, katechizmu, któryby jednych trzymał w karchach, a drugich umacniał w doktrynie. Lecz takie znowu granice, dobre dla umysłów biernych, odstręcały śmielszych. Stąd nieuniknione rozdarcia, które odsunęły od mistrza niektórych jego uczniów; ci, unosząc z sobą połowę jego programu, zrealizowali lepszą część.

Gdybym się był dla założenia szkoły narodził, ręczę za stałość jednego dziwactwa. Oto wyróżniałbym tych tylko uczniów, którzyby myślom moim wypowiadali posłuszeństwo. Zdaje mi się też, że Cousin, mimo całą swoją szorstkość pozorną, miał tę słabostkę dla zbuntowanych, których sam rozbudził i nauczył myśleć niezależnie.

Jego to dzieło i zasługa. Więc nawet ci, których pchnął na wręcz rozbieżne drogi, przynoszą mu zaszczyt, pod tym—oczywiście—warunkiem, że nie zapomnieli, co winni nauczycielowi. Wolno być niewiernym, nigdy — niewdzięcznym.

Zresztą żadna szkoła nie potrafiłaby trwać całą wieczność przy jednej książce o duchowości duszy i istnieniu Boga. Są to rzeczy albo tak oczywiste, albo też tak zawile, że nie nadają się do ana'izy. Dogmaty, jako takie, dla spekulacyi nieuchwytnie, widzialne tylko skądinąd, jeżeli nie towarzyszy im sentyment filozoficzny,—do niczego nie prowadzą. Rozu-

miał to doskonale Kant. Szkoła, któraby się zawarła w dogmatach, wytwarzałyby tylko monotonne słowa — wielką, przesadną i zbędną nudę.

Filozofia społeczna, — mówi p. Vacherot — szczególnie szkoła eklektyczna, celowały w krytyce idei błędnych, pospolitych, ciasnych, któremi wiek XVIII usiłował zastąpić wzniosłe, lecz nieco chimeryczne abstrakcje filozofii poprzedniej. Tak działając, przygotowała grunt dla wiedzy nowej, prawdziwej filozofii XIX w. Oto wszystko i nic nad to. Jej dogmatyka sprowadzała się zresztą do odbudowy starej metafizyki na zgliszczach filozofii sensualnej. Platon, Kartezjusz, Malebranche, Bossuet, Fénelon, Leibnitz, Clarke urobili metodę, zasady, idee, wytknęli magistralne linie i drogi. Nic już nowego w metafizyce. Wszędy te same pierwiastki, tylko uproszczone i udoskonalone przez kunszt czasu, symbolikę jaśniejszą i bardziej naukową. Niewczesna ta metafizyka pociągać może tylko umysły elementarne, — tych, którzy nie wiedzą, że krytyka Kanta i jego szkoły zrównała ją z ziemią; ale kto nie przepała prądów filozofii niemieckiej od Kanta do Hegla, tego nowiny wczorajsze w błąd nie wprowadzą. Można eklektykę filozoficzną cenić, jako historję — lecz trudno ją wartościować poważnie, jako naukę. Coś niecoś okroiło się z tego kramu dla krytyki, a przedewszystkiem

ta pewność, że zagadnienie metafizyki nie utraciło jeszcze—zwłaszcza we Francji—uroku nowości. Wszystko, co dziś za metafizykę uchodzi, sięga jednak przynajmniej XVII w., nową jest tylko forma,—co sprawia, że nauka i krytyka przywiązują do niej jedynie wartość historyczną.

Boże broń, bym chciał pomniejszyć usiłowania tak zacne, doniosłości—co prawda—dla historii ducha nienazbyt wielkiej. Dać filozofii postać, pod którą można było ją przemycić do szkół publicznych, ocalając czystość wyobrażeń o odpowiedzialności państwa i nie wystawiając na szwank żadnej z wiar, będących dla państwa pierwszym nakazem i obowiązkiem—to była, zapewne, idea równie pocziwa, jak liberalna. Uczynić Szkołę Normalną miejscem wyszynku filozofii ortodoksalnej—i to była zasługa wcale grzeczna i płodna. Jeżeli owocowanie było skąpe—mój Boże—to tylko dlatego, że zbrakło tu, czego brak we wszystkich krajach rewolucyjnych: ciągłości. Niestety, jak to bywa w sprawach ludzkich, biorąc kierunek nazbyt stanowczy, przesadzono kierunki przyszłości. Posługując się filozofią, jako narzędziem, zadano jej cios z góry. Pozwolę sobie nawet powiedzieć, mając na względzie dobro nauki, że byłoby piękniej, gdyby Szkołę Normalną pozbawiono wykładów filozofii. Nauczanie takie daje młodym umysłom nadmiary pe-

wników i wzwyczajają je do mniemań błędnych, jakoby filozofię i teologię zawrzeć można było w programach i skrótach, zastosowanych do potrzeb egzaminacyjnych. Cóż prostszego—bez studyów szczegółowych wkraczać w generalia! Więcej i mniej, niż należało, uczyniła ta szkoła. Dała pisarzy, publicystów, ludzi serca i talentu. Nie mówiąc już o jej okresie bohaterskim, kiedy, jak wszystkie uczelnie nowe, niezwiązane jeszcze rutyną, wydała plony, których trudno żądać od instytucji już ustalonych, z ich sztuczną pedagogią,—czyż moglibyśmy zapomnieć, że z jej łona i w łonie wzięto swój chrzest i początek tyłu, tyłu zasłużonych?

I czyż moglibyśmy nie przekazać pamięci, że nie wydała ona hel'enistów, orientalistów, epigrafistów, ani jednego geografa i — przed szkołą ateńską — ani jednego archeologa? Pedantka z odrobiną wiedzy, stworzyć chciała czego stworzyć niepodobna: historyków i filozofów, nie pomnąc, że filozofia jest sztuką, której się nie udziela jak święceń, jak umiejętności innych. Dlatego—mimo wszystkie swoje pożytki (i doprawdy, gdy myślę o niektórych jej mistrzach i uczniach, bierze mię ochota skreślić słowa tak zuchwałe)—Szkoła Normalna była dla wielkiej wiedzy z swoją historią z trzeciej ręki i filozofią zaufania,—glebą jałową. Dlatego też dla sypania nowych wałów zabrakło potem pracowników. Byli to ludzie wiedzy po-

zornej, ludzie zamiłowania do łatwych sukcesów, bez odwagi badaczy, wpatrzonych w przyszłość i na doczesność natychmiastowej sławy obojętnych.

Otóż nie ujmując urzędowej filozofii szlachetności jej zamierzeń, sądzę, że wolno sądzić, że była dla rozwoju myśli — tamą.

Zwolennica złotego środka, uczyła poprzestawać na formułkach, nie wnikając w szczegóły, przytępiała żywość i ciekawość umysłów, oziębiała żarliwość poszukiwaczy źródeł. Na miejsce faktów wysuwano pogląd na rzeczy; wytworzyła się niedopuszczalna dla myślicieli arbitralność, dążenie do absolutyzmu wszechnauki, do ujęcia w niepowołane ręce całego świata i jego praw; wyrósł tam i zakorzenił się nałóg obskurantów, nałóg wmawiania w siebie wiedzy, której się nie posiada.

Pogarda filozofa dla wszelkich innych studyów, prócz własnych, byłaby jeszcze zrozumiałą, gdyby filozofia była rzeczywiście nauką nauk i gdyby istniały jakieś inne drogi prawdy, prócz tych, które prowadzą przez studia cierpliwe i skupione. Skoro zaś—przeciwnie—filozof czyni to samo, co uczony przyrodnik i historyk, ale bez gruntownej wiedzy,—to cóż powiedzieć o takich napuszonych pozorach wyższości? Jakże mówić można o świecie i człowieku, nie wyczerpując wszystkiego, co nam

ofiarować mogą naukowe metody badania ustroju świata i właściwości człowieka?

Stąd to czczość, bladeść i nieciekawość ksiąg filozoficznych. Ciężką nudę literackich wrażeń, którą się z tych ksiąg unosi, przypisać należy tej dziwnej, zabójczej umiejętności filozofów — zasypywania ożywczych źródeł piaskiem gotowych formułek. Pisarz zdolny dyskretnie przemilcza o filozofii własnej. Czytelnik wchłania świeżość strumieni, nie zaś — ukryte źródła, dźwięk — nie zaś instrument. Inaczej — filozof, teolog, prawnik i wogóle — scholaści. Ci chcieliby powiedzieć „wszystko“ bez tła i perspektywy. Każda książka filozoficzna, gdyby chciała rzetelnie cały swój program wykonać, musiałaby wyczerpać nieskończoność. Po przeczytaniu takiej pracy, wnet rozkwita pytanie: cóż pocznie teraz autor, dotarłszy do ostatniego słowa?

Prawdziwej wiedzy niesposób od jednego rzutu wyzwolić. Zawsze jest rzeczą względną, niecałkowitą, dającą się jeszcze udoskonalić. Nauka nauk, jako równoważnik wszystkich innych, byłaby dla ducha mogiłą, głębokości równej — objawieniu. Jak objawienie, dałaby dogmat absolutny, pustoszący wszystkie kwitnące drogi rozumu. I stanęłaby myśl bez ruchu, zawieszona na wieczność. Nawet wielkie niebios scholastów, pełne nudy i beznadziei byłyby niczem w porównaniu z martwością gnuśnych

kontemplatorów prawdy, prawdy bez cienia i od-cienia, prawdy nie przez nich zdobytej, więc nieumiłowanej, ale zazdrośnie strzeżonej od kochanków, kusicieli, ludzi własnego stylu, charakteru, piętna.

Nie włem, czy książka Vacherota rozproszy uprzedzenia umysłów naukowych i wybrednych do metafizyki. Uczyniłbym tu na początku jedną uwagę zasadniczą. Dwa wielkie tomy poświęcone argumentacyi na rzecz istnienia metafizyki! Zła wróżba. Nauki przyrodnicze i historyczne obrały inną drogę. Pierwsi geolodzy nie pisali apologii własnej nauki. Tworzyli geologię. Również twórcy filologii porównawczej nie płodzili traktatów, uświęcających prawo bytu tej nauki, lecz dali nam—filologię porównawczą. Gdyby metafizyka była nauką w tej mierze, jaką zdaje się do niej przykładać p. Vacherot,—zaprawdę, od ośmnastu miesięcy, t. j. od czasu ukazania się tej książki w druku, stworzenie jej, przyjęcie i organizacya byłyby się już dopełniły. W dwa lata po pierwszym manifeście Boppa filologia porównawcza we wszystkich szkołach naukowych zyskała prawo obywatelstwa, tak samo w dwa lata po pierwszych publikacyach Cuvier'a anatomia porównawcza liczyła już wielu adeptów. A więc zachodzą tu jakieś różnice i to różnice, bogate w następstwa.

Metafizyka przypomina one księgi bud-

dyjskie, ogromne przysionki, wstępy bez końca, kędy wszystko mówi o doskonałości objawień. Pięćdziesiąt stronic teoryi obroniłoby stan posiadania metafizyki wymowniej od dwustu stronic p. Vacherota, ciekawych, czarujących, poważnych, których wartość stanowią nie tyle doktryny, ile właśnie ich krytyka. Niedoceniając tego pierwiastku, autor wyrządza własnej książce krzywdę.

Poruszone są tam sprawy, co do których rad podzielał jego zdanie. Muszę jednak tę zgodę obwarować. Jeżeli metafizykę pojmować będziemy, jako możność wzniesienia się ponad poziomy faktów przez postrzeganie ich praw, prawem słuszności, harmonii, poezyi i piękna (t. j. spekulacyi naskroś metafizycznych) i jeżeli przez metafizykę powiedziec chcemy, że umysł ludzki nie znosi narzuconych mu granic, że posuwać się będzie zawsze wzwyż nieskończonej skali (skąd dla mnie, który uznaję umysłowość człowieka za niezrównaną i najwyższą w świecie,— wynika, że geniusz planety jest kapłanem świata — jest bowiem tego świata najdoskonalszem odbiciem); jeżeli — wreszcie — nauką, która się metafizyce przeciwstawia, jest tylko empiryzm pospolity, zachwycony swoją miernością,—tak, wtedy metafizyka istnieje, a stare przysłowie: *Quae supra nos? quid ad nos?*—jest absurdem.

Ale jeżeli chcemy przez to powiedziec, że istnieje nauka pierwszorzędna, co zawiera w so-

bie zasady wszystkich innych i może samodzielnie, przez układy myśli oderwanych, prowadzić do prawd o Bogu, świecie, człowieku,—nie widzę wtedy konieczności istnienia takiej kategorii poznania.

Jest ta nauka wszędy i nigdzie, jest albo niczem, albo — wszystkim. Nie masz wszakże jednej takiej prawdy, któraby nie miała za punkt wyjścia doświadczenia i nie wynikała pośrednio lub bezpośrednio z laboratoryów i bibliotek, ponieważ wszystko, co wiemy, wiemy bądź z badania natury, bądź też—historyi. Bez wątpienia, wiedza o naturze i historyi nie istniałyby bez sformułowania pojęć esencyjonalnych i nie widzielibyśmy poezyi świata, nie mając w sobie ognisk wszelkiego światła i poezyi. Nie są chimerami słowa: absolut, nieskończoność, substancya, wszechświat, jak to się może wydawać umysłom ograniczonym. Stanowią one dla dobrej korektywy rozumu, którą nazywamy logiką lub krytyką rozumu, całość pojęć niezależnych. Ale wszystko to nie jest jeszcze metafizyką. Kant, wielki nowoczesny twórca tej krytyki, odzegnał się od miana metafizyka. Arystoteles, który ją stworzył w starożytności, wiedzę swoją usiłował ściśle oprzeć na faktach i postrzeganiu szczegółów.

Zresztą sam Vacherot wyczuwa różnicę między metafizyką, a innymi gałęziami ludzkiego poznania:

„Metafizyka — czytamy — nie jest jeszcze nauką, ale nauką będzie. Nie odbiegliśmy tak daleko od czasu, kiedy była nauką filozofia przyrody, równie chwiejna w zasadach i teoriach. Jednak w przeciągu dwóch stuleci zdołała czas stracony na hipotezy odzyskać, zaś sądząc z jakości owocu o czasie, potrzebnym na jego dojrzewanie, należałoby początki tej wiedzy odsunąć w mroki głębokiej przeszłości. Dla czegożby losy metafizyki miały być mniej szczęśliwe, skoro spóźniła się tylko o dwa stulecia?”

Myśl ta powraca na każdą stronicę książki. Trudno ją przyjąć bez zastrzeżeń. Nie jest metafizyka nauką nową. Pierworodzino jej nie da się zaprzeczyć. Inne nauki miały swój wiek dziecięctwa i rozwoju; metafizyka i logika ukazały się już w stanie skończonym, jak wszechoreźna Minerva, jak wszelka rzecz niepłodna. Mogą się one w samej ekspozycji tematu doskonalić, ale żadna zdobycz realna nie będzie już ich udziałem. Można teorię sylogizmu wyłożyć swobodniej i piękniej od Arystotelesa, ale nie można jej ani ulepszyć, ani uzupełnić. Stworzone raz i nazawsze teorie te pozostają stałe, jak algorytmy, nigdy jak nauki, mające przyszłość w realnym rozwoju. Ścisłe związana z samą nieskończoną naturą swego przedmiotu, jest filozofia czemś wyjątkowem, co równie dobrze może być i nie być. O jej bycie zwąt-

pić — znaczyłoby umysł ludzki zdetronizować, odebrać mu wszelki lot ku rzeczy nad rzeczą; wyróżnić ją, jako naukę odrębną — znaczyłoby znowu ostro przeciwstawić ją epokowym dążeniom badań naukowych. Pozostaje, zdaniem mojem, jedno tylko wyjście: zgodzić się na to, że jest ona mniej nauką, niż częścią wszystkich nauk.

Pozwolę tu sobie na jedno dość pospolite porównanie. Filozofia jest przyprawą do rzeczy jadalnych, ale sama nie może być pokarmem. Nie można jej stawiać narówni z wiedzą niepodległą: chemią, fizyką i t. p. Z większem już uzasadnieniem można było zawartość symbolu „filozofia“ porównać do pokrewnych — „sztuki“ i „poezyi“. Każda umysłowość — od najniższej do najgórniejszej — posiadała swój sposób widzenia świata, każda głowa myśląca — swoje zwierciadło Kosmosu, każdą istotę żywą — rzeźwiły marzenia, czarowne zaklęcia, talizmany od upadku i rozpaczy. Wspaniałe czy nędzne, wzniosłe czy płaskie, marzenia te były filozofią duszy, której łożyskiem przepływały. Oto dlaczego historia filozofii nie przypomina historii innych nauk, nie biegnie prawem rozwoju, ani wzbogaca się nieprzerwanym łańcuchem nabytków ewolucyjnych, natomiast daje załamania osobowości, odbicia światów indywidualnych.

Czytajcie *Roczniki fizyki i chemii*. Znajdziecie tam wysiłki różnej mocy i znaczenia, ale

nie znajdziecie między wierszami nic takiego, coby zdradzało moralny charakter autora.

W filozofii inaczej. Filozofia to druga — to *sama* natura człowieka. Jest ona, jak styl, z którym człowiek niemal przychodzi na świat, styl i podłoże ducha. Wnętrze, oryginalność osobnika jest dla filozofii nie tylko zaletą, lecz warunkiem nieodzownym, podczas gdy w naukach pozytywnych na czoło wysuwa się prawdziwość, wiarogodność rezultatów.

Uprawa filozofii i poezyi ma przed sobą wieczność, ale tak, jak żywią obawy o przyszłość niektórych rodzajów poezyi, nie żywiąc obawy o przyszłość poezyi, jako takiej, — tak też słabo wierzę w przyszłość filozofii, jako nauki odrębnej, chociaż wieczność wzruszeń filozoficznych leży dla mnie poza wszelkiem wątpieniem. Być może, rozbłyśnie kiedy taki dzionek, że, nie wyodrębniając poezyi i filozofii, wetchniemy poezyę i filozofię w życie.

Bo jakich to mamy dziś tłumaczy wielkiej poezyi natury i duszy człowieka, wiecznie śpiewnej skargi i tytanicznych jęków tworzenia? Zapewne, zapewne — kilku poetów, wiernych jeszcze tradycjom religijnym i filozoficznym; więcej — uczonych i krytyków.

Skończyły się raje. Nie wierzymy już w systemy świata i fikcye. Możliwość postawienia nowej hipotezy filozoficznej równa się dziś dla nas chęci wskrzeszenia epopei. Za grzechy naiw-

nej dowolności zwichrzonym pegazom metafizyki podcięła krytyka pęciny. Ustały wielkie napowietrzne produkcy. Nie nęcą nas elementarne cacka, odkąd widzimy potężne maszyny. Śmiechem uprzędzamy daremne trudy poety, podejmowane dla świętej samooszukańczej złudny, która nie jest świętą. Wiemy, że ofiarowane nam systemy nie wymkną się z pod prawa znikomości. Myśl ta wystarczy dla wstrzymania w biegu zrywów niedoskonałych. Szukać w mętach rozrywki! Pozostawmy to beotom. Tym wolno zapoznawać rzeczywistość, fakt zasadniczej ułomności wszelkich formuł świata, uroszczenia filozofii, zmierzającej, jak i teologia, do dogmatów kostnienia i kostnienia dogmatów.

Być może, gdy będziemy starsi i mniej pojętni, stanie się, że postradamy pamięć, doświadczenie trzech tysięcy lat i nasze własne przeżycia. Ale pokąd jesteśmy dość jeszcze silni i zdrowi, by nie poświęcać jednej połowy prawdy dla drugiej, nigdy dobrowolnie nie wzniesiemy murów więziennych, ani przywilejów nieomyślności, pomnąc, że przyszłość nie zatwierdzi umowy, zawartej na jej rachunek, samozwańczo i z pominięciem jej praw dzielectwa.

---

Tedy nie odrzucamy filozofii, mówiąc, że nie może być nauką odrębną. Dźwiękiem jest,

wibracją, światłem, które wynikają z promiennej boskości wszystkiego i każdej rzeczy. Miara ta przystoi koncepcjom wielkich filozofów. Był Arystoteles encyklopedystą swego czasu, a Roger Bacon, urodzony ksiązę ducha w wiekach średnich—omal że nie pozytywistą. Kartezjusz obejmował najdalsze światy poznania, krom historii, której doniosłość przeoczył. Leibnitz — to morze zachłanne — pożerał całą wiedzę, nie wyłączając scholastyki i alchemii. Umiął Kant, co umiało jego stulecie. Wszyscy wielcy filozofowie byli wielkimi uczonymi. Okresy specjalizacji filozofii, jako takiej, świadczyły zawsze o jej upadku. Przykładem — drugi okres kartezyanizmu, wyobrażany przez Malebranche'a, przykładem scholastyczne kołowroty średniowiecza. W czasach nowszych spekulacje Schellinga i Hegla urabiały typ umysłowości odśrodkowy od poznania rzeczy i dośrodkowy do łatwości myślenia w kategoriach absolutnych i oderwanych.

Filozofować znaczy poznawać. Na świat poznawalny składają się dwa światy: fizyczny i moralny, natury i ludzkości. Równoległe badania natury i człowieka — oto całe zadanie filozofii.

---

Znakiem, świadectwem nieskończonej tajemnicy jest filozofia, ale nie jedynem, nie wyłącz-

nem i nie pierwszym. Drogi jej — drogi twórczego niepokoju, cel jej — mgławice, których ani przebić, ani poniechać. Nie rozwiązuje zagadnień, rzuca je w świat. Tu jej wielkość i sława. Daje problematom żywotność, wyprowadza je z rozumu na świat Boży — i to jest wszystko, co uczynić może człowiek w krajach tak dalekich, gdzie zadowalać się trzeba, zgodnie z samą naturą przedmiotu, płatkami topniejącego śniegu...

Ojczy Niebieski! nie wiem, coś tu dla nas zachował, czegoś nam wzbronił? Nie wiem, czy dałeś wiarę tylko ku pocieszeniu dziecięcego losu. Dobrodziejstwem jest, darem litości, czy głębokim instynktem, czy objawieniem dla godnych tej łaski?

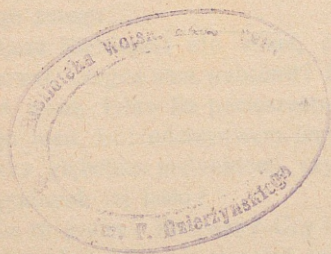
Co tu prawe? Rozpacz? Czy musi być smutną prawda? Więc nie chciałeś wątpliń naszych ukoić odpowiedzią! Ażeby nie pozostała wiara w dobro bez zasługi i nie była cnota wyrachowaniem?

Być może, objawienie jasne zrównałoby duszę niską z szlachetną i stałaby się oczywistość w materji tak niematerialnej zamachem na naszą swobodę. Czyżby dlatego podobało się Tobie wiary nasze uzależnić od naszych wewnętrznych postanowień? We wszystkim, co może być przedmiotem nauki, prawdę przysądziłeś najbystrzejszym, zaś w sprawach moralności i religii—najlepszym. I tak sprawiedliwie.

Żłe byłoby, gdyby geniusz i bystrość tworzyły dla się przywileje i gdyby wierzenia, co powinny być chlebem powszednim wszystkich, brano jako nagrodę za dobry kierunek rozważania.

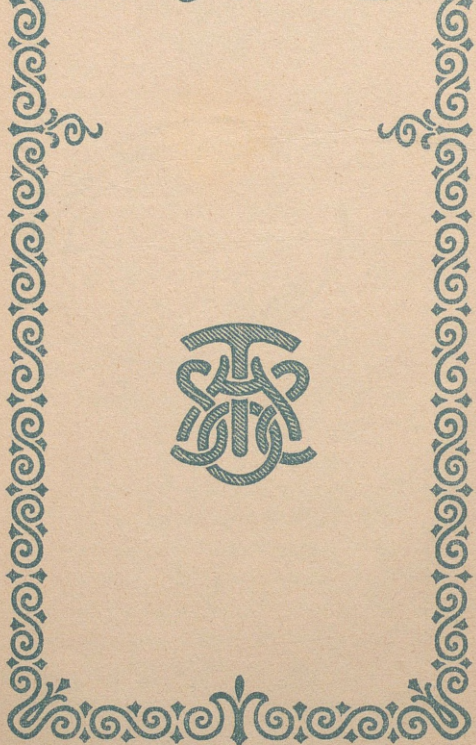
Błogosławiony bądź za Twoje misteryum świata, iż się osłonił tajemnicą, a serca ludzkie natchnął żywiołem wolności.

---



24-

Omaz

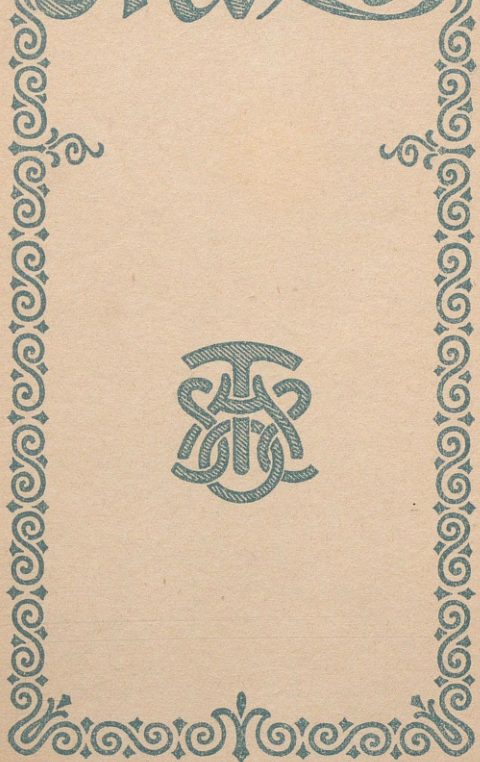


Omaz

428  
2412

170 W

ONAZ



AS



12106/

1